

*O psiakość!
Niezły ambaras z tą miłością!*

Rozmordane święta



AGNIESZKA OLEJNIK



AGNIESZKA OLEJNIK

Rozmordane święta



*Dla mojej wspaniałej Mamy,
która pewnego dnia
przygarnęła szczeniaka o imieniu Ziyo
i chociaż był nieuleczalnie chory
(a może właśnie dlatego),
pokochała go całym sercem*





Sobotni poranek, druga kawa, krzyżówka w gazecie telewizyjnej – jednym słowem pora na relaks. Na biurku w równych stosikach leżały wypracowania, które zostały mi do sprawdzenia. Klasa ósma, forma: rozprawka, temat: czy w dzisiejszych czasach ludzie potrzebują przyjaźni. Cztery razy po pięć. Moja metoda była bardzo prosta: sprawdzałem jedno wypracowanie, machałem parę razy hantlami, żeby rozładować frustrację, sprawdzałem drugie, robiłem kilka pompek – i tak dalej. Kiedy uporałem się z całą kupką, pozwalałem sobie na przerwę, którą zazwyczaj przeznaczałem na jakieś drobne przyjemności. Na przykład właśnie na krzyżówkę. W ten sposób zapewniałem sobie trening zarówno ciała, jak i umysłu. A przy okazji odwalałem najczarniejszą, najbardziej znienawidzoną robotę: sprawdzanie prac pisemnych.

Z rozmyślań nad hasłem „imię z wigorem” wyrwał mnie dzwonek telefonu. To musiały być mama albo siostra, bo tylko one miały numer stacjonarny. No, jeszcze Adam, mój przyjaciel, ale wiedziałem doskonale, że on w soboty o tej porze śpi. Zwłaszcza że był szary, ponury, deszczowy koniec listopada, a nie spodziewałem się, żeby w Dublinie, gdzie mieszkał od kilku lat, pogoda była dużo lepsza. W takie dni, byłem tego niemal pewien, Adam w ogóle nie wstawał z łóżka.

Dzwoniła moja siostra Judyta. Poszcęściło jej się w życiu, poznała fantastycznego faceta, który przypadkiem był diabelnie bogatym Szwajcarem i miał dom z widokiem na Alpy. Zamieszkała z nim i z każdym dniem odkrywała, jak cudowne staje się życie, kiedy człowiek nie musi myśleć o pieniądzach, ma u boku dobrego towarzysza i generalnie wyznaje zasadę *carpe diem*.

W pewnym sensie poszcęściło się także mnie. Wprawdzie zarabiałem marnie, nie miałem nikogo u boku, a *carpe diem* niezupełnie mi wychodziło, ale dzięki zamążpójściu Judyty dostałem w prezencie jej mieszkanie, a to dla nędznie zarabiającego nauczyciela, który chciał się wyrwać spod skrzydeł matki, naprawdę nie lada gratka.

– Hej! Mama mówi, że nie odbierasz – zagaiła Judyta i zawiesiła głos. – Martwi się, że od tej samotności wpadłeś w depresję.

– Ależ odbieram – zaprotestowałem. – Tyle że nie za każdym razem. Mama potrafi zadzwonić trzy razy w ciągu godziny.

– Ma jakieś problemy? Coś jej dolega? – zaniepokoiła się.

Przyszło mi do głowy, że mieszkając tak daleko, łatwo jest być troskliwym dzieckiem. Staje się to trochę trudniejsze, gdy człowiek zdołał uciec tylko do sąsiedniej dzielnicy.

– Nie, nie ma problemów, nie martw się. Dzwoni w różnych sprawach, ale żadnej z nich nie nazwałbym problemem. Na przykład wczoraj chciała się upewnić, czy pamiętam, żeby wyprać niebieską koszulę osobno, bo chyba farbuje. To nowa koszula, mama kupiła ją na ryneczku. Właściwie kupiła dwie jednakowe, ponieważ uznała, że są niedrogie i dobre gatunkowo.

– Nie podobają ci się? – zapytała domyślnie Judyta.

– Nie w tym rzecz. Po prostu dwie takie same... Ale nie, właściwie nie mam nic przeciwko. W każdym razie pamiętałem, żeby wyprać osobno. Potem zadzwoniła jeszcze, żeby mi powiedzieć, że gdyby mi nie szło prasowanie rękawów, to ona może mi wyprasować.

– Nie umiesz prasować koszul?!

– Umiem. Robię to, odkąd wyprowadziłem się od mamy. Mimo to ona przynajmniej raz w tygodniu dzwoni, aby mi powiedzieć, że jakby co, to może mi pomóc z tymi rękawami.

– Chce się czuć potrzebna – rozczuliła się moja siostra. – Dobrze wiesz, że byłeś dla niej całym światem. Została sama i nie może sobie znaleźć celu w życiu. Gdybyś chociaż miał dzieci...

– Sama ich nie masz – zauważyłem – więc odczep się ode mnie. A poza tym nie przesadzajmy, mama ma dopiero pięćdziesiąt pięć lat. Mam w pracy starsze koleżanki. Chodzą na zumbę, jeżdżą w góry, uczą się hiszpańskiego i w ogóle zachowują się, jakby były młodsze ode mnie.

– Bo ty żyjesz jak staruszek. Nigdzie nie wychodzisz, nikogo nie spotykasz...

Poczułem, jak kielkuje we mnie bunt. Tylko nie to! Nie mogłem pozwolić, żeby moja siostra, która w gruncie rzeczy nic nie wiedziała o moim obecnym życiu, wymądrzała się i pouczała mnie niczym jakiegoś smarkacza.

– Słuchaj, przepraszam cię, ale ktoś właśnie do mnie dzwoni na komórkę. – Kłamstwo gładko przeszło mi przez gardło. – Zadzwoń za parę dni. Pozdrów Christiana. Pa!

Rozłączyłem się, nie czekając na jej „pa”, i z ulgą spojrzałem sobie w oczy w wielkim lustrze wiszącym nad komodą w holu. Mimowolnie wciągnąłem brzuch i wypiąłem klatkę piersiową. „Nigdzie nie wychodzisz, nikogo nie spotykasz”. No i co z tego? Zacząłem ćwiczyć, kupiłem sobie rower stacjonarny, miałem karnet na basen, mniej jeżdżę, a więcej chodzę pieszo. Jeśli to nie był krok w dobrym kierunku, to co miałoby nim być? Obiecałem sobie, że pewnego dnia zrobię także drugi krok: zaproszę Sarę do eleganckiej restauracji na kolację. A wówczas nasza znajomość wreszcie skreśli w stronę, w którą powinna zmierzać od początku.

Sara była najpiękniejszą kobietą, jaką znałem. Piękniejszą niż gwiazdy

filmowe i modelki, piękniejszą niż moja jedyna młodzieńcza miłość, ba, piękniejszą nawet niż moje wyobrażenia o pięknie! Miała leciutko skośne brązowe oczy, okolone firankami bardzo długich czarnych rzęs... Jej kości policzkowe były odrobinę wystające, usta pełne, włosy złociste, cera aksamitna niczym skórka moreli... A najpiękniejszą miała sylwetkę. Wąska talia, krągła pupa, smukłe uda, piersi niczym mandarynki (nigdy nie lubiłem obfitych biustów), ramiona z lekko zarysowanymi mięśniami... Mógłbym patrzeć na nią godzinami i wyobrażać sobie, że jest moja, że wolno mi tego wszystkiego dotknąć. Nie byłem w niej zakochany, broń Boże! Żadnej miłości, żadnych ckliwych, romantycznych głupot! Zwłaszcza że Sara miała faceta, a ja byłem wtajemniczony we wszystkie szczegóły tego związku. Więc nie, zakochany absolutnie nie. Byłem tylko (albo aż) kompletnie zafiksowany na jej punkcie. W sensie cielesnym. Sprawy erotyczne interesowały mnie ogromnie, jako że byłem zdrowym trzydziestolatkiem, a szczególnego doświadczenia w sprawach seksu dotąd nie nabyłem. Jakoś się nie złożyło.

*

Wyszedłem na balkon, aby zaczerpnąć świeżego powietrza i sprawdzić, czy jest zimno. Trzeba będzie odwiedzić mamę, bo dawno u niej nie byłem, pomyślałem. W soboty pracuje tylko do czternastej, więc wpadnę do niej do sklepu i pomogę jej zrobić zakupy. Przynajmniej do końca weekendu nie będzie dzwonić, aby się upewnić, czy nie mam depresji.

Gdy przekręcałem klucz w drzwiach, doznałem olśnienia. Imię z wigorem: oczywiście, Igor! Co za patałach wymyśla te zagadki?! Nie chciało mi się zdejmować butów, więc wszedłem na palcach, bo przyjemność z wpisania trudnego hasła do krzyżówki przewyższała przykrość związaną z koniecznością późniejszego poodkurzania. Taki już byłem. Nie znośłem nierozwiązanych spraw, nawet gdy była to jedynie krzyżówka.



Westchnęłam, spoglądając na zegar: Oluś na pewno jeszcze śpi. Sobotnie poranki spędzał w takim rozmemłaniu, że aż serce bolało, gdy człowiek na to patrzył. Dopóki mieszkał ze mną, siłą rzeczy się jakoś organizował. O tej porze miałyby już dawno uprzątnięty pokój, skoczyłby na zakupy, a więc zażyłby i świeżego powietrza, i trochę ruchu... A potem przygotowałabym mu śniadanie. Pewnie nic nie je do południa.

Matczyne serce ścisnęło się z żalu za każdym razem, gdy uświadamiałam sobie, że on spędza wolne dni zupełnie sam... Co mu z takiego weekendu? Weekend człowiek powinien spędzać z rodziną, zabrać żonę do kina, pobawić się z dziećmi, uczyć je jazdy na rowerku albo pływania. Chociaż teraz, na przełomie listopada i grudnia, to ani jedno, ani drugie, jeszcze by się przeziębily.

Że też Judytka nie ma dzieci... Gdyby miała córeczkę, mogłaby dać jej na imię Zuzia. Takie ładne i uniwersalne: w dzieciństwie można zdrabniać, a z kolei dla dorosłej kobiety Zuzanna brzmi bardzo elegancko i dostojnie. Natomiast na starość – babcia Zuzia, znów miękko i ciepło. Tak samo jak moje: babcia Krysia. Pasowało idealnie, tylko wnuków nie miałam. Ale pojawiają się, powtarzałam sobie. Wierzyłam, że wtedy w moim życiu znowu zapanuje radość. Będę im dziergała czapki i szaliki, nauczę się robić na

szydełku kolorowe maskotki, może nawet wyciągnę z dna szafy maszynę do szycia i czasem coś uszyję.

I żeby Oluś sobie kogoś znalazł. Samotne życie jest takie jałowe... Człowiek jedynie trwa niczym roślina, odlicza dni, chodzi do pracy i wraca do domu, nie ma żadnego celu. Bo przecież jedyne, co się w życiu liczy, to drugi człowiek, miłość, rodzina. Mój syn tego wszystkiego nie miał. Judytka zamieszkała za granicą, nie mieli już takiego dobrego kontaktu jak dawniej. Tylko ja mu zostałam.

Postanowiłam, że zadzwonię do niego z pracy, może zaproszę go na obiad, bo pewnie sam nic sobie nie ugotuje. Od dawna jadał na mieście, ale kiedyś przynajmniej zachodził do pani Janeczki na pierogi. Teraz pierogarnia była zamknięta, bo obok wybudowali McDonald's i oczywiście, jak znam życie, mój Oluś je te wszystkie fast foody. Na szczęście jest jeszcze matka, która o niego zadba. Mam zamrożony bigos, ugotuję łazanki – on uwielbia to połączenie. Proste, domowe jedzenie jest najlepsze.

Wyciągnęłam porcję bigosu z zamrażarki i spojrzałam na zegar – pora szykować się do pracy. Czekał mnie kolejny nudny dzień wśród torebek, pasków i portfeli. Cztery godziny odpowiadania na pytania o cenę, słuchania narzekań, że tak drogo, a te tańsze to z byle jakiego tworzywa, nie ze skóry.

Kiedy wyszłam z domu, w twarz uderzył mnie podmuch wilgotnego wiatru. Nie sądziłam, że jest tak zimno. Otuliłam szyję kołnierzem płaszcza. Należałoby kupić sobie ciepłą kurtkę, ale w sklepach nie było nic w odpowiednim fasonie – same młodzieżowe, w dodatku w okropnie krzykliwych kolorach. Ja nosiłam stonowane beże, brązy, szarości, no i elegancką czerń. Choć w moim przypadku niezupełnie pasowało słowo „elegancka”, bo od dawna nie dbałam o elegancję, raczej o wygodę. W moim wieku kobieta nie zwraca już uwagi na wygląd.

Gdy otwierałam sklep, przywitałam się z Małgosią, chudziną z obuwniczego, która jak zwykle przed otwarciem myła okno. Biedactwo. Dokładnie przed ich witryną znajdowało się wgłębienie w asfalcie i ilekroć

spadł deszcz, przejeżdżające auta chlapały błotem prosto w szybę. Szefowa była wymagająca, by nie rzec: złośliwa, zauważyłaby każdą plamkę, każdy zaciek.

W sklepie przywitał mnie zapach skóry i tworzywa sztucznego. Wiedziałam, że po kilkunastu minutach przestanę go czuć, ale pierwsze chwile zawsze były nieprzyjemne. Przez tyle lat nie zdołałam się przyzwyczaić. Kiedyś sprzedawałam w księgarni i tamten zapach bardzo mi odpowiadał. Jednak właścicielka była nieznosną plotkarą i intrygantką, wszyscy pracownicy uciekali, gdy tylko pojawiła się taka możliwość. Wreszcie i ja zrobiłam to samo. Teraz było mi znacznie lepiej. Moim szefem był pan Stanisław – człowiek spokojny, konkretny i uczciwy. Właściwie niewiele miałam z nim dotąd do czynienia, bo wszystkim zajmowała się jego żona, dopiero od jakiegoś miesiąca on sam pojawiał się w sklepie. Niewiele mówił, nie miewał pretensji, po prostu odbierał raport, przeliczał pieniądze, raz w tygodniu przywoził nowy towar i nawet pomagał przy rozpakowywaniu. Wydawał się jakby zatroskany. Pewnie powinnam go zapytać, co się stało, czy żona zachorowała... Tylko nie byłam pewna, czy wypada, w końcu byłoby to wtrącanie się w jego prywatne sprawy. Zresztą może wyjechała do jakiegoś sanatorium, czasem narzekała na kręgosłup.

Postanowiłam zmienić dekoracje w witrynie. W większości sklepów pojawiły się już ozdoby świąteczne, choć był dopiero ostatni dzień listopada. Zastanawiałam się, czy to nie odbierze Bożemu Narodzeniu odrobiny czaru. Zanim nadejdą świąteczne dni, wszystkie te reniferki i Mikołaje zdążą się już nam wszystkim opatrzeć. Skoro jednak sąsiednie sklepy przystroiły się w złoto, zieleń i czerwień, mój nie mógł się odróżniać, bo to mogłoby zniechęcić klientów.

Wpadłam na pomysł, aby wystawić na witrynie torebki w tradycyjnych kolorach Bożego Narodzenia. Przez chwilę rozglądałam się po półkach i w końcu znalazłam kilka naprawdę pięknych toreb w odcieniu ciemnej czerwieni. Problem był tylko z zielonymi, bo rzadko je ktoś kupował, więc nie miałam zbyt wielu na stanie. W końcu jednak wybrałam dwie skórzane

listonoszki i zgrabny plecak z ekoskóry. Teraz pozostało mi to ładnie skomponować i dobrać jakieś skromne ozdoby. Miałam już nawet na oku niby-bombki z kremowej koronki, sprzedawała je na ryneczku sympatyczna staruszka. Pomyślałam, że kupię kilka i ułożę między torebkami.



Do dwunastej zdążyłem sprawdzić wszystkie rozprawki. Szybko ogarnąłem dziennik elektroniczny: wklepałem oceny, napisałem parę wiadomości do rodziców, zaprosiłem ich na wtorkową wywiadówkę, zaplanowałem tematy na nadchodzący tydzień i wreszcie zabrałem się za to, co najgorsze – za układanie pytań z lektury. Dobrze wiedziałem, że ponad połowa klasy nie przeczytała *Zemsty* i że będą próbowali mnie oszukać, oglądając film. Pytania musiały być więc takie, aby udało mi się wyłuskać tych uczniów, którzy naprawdę przeczytali – i to nie bryk, jakieś opracowanie w internecie albo tak zwaną ściągę, lecz tekst Fredry.

Czasem miałem ochotę się poddać. Najpierw usiłowałem przekonać dzieciaki, że czytanie rozwija, że bez książek nie osiągną tego, co mogą w życiu osiągnąć, nie wykorzystają w pełni swojego potencjału – po czym zamiast podsuwać im teksty, które zawładną ich wyobraźnią, wciągną i nie pozwolą się oderwać od lektury, zmuszałem je do czytania archaicznej komedii, która kompletnie ich nie śmieszyła. Co więcej, mnie samego przestała śmieszyć. Podczas lekcji odczytywałem na głos scenę dyktowania listu przez Cześnika, angażując w to cały mój zapomniany talent aktorski – i nic! To przestało być śmieszne! Papkin też przestał śmieszyć! Dlaczego?! Nie miałem pojęcia. Zresztą jakakolwiek była tego przyczyna, fakt

pozostawał faktem: kanon lektur zachęcał do wszystkiego, tylko nie do czytania, a ja musiałem udawać, że jest inaczej.

*

Ubrałem się i wyszedłem w kapuśniaczkowy chłód. Zgodnie z moim niedawnym postanowieniem, że zadbam o kondycję – wybrałem się do mamy pieszo. Zresztą rezygnacja z samochodu to spora oszczędność, a przy tym – wbrew pozorom – nie traciłem wcale tak dużo czasu, bo odpadało szukanie miejsca do parkowania. Poza tym, nie oszukujmy się, chyba chciałem zaimponować Sarze, która uwielbiała aktywność fizyczną.

Moja znajomość z Sarą trwała od dnia, kiedy podjąłem pracę w szkole, czyli od sześciu lat. Było to pod koniec sierpnia. Zapamiętałem dokładnie, że miała na sobie obcisłą różową sukienkę i sandały na niebotycznych szpilkach. Spotkaliśmy się w szkolnym sekretariacie.

– Też nowy? – upewniła się, siadając na krześle i zakładając nogę na nogę w taki sposób, że brzeg sukienki uniósł się, odsłaniając jej opalone uda, a pode mną ugięły się kolana. – Pozwól mi zgadnąć... Germanista.

– Kulą w płot – wtrąciła się sekretarka, gruba pani Benia, której już wtedy odrobinę się bałem. Potem okazało się, że boi się jej całutkie grono pedagogiczne. – Nasz rodzynek jest polonistą.

– Aaa, polonista – powtórzyła Sara ze źle skrywanym rozczarowaniem.

Ja jednak w owej chwili nie zwróciłem na to uwagi. Zmartwiły mnie natomiast słowa pani Beni. Rodzynek? Czy to oznaczało, że miałem być jedynym mężczyzną w gronie?

Nigdy nie miałem śmiałości do kobiet. Nie byłem nieśmiały z natury, zupełnie nie o to chodzi. Łatwo zawierałem znajomości, miałem kilku dobrych kumpli i jednego zaufanego przyjaciela – Adama – z którym od czasów przedszkolnych łączył mnie stosunek niemal braterski. Jednak dziewczyny wprawiały mnie zawsze w lekki popłoch. Były rozchichotane, zwłaszcza w dużej grupie stawały się wręcz nie do zniesienia. Pojedynczo

podobały mi się znacznie bardziej. Obawiałem się, że nie dam sobie rady w gronie pedagogicznym składającym się wyłącznie z kobiet.

Jedynym moim doświadczeniem natury miłosnej był dwuletni związek z Mileną. Poznaliśmy się na scenie naszego szkolnego teatru, który porwał się z motyką na słońce – a konkretnie na *Serenadę* Mrożka. Początkowo miałem grać rolę Lisa, jednak nasza polonistka przekonała się, że czego jak czego, ale umiejętności uwodzenia nie posiadam za grosz i grając lisiego Casanovę, jestem drętwy jak kawałek drewna. Zostałem więc Kogutem – naiwnym, bezradnym, miotanym zazdrością mężem.

Być może właśnie dlatego zwróciła na mnie uwagę Milena, która otrzymała rolę Rudej. Najwyraźniej miała słabość do facetów potrzebujących pomocy i opieki. Zupełnie nie robił na niej wrażenia przystojny Adam, brawurowo grający Lisa. Na wycieczce do Krakowa, na którą po premierze zabrała nas pani Wiesia, polonistka i opiekunka szkolnego teatru, Milena nauczyła mnie prawdziwych pocałunków. Wcześniej zresztą nie znałem nawet tych nieprawdziwych.

Była ode mnie dwa lata starsza, ale dzięki drobnej sylwetce zupełnie nie było tego widać. Nie malowała się, ubierała z jakąś artystyczną niedbałością – nosiła hippisowskie sukienki, rozciągnięte swetry i wielobarwne chusty. Dobrze nam było razem, choć dopiero po jakimś czasie zorientowałem się, że niewiele miałem w tym związku do gadania. Robiłem wszystko, co chciała, doradzałem jej przy zakupach, odpytywałem przed klasówkami, wymieniałem jej książki w bibliotece... Trochę jakbyśmy byli rodziną, tyle że w naszej relacji był całkiem wyraźny akcent erotyczny, bo choć Milena chciała pozostać dziewicą aż do ślubu, miała jednak dość rozbudzone libido. Potrafiliśmy się całować i pieścić godzinami, pilnując jednak tej nieprzekraczalnej granicy, jaką było jej dziewictwo.

Taki był mój jedyny jak dotąd związek. Zakochany po uszy pierwszak, szesnastoletni zaledwie, i pełnoletnia dziewczyna, której marzyło się prawdziwe aktorstwo. Kochałem ją przez całe dwa lata. Ostatecznie poszła na dziennikarstwo, ponieważ tuż przed maturą odkryła, że w gruncie rzeczy teatr

ją nudzi. Jeszcze przed jej pierwszą sesją widywaliśmy się od czasu do czasu, jednak wyraźnie wyczuwałem, że Milena jest myślami gdzie indziej. Sądziłem, że przejmuje się nadchodzącymi egzaminami, rychło jednak okazało się, że po prostu byłem elementem świata, który dla niej skończył się bezpowrotnie. Chwila, w której to zrozumiałem, była końcem pewnej epoki w moim życiu. Umarł romantyk, narodził się cynik. Miłość rozczarowała mnie, okazała się czymś ulotnym, nietrwałym, niewartym zachodu. Postanowiłem nie zakochiwać się więcej, nie szukać znajomości, nawet tych przelotnych, na jedną noc. Moi koledzy spędzali czas na domówkach, które miały dostarczyć im „okazji” – mnie to mierziło. Chciałem być sam.

Niejako na pożegnanie Milena dała mi pierwszy (i jak dotąd jedyny) seks, bo czekanie do ślubu także okazało się elementem świata minionego, nieaktualnego.

Czy było spektakularnie? Czy otworzyły się przede mną bramy niebios? Poznałem, co to rozkosz i szczęście? Nie, nie określiłbym tego w ten sposób. Poczułem coś w rodzaju ulgi, a zarazem smutku. Że to tylko tyle. Że jedna z tych wielkich tajemnic, o których odkryciu marzyłem od kilku lat (w końcu byłem zdrowym, prawidłowo rozwijającym się nastolatkiem), okazała się czymś tak trywialnym. I już.

*

Pierwszą rzeczą, której dowiedziałem się o Sarze, było to, że postanowiła jak najszybciej uniezależnić się od rodziców. Już sama ta informacja sprawiła, że zacząłem patrzeć na nią z podziwem. Dla mnie, wtedy jeszcze mieszkającego z nadopiekuńczą matką i niemającego żadnych widoków na odmianę losu, było to coś niesłychanie imponującego. Wyczyn wymagający odwagi i godny najwyższego szacunku.

Bo niby jakie miałem możliwości, by zacząć żyć na własny rachunek? Co właściwie posiadałem? Żenującą pensję początkującego nauczyciela. Głowę pełną przeczytanych lektur, terminów teoretycznoliterackich, łaciny, gramatyki historycznej i dialektologii. A na dokładkę marzenia o tym, jak to

zapalę moich uczniów, jak pociągnę ich za sobą, założę teatr szkolny (może ze względu na sentyment do tamtych wspomnień o Mroźku i Milenie), klub czytelniczy, a na dodatek – turystyczny, bo pomyślałem, że można by zwiedzać Polskę śladami naszych wielkich pisarzy.

Czy cokolwiek zostało z tamtych marzeń? Teraz, po ponad pięciu latach pracy w szkole, moja pensja wzrosła jedynie nieznacznie. Nadal miałem głowę nabitą wiedzą, ale już wiedziałem, że nie przekażę jej uczniom, bo aby tak się stało, oni musieliby chcieć ją ode mnie przyjąć. A tymczasem nie chcieli. Teatr szkolny upadł z braku aktorów, klubu turystycznego nie udało się założyć, ponieważ dzieci chciały wyjeżdżać za granicę, a nie do leśniczówki Pranie w poszukiwaniu inspiracji Gałczyńskiego – klub czytelniczy zaś został obśmiany przez Basię z biblioteki szkolnej, zanim jeszcze wyskoczyłem z tym pomysłem na lekcji. Jeśli coś pozostało bez zmian – to moje pragnienie, by uniezależnić się od matki (bo choć od dwóch lat mieszkalem w mieszkaniu Judyty, mama nadal wtrącała się w dosłownie każdą moją sprawę), oraz erotyczne uwielbienie dla Sary.

Sama Sara także się nie zmieniła. Przypominała nieco młodą Kalinę Jędrusik, ale w znacznie szczuplejszym i delikatniejszym wydaniu. Nie było w niej wulgarności, tylko wdzięk i seks. Uwielbiałem nie tylko jej wygląd, ale też usposobienie. Była pogodna, śmiała się niemal ze wszystkiego. Adam, któremu zwierzyłem się z tej fascynacji, twierdził, że owym śmiechem maskuje niedostatki inteligencji, ale niby skąd on miałby o tym wiedzieć, skoro nigdy z nią nie rozmawiał. Znał ją jedynie z moich relacji.

Co do mnie, towarzyszyłem jej niemal na każdym kroku, poza lekcjami oczywiście, choć mówiąc szczerze, gdybym mógł, siedziałbym w kącie sali gimnastycznej i podawał piłki, aby tylko móc na nią bezkarnie patrzeć. Wyobrażałem sobie, jak wygląda, kiedy demonstruje swoim uczennicom przerzut bokiem albo mostek. Wiedziałem, że mnie lubi, traktuje jak przyjaciela, ba, niemal jak brata! Cóż z tego, skoro ja nie chciałem być dla niej bratem. Pragnąłem, aby nasza znajomość przerodziła się w coś zupełnie niepodobnego do przyjaźni, a już tym bardziej – braterstwa!

*

Nigdy nie byłem duszą towarzystwa, nie da się ukryć. Oczywiście wśród starych znajomych, kiedy czułem się swobodnie, potrafiłem błysnąć dowcipem, byłem także nie najgorszym rozmówcą. Sara powtarzała zawsze, że potrafię słuchać – ten komplement obracałem potem w myślach na wszystkie strony, bo był to jedyny punkt zaczepienia, dzięki któremu mogłem wierzyć w happy end tej mojej historii erotycznej. Czyż w relacji między kobietą i mężczyzną nie jest istotne, aby lubili ze sobą rozmawiać? Czytałem kiedyś artykuł dowodzący, że pary, które ze sobą szczerze rozmawiają, mają większe szanse na udane życie seksualne. A mnie przecież dokładnie o to chodziło.

*

– Dzień dobry, synku. Prosiłam, żebyś nie chodził bez szalika! – Z zamyślenia wyrwał mnie głos mamy. Nawet nie zauważyłem, kiedy przebyłem dystans dzielący moje osiedle od sklepu z galanterią skórzaną i bezwiednie wszedłem do środka. – Nie dość, że codziennie nadwerężasz głos, to jeszcze się przeziębisz...

– Mamo, tłumaczyłem ci już, że przeziębienie nie ma tu nic do rzeczy. Bezgłos to kwestia przemęczenia krtani...

– Ja wiem swoje, Olusiu. Wiem swoje. Niby bezgłos, niby że za dużo mówisz, krzyczysz, nadużywasz głosu, ale jak się człowiek przeziębi, to nawet zwyczajne dolegliwości stają się poważne. To przez spadek odporności, synku!

Może miała rację, tak, nawet bardzo prawdopodobne. Ale taka przemowa w wykonaniu mojej mamy, w dodatku wygłoszona zbolalym tonem z nutką nieomyślności, po prostu doprowadzała mnie do szaleństwa. Za każdym razem miałem ochotę zrobić coś dokładnie odwrotnego, niż mi radziła – w tym wypadku rozebrać się do bielizny i pomaszerować ulicą, na bosaka wdeptując w kałuże i marznąć straszliwie. Jak to mawiała mama: „na złość babci odmrozić sobie uszy” – tyle że rolę marudnej babci odgrywała właśnie ona.

Uśmiechnąłem się nieszczerze, zaciskając zęby. Dobrze, będę nosił szalik.



Wygrzebałam się z pościeli dopiero po dziesiątej. Zrzuciłam koszulkę i nago stanęłam na wadze – na wyświetlaczu pojawiła się liczba pięćdziesiąt pięć, o pół kilo więcej niż w piątek. Takie wahania były normalne, co oczywiście nie znaczyło, że nie chciałam ich zrozumieć. Bardzo chciałam. Nie miałam pojęcia, dlaczego jednego dnia ważę o kilogram albo pół więcej, a innego – mniej. Cała moja wiedza dietetyczna była w tym wypadku bezużyteczna. Wiedziałam, że Henryk lubi bardzo szczupłe kobiety, dlatego kontrolowałam wagę i za wszelką cenę pragnęłam ją utrzymać.

Zaparzyłam sobie cudownie aromatyczną kawę i z żalem dodałam do niej łyżeczkę oleju kokosowego. Kochałam kawę, ale nie znosiłam tego cholernego tłuszczu unoszącego się na powierzchni – jednak takie było zalecenie znajomego dietetyka: według niego tłuszcz dodawany do napojów sprawiał, że nie tyłam mimo wieczornych uczt w towarzystwie Henryka.

Nie tak miało wyglądać moje życie uczuciowe, pomyślałam, siadając z kawą przy komputerze i otwierając skrzynkę pocztową, aby sprawdzić, czy przyszedł e-mail od mojego faceta. Zwykle pisał przed weekendem, aby powiadomić mnie, gdzie i kiedy się spotkamy. Na ogół były to wyjazdowe randki, raz nad morze, innym razem w góry – musiałam to wiedzieć z wyprzedzeniem, aby się przygotować. Raz tylko sprawił mi niespodziankę:

umówiliśmy się w kawiarni, a przy deserze wyciągnął z kieszeni marynarki bilety do Paryża.

– Zabieram cię na zakupy – powiedział wtedy.

Staralam się okazać radość, bo przecież tego właśnie oczekiwał, ale wcale nie poczułam się dobrze. Nie chciałam, aby kupował mi prezenty. Wolałam, gdy zabierał mnie do cichych pensjonatów i kochał się ze mną, gładził moją skórę i szeptał, że nigdy przedtem nie był taki spokojny i szczęśliwy.

Ja też nigdy przedtem się tak nie czułam. Moja koleżanka, psycholożka Beata, której kiedyś – po całej butelce wina – opowiedziałam o związku z dojrzałym biznesmenem, wyjaśniła mi, że to bardzo typowy mechanizm: wzorem osobowym każdej dziewczyny jest ukochany tatuś, więc jako dorosłe kobiety szukamy go w partnerze. Cóż, nie byłam pewna, czy o to chodzi. Przed Henrykiem był przecież Krystian, także sporo ode mnie starszy. Ale w jego ramionach nie czułam się tak bezpieczna, nie znalazłam u jego boku błęgiego spokoju, tej cudownej pewności, że jestem z właściwym człowiekiem.

Jeśli czegoś mi w związku z Henrykiem brakowało, to rozmów. Takich wielogodzinnych, jakie powinno się prowadzić z kimś najbliższym na świecie. Właściwie jedyną osobą, z którą potrafiłam tak rozmawiać, był Oluś. Mój jedyny przyjaciel. Gdyby można jakąś część mózgu Olusia przeszczepić Henrykowi, powstałby mężczyzna idealny. Kiedy powiedziałam o tym Beacie, roześmiała się.

– Tylko geje potrafią tak słuchać kobiet – odpowiedziała. – A przecież nie chciałybyś, żeby twój biznesmen zaczął rozglądać się za chłopakami.

– Olgierd jest gejem? – upewniłam się. – No popatrz, a ja nic nie zauważyłam.

– Jeszcze nie wyszedł z szafy – odparła bardzo przemądrzałym tonem. – Ale to tylko kwestia czasu. Zwróć uwagę, jaki jest wrażliwy, jakie książki czyta, jakiej słucha muzyki. Delikatny jak kobieta.

– W pewnym sensie idealny facet – zauważyłam. – Pierwszorzędny kandydat na męża.

– Toteż kilka dziewczyn ostrzyło sobie na niego pazurki. Patrycja i Ela na przykład... No i Joaśka miała nadzieję, że ją pocieszy po rozwodzie.

– I co?

– Nic. Nawet nie to, że odrzucał ich awanse, gorzej: on ich nawet nie zauważał.

– Może jest nieśmiały i brak mu wiary w siebie? – podsunęłam, ale Beata spojrzała na mnie jak na pierwszą naiwną.

W zasadzie nie miałam nic przeciwko gejom, toteż wiadomość o tym, że Olgierd jest homoseksualistą, niespecjalnie mnie obeszła. Może jedynie ukłuła nieco moją kobiecą ambicję, bo czasem wydawało mi się, że on patrzy na mnie w jakiś szczególny sposób. Uznałam jednak, że musiało mi się wydawać, a Beata jako psycholog z pewnością wie, co mówi.

*

E-maila od Henryka wciąż nie było. Stęskniłam się za nim. Nie widzieliśmy się od czterech tygodni – jego żona wymyśliła sobie urlop na Dominikanie, bo – jak twierdziła – nienawidzi polskiej zimy. To była pierwsza tak długa rozłąka od początku tego romansu, rodzaj sprawdzianu dla naszej miłości. Moje serce zdało śpiewająco. Nie byłam tylko pewna uczuć Henryka.

Usunęłam kilka ofert handlowych, jednej dałam się skusić – kliknęłam w reklamę sklepu z sukienkami i przez kilkanaście minut przeglądałam przecenione modele. Ostatecznie włożyłam do koszyka trzy kiecki i dwie bluzki, w tym jedną prześliczną, granatową z białą lamówką – po czym z żalem zamknęłam stronę. Przyjdzie taki czas – obiecałam sobie – kiedy moja pensja wystarczy na każdą modową zachciankę. Miałam jasno sprecyzowany plan: ukończę internetowy kurs dietetyki i suplementacji w sporcie. Byłam magistrem wychowania fizycznego – tym, czego teraz potrzebowałam, aby otworzyć swoje wymarzone studio „Metamorfozy”, były

pieniądze na start. Dużo pieniędzy. Potrzebny był mi także lokal z dobrym adresem, gdzieś blisko centrum, ale z dogodnym parkingiem w pobliżu. Co najmniej dwa pomieszczenia: jedno niewielkie na gabinet dietetyka, a drugie większe – sala do treningów, z lustrem na całą ścianę i paroma podstawowymi przyrządami do ćwiczeń.

Marzyło mi się, że będę miała stałe klientki. Porad dietetycznych udzielałabym oczywiście indywidualnie, ale oprócz tego podobałoby mi się prowadzenie dwóch lub trzech niewielkich grup ćwiczeniowych. Opracowałam specjalne zestawy ćwiczeń przy muzyce, niezbyt forsowne. Przetestowałam je na uczennicach starszych klas w mojej szkole. Dziewczyny to uwielbiały, często prosiły, abyśmy zamiast rozgrzewki robiły moje układy. Wierzyłam, że klientki także by je polubiły. I byłam przekonana, że odniosłabym sukces jako dietetyk. W końcu od liceum nieustannie walczyłam z własną skłonnością do tycia. I wygrywałam tę walkę.

Henryk – zwłaszcza w takie wieczory, kiedy podlewaliśmy naszą miłość szampanem – proponował mi pomoc.

– Wynajmę ci taki lokal – mówił, gładząc moje pośladki. – Albo kupię. Chcesz? Ty go sobie wyremontujesz, jak ci się zamarzy. Tylko znajdź miejsce, które ci odpowiada.

– Daj spokój! – odpowiadałam, choć w głębi duszy, ale tak naprawdę na samiućkim dnie, marzyłam, że któregoś dnia on spełni te swoje obietnice, że na urodziny wręczy mi czek na potężną sumę albo klucz do gotowego już lokalu.

Jednak przede wszystkim marzyłam, że pewnego dnia Henryk zdecyduje się odejść od żony. Że powie „dość tego udawania” i wystąpi o rozwód, a potem przyjdzie do mnie do szkoły z wielkim bukietem białych róż. Kiedy skończę lekcje, wejdzie do kantorka, padnie na kolana i powie: „Odszedłem od żony. Wyjdź za mnie, Saro”.



Właśnie miałam zamiar zatelefonować do Olusia i zaprosić go na bigos z łązankami, kiedy mój syn zrobił mi niespodziankę i wszedł do sklepu. Jak zwykle pociągnął nosem, marszcząc go jak wtedy, kiedy był małym chłopcem. Upomniałam go, że znów nie założył szalika.

Podszedł do półki z plecakami i przez chwilę oglądał jeden z nich, czerwony z brązowymi naszywkami z zamszu.

– Podoba ci się? – zapytałam.

Należało rozejrzeć się za prezentami na Gwiazdkę. Od dawna miałam upatrzony niebieski sweter, będzie mu pasował do błękitnych tęczówek. Ale sam sweter to za mało.

– Niespecjalnie – odpowiedział, sprawiając mi tym taką przykrość, jakbym to ja sama wyprodukowała ten plecak.

– Wybierasz się na zakupy i zajrzałeś do mnie po drodze? – zapytałam, ponieważ w jego głosie zabrzmiało coś w rodzaju zniecierpliwienia albo znudzenia. – Bo może byś został. Zamykam za czterdzieści minut, wpadłbyś do mnie na obiad. Rozmroziłam bigos... – Urwałam kusząco. – ...i ugotuję łązanki.

– Nie... To znaczy tak. Tak, że chętnie wpadnę na obiad. Nie, że nie zajrzałem po drodze. Pomyślałem, że pomogę ci z jakimiś zakupami, dawno u ciebie nie byłem. Zrób listę, szybko skoczę do supermarketu i kupię, co ci potrzebne. Zanim zamkniesz sklep, już będę z powrotem.

Łzy napłynęły mi do oczu, zaczęłam więc szybko mrugać, aby zwalczyć wzruszenie. A więc mój syn czuł się samotny, tak jak myślałam! Nie umiał się przyznać do tego, że tęskni za domowym ciepłem, więc taką okrężną drogą prosił o pomoc!

– Skończę pracę i pojedziemy razem do marketu.

– Ale ja przyszedłem pieszo, mamo. Pamiętasz? Ograniczam jazdę samochodem. Na większe zakupy to może w tygodniu...

– A, no dobrze, no dobrze.

Przypomniało mi się, wspominał coś o swoim postanowieniu, aby więcej chodzić. Nawet mi się to podobało.

– W takim razie już ci robię listę zakupów – odpowiedziałam. – Jeśli masz ochotę na sernik, to tak: kilo sera...

*

Wiedziałam, że sernikiem kupię go w stu procentach. Nie wyjdzie z mojego mieszkania, dopóki nie zje połowy blaszki. Od dziecka uwielbiał to ciasto, a już z przepisu babci Stefy to szczególnie. Sernik babci był puszysty, z dwunastu jaj, obowiązkowo z mąką kartoflaną, na spodzie miał pokruszone herbatniki, a na wierzchu polewę czekoladową i wiórki kokosowe...

Kiedy Oluś wychodził do pobliskiego dyskontu spożywczego, w drzwiach minął się z chudziutką Małgosią z obuwniczego. Byłam zaskoczona, że zdołała wyrwać się w godzinach pracy – ta jej szefowa była strasznie zasadnicza.

– Dzień dobry! – Zdziwiła się na widok mojego syna.

Musieli się znać. Nie miałam o tym pojęcia.

– Dzień dobry – odpowiedział jej Olgierd po chwili wahania. – A, to pani! Przepraszam, przez chwilę nie mogłem dopasować twarzy do sytuacji.

– No tak, dotąd zawsze widywaliśmy się w szkole. Pracuję tu obok.

– Rozumiem. A ja właśnie wychodzę. To do widzenia.

Z tego, co wywnioskowałam, musiał być nauczycielem jej dziecka. Ale czy to możliwe? Małgosia wydawała się bardzo młoda, a mój syn nie uczył maluchów, raczej starsze dzieci. Postanowiłam wybadać sprawę.

– Pani zna Olgierda? – zapytałam, podczas gdy ona w nerwowym pośpiechu przeglądała małe dziecięce torebki.

– A pani? – odbiła pytanie, najwyraźniej bardzo zdziwiona. – Pan Zawada jest polonistą mojego synka.

– A to zbieg okoliczności – roześmiałam się. – Bo jest też moim synem.

Chciałam ją podpytać, jak się mój Oluś sprawuje jako nauczyciel. To tak przyjemnie słuchać pochwał na temat własnego dziecka. Jednak nie dała mi dojść do słowa, pytając o niedużą, w miarę tanią torebkę dla dziewczynki.

– Ma pani także córeczkę? – zapytałam domyślnie, wykładając towar. – O, ta jest naprawdę śliczna.

– Rzeczywiście ładna. A coś tańszego?

Nie odpowiedziała na moje pytanie. Była wyraźnie zdenerwowana.

Podsunęłam jej tandetną torebkę dziecięcą z czegoś udającego nubuk.

– Jednak wezmę tamtą czerwoną ze skóry – zdecydowała po chwili i wyciągnęła pieniądze z portmonetki. – Nie, nie mam córki. To ma być prezent dla bratanicy.

Czym prędzej zapłaciła i wyszła. Domyśliłam się, że próbuje zdążyć przed powrotem szefowej. Było to jedyne wytłumaczenie jej nerwowości i pośpiechu.

Poukładałam na półkach wyciągnięty wcześniej towar i zabrałam się za

sprzątanie. Dochodziła druga, zaraz pojawi się pan Stanisław i odbierze utarg. Potem tylko umyję podłogę i już będę mogła wrócić do domu, odgrzać Olusiowi bigos i upiec sernik. Przez to jedno popołudnie będzie jak dawniej, kiedy mieszkał ze mną: posiedzimy razem w dużym pokoju, obejrzymy jakiś program publicystyczny, napijemy się herbaty, zjemy ciasto, potem on zacznie ziewać i wreszcie zdrzemnie się chwilę na kanapie, a ja posprzątam, żeby na niedzielę było czysto. Tak nam się żyło, zanim się uparł, aby zamieszkać w mieszkaniu Judytki. I po co to? Przecież dbałam o niego, niczego mu nie brakowało. Tamto mieszkanie można było sprzedać, Olgierd nie zarabia dużo, mógłby sobie kupić lepsze auto. Albo nawet niechby zostawił na koncie, zainwestował w coś, nie znam się na tym, zapewne można znaleźć jakieś korzystne lokaty.

Westchnęłam i zerknęłam w lustro. Poprawiłam włosy oraz kołnierzyk bluzki. Żona pana Stanisława zawsze zwracała uwagę na schludny wygląd sprzedawcy. I choć pan Stanisław nigdy tego nie robił, pozostał mi nawyk: sprawdziłam, czy z ciasno upiętego koka nie wymknęły mi się niesforne kosmyki. Miałam okropne loki, które – gdy im na to pozwolić – tworzyły wokół mojej głowy zupełnie zwariowaną koronę, niestosowną do wieku. Włosy powinny się starzeć razem z całą resztą, pomyślałam. A przynajmniej poważnieć. Kiedy byłam młoda, cieszyłam się z gęstych, puszystych pukli. Teraz chętnie bym je zamieniła na gładkie, proste włosy, nad którymi łatwo byłoby zapanować.

Dzwoneczek u drzwi oznajmił mi, że do sklepu ktoś wszedł. Tak jak się spodziewałam, był to właściciel.

– Dzień dobry – powiedział. – Ależ zimno dzisiaj. Jak tam? Klienci dopisali?

Otworzyłam usta, aby odpowiedzieć, ale nie zdążyłam, bo mówił dalej.

– To jeszcze pewnie nie czas na prezenty gwiazdkowe. Ale widzę, że już pani pięknie przygotowała witrynę. Lada dzień się zacznie. We wtorek przywiozę trochę portfeli i pasków, żona twierdziła, że to zawsze dobrze

schodzi na święta.

– Tak – potwierdziłam. – Żona ma rację. Ludzie często szukają drobiazgów, rozumie pan, jako dodatku do głównego prezentu.

– Tak, tak. – Potarł dłonią czoło, pewnie swędziało go pod czapką. – Pani ma liczną rodzinę, pani Krystyno?

– Nie, tylko dwoje dorosłych dzieci, ale córka mieszka za granicą. Nigdy nie przyjeżdża na święta.

– A mąż?

Zdziwiło mnie, że o to pyta. Jego żona doskonale wiedziała, że jestem wdową. Widocznie nie rozmawiali o mnie w domu. Zresztą cóż w tym dziwnego, zapewne mieli ciekawsze tematy niż moje życie osobiste. W zasadzie dobrze o nich świadczyło, że nie omawiają takich spraw, nie plotkują o pracownikach...

– Mąż nie żyje – odparłam.

– Przykro mi. Przepraszam.

– Nie szkodzi, od bardzo dawna jestem wdową... – Zamierzałam powiedzieć, że ten temat nie budzi już we mnie smutku, ale urwałam, ponieważ widziałam wyraźnie, że pan Stanisław wcale nie chce rozmawiać o mnie.

– A ode mnie żona odeszła – wypalił nagle. – Wie pani, nigdy bym się nie spodziewał. Wydawało się, że ona żyje tylko interesami, taka była zawzięta na pieniądze... – Ku mojemu przerażeniu szef rozpłakał się nagle jak dziecko. – A tymczasem okazuje się, pani Krystyno, że wcale jej nie znałem.

Zaniemówiłam na chwilę, ale już po kilku sekundach dotarło do mnie, co się dzieje. Ten człowiek rozpaczliwie potrzebował pomocy. Stał tak, oparty łokciami o ladę, chował twarz w dłoniach i płakał bezgłośnie, a ja byłam w tym momencie jedyną osobą, która mogła mu jakoś pomóc.

– Chodźmy na zaplecze – powiedziałam cicho. – Zaparzę herbatę

i wszystko mi pan opowie.

Posłusznie wszedł i pozwolił się usadzić na krzeselku, a potem siedział w milczeniu, przysłuchując się szumowi wody w czajniku. Kiedy rozległ się dzwoneczek zwiastujący powrót Olusia, szybko dałam mu klucze od mieszkania i szepnęłam, żeby poszedł do domu i odgrzał sobie bigos, bo ja tu muszę jeszcze przez chwilę zostać. Po czym zamknęłam za nim drzwi na klucz, aby nie wszedł jakiś spóźniony klient, i wróciłam do pana Stanisława.



Sam przed sobą udawałem, że świetnie sobie radzę. Właściwie aż do momentu, kiedy poszedłem do sklepu po raport i utarg, wierzyłem, że jestem dzielny i męski. Bożena odeszła, to prawda, powtarzałem sobie, ale przecież nie świadczy to o mojej wartości, stanowi raczej jej wizytówkę, jej miarę jako kobiety i jako człowieka.

Kto zrywa przysięgę wierności w jesieni życia?! Ma pięćdziesiąt osiem lat! Kobiety w tym wieku myślą o wnukach, nie o kochankach! I w ogóle kim musi być ten jej „przyjaciel”, jak go określiła, żeby zainteresować się kobietą z siateczką zmarszczek i srebrnymi włosami na skroni?!

Ja zapewniałem jej poczucie bezpieczeństwa, dostatek, pewność, święty spokój, a ona wzgardziła tym wszystkim! Wybrała jakiegoś lowelasa, który zapewne szeptał czułe słówka, komplementował ją i brał pod włos, ale któremu chodziło wyłącznie o pieniądze! O cóż innego mogłoby mu chodzić?

*

Pani Krystyna potrafiła słuchać, to pewne. Kiedy wylał się ze mnie ten niemęski płacz, którego okropnie się wstydziłem, po prostu posadziła mnie na krześle i zaparzyła herbatę. Tego mi było trzeba. I jeszcze tej milczącej aprobaty dla moich słów. Nic nie musiała mówić, w wyrazie jej twarzy,

sposobie przechylenia głowy i spojrzeniu widziałem wyraźnie: ta kobieta mnie rozumie i jest tak samo zszokowana. Bardzo tego potrzebowałem.

– Ile lat ma pani Bożena? – zapytała, kiedy już wyrzuciłem z siebie wszystkie żale i zamilkłem, popijając aromatyczny napar, do którego dodała chyba jakiejś konfitury, bo był kwaskowaty.

– Pięćdziesiąt osiem.

Wyglądała na wstrząśniętą.

– A on? Ten...? – Urwała.

Widocznie nie wiedziała, jak go nazwać. To też świadczyło o jej delikatności. „Kochanek” brzmiałoby zbyt obcesowo.

– Nie wiem – odparłem. – Wie pani, ja z nią nawet nie rozmawiałem. Nie dała mi szansy... Nam. Nam nie dała szansy, naszemu małżeństwu. Harowałem dzień i noc, Bożena chciała mieć kolejne sklepy, a ja załatwiałem, wynajmowałem, przywoziłem towar... Mamy jeszcze dwa butiki odzieżowe, domyśla się pani, że trzeba trochę pojeździć za tymi szmatkami, aby zawsze było coś nowego na wieszakach... I właśnie pojechałem po towar, a po powrocie zastałem rozbebeszone mieszkanie i list na ławie w salonie. „Odchodzę, kocham kogoś, ten ktoś kocha mnie. Z tobą żyłam tylko dla pracy, dla pieniędzy, a przecież nie na tym polega życie...” Same bzdury, pani Krystyno. Nic konkretnego. Gdyby napisała, co mi zarzuca, co jej nie odpowiadało... Jakoś bym się do tego ustosunkował. Może rzeczywiście ostatnio za bardzo zająłem się interesami, ale przecież sama tego chciała. Mnie już te pieniądze niepotrzebne, co ja z nimi zrobię? Do trumny zabiorę?

Pani Krystyna wyglądała, jakby połknęła coś kwaśnego, więc urwałem. Może to było nietaktowne mówić przy niej o pieniądzach, bo w sumie nie płaciliśmy jej jakoś szczególnie dużo...

– Mamy tylko jednego syna, już dorosłego, na swoim – dodałem jeszcze, a ona pokiwała głową. – Bardzo dobrze zarabia, jest programistą. Pracuje

w Holandii i nic nie wskazuje na to, żeby zamierzał wrócić.

– A kiedy żona odeszła? – zapytała. – Bo nie było jej tu w sklepie od dość dawna. Sądziłam, że może jest chora. Pan wydawał się taki smutny...

Rozkleiłem się znowu. Tyle czasu się trzymałem, a teraz beczę jak dziecko. Jak to jednak zwykła dobroć zmiękcza człowieka, pomyślałem.

– Cztery tygodnie temu – wyjaśniłem. – Nie chciałem przedtem nic mówić, bo... W zasadzie wcale nie zamierzałem mówić. Ani dziś, ani nigdy. To przecież nie pani problemy, ja nie powinienem pani obciążać... Tylko jakoś tak... Może przez to, że zbliżają się święta, ta dekoracja na witrynie... Ale ja sobie przecież poradzę.

– Na pewno – uspokoiła mnie. – Boże Narodzenie na każdego tak działa. Robimy się sentymentalni i zaczynamy inaczej patrzeć na życie. To minie.

– Tak, minie. Wszystko wróci do normy.

Widziałem po jej minie, że chciała dodać coś w rodzaju „i żona też wróci”, ale z jakiegoś powodu się powstrzymała. Podziękowałem jej, wziąłem raport i pieniądze, po czym wyszedłem ze sklepu na zimny, wilgotny wiatr, który natychmiast wywiał z mojego serca tę odrobinę ciepła, którą zdołała podzielić się ze mną pani Krystyna.

*

Po powrocie do pustego domu przez kolejne dwie godziny nie mogłem sobie znaleźć miejsca. Czym właściwie zajmowałem się przed odejściem Bożeny? Jak spędzałem sobotnie popołudnia i wieczory? Przyszło mi do głowy, że chyba nigdy nie robiłem nic interesującego ani nawet szczególnie przyjemnego. I właściwie nie spędzałem czasu z żoną. Każde z nas robiło coś osobno.

Co do mnie, na ogół nalewałem sobie szklaneczkę czegoś mocniejszego i siadałem przed telewizorem. Niby zerkałem jednym okiem, trochę też przeglądałem gazetę, ale zwykle kończyło się to tak, że przenosiłem się na sofę i drzemałem spokojnie aż do wieczora.

Bożena najczęściej siedziała przy komputerze, czasem buszowała w drogeriach i innych sklepach internetowych – niemal wszystkie zakupy robiła ostatnio przez internet. Niekiedy oglądała serial, miała wykupiony dostęp do jakichś platform, uwielbiała filmy. Może powinienem był zabierać ją do kina? Ale przecież sama narzekała, że teraz kino to już nie to co dawniej, że wiecznie śmierdzi prażoną kukurydzą, ludzie szeleszczą jakimiś papierami, mlaskają, nie umieją się zachować.

Czasem robiła sobie domowe spa i wtedy łazienka była wyłączona z użytku na kilka godzin, musiałem chodzić na piętro, do tej mniejszej. Ale to mi nie przeszkadzało, niech się kobieta bawi, ona potrzebowała tych wszystkich maseczek i balsamów. Jedyne, czego nie rozumiałem, to po co jej te świece wokół wanny i butelka czerwonego wina. Bałem się, że zaśnie, zapalą jej się włosy albo stłucze kieliszek i się pokaleczy... Raz czy dwa zaglądałem do niej, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Miała nienaturalne rumieńce, była cała błyszcząca od tych kremów... Nawet ponętnie wyglądała.

Nie uprawialiśmy seksu od dawna. W wieku pięćdziesięciu dwóch lat Bożena przeszła dwie operacje ginekologiczne, powycinali jej wszystko w środku, przestała miesiączkować... Niby nic, ale odniosłem wrażenie, że bardzo się po tych zabiegach zmieniła. Przez jakiś czas była obolała, ja to oczywiście rozumiałem, urządziła sobie sypialnię w dawnym pokoju syna i wolała spać sama. Po kilku miesiącach, kiedy zaproponowałem, aby wróciła do naszego wspólnego łóżka, odparła, że to tak przyjemnie spać samej, że się wreszcie wysypia i że w pewnym wieku zaczyna się już cenić wygodę. Uznałem, że nie chce się ze mną kochać i w ten delikatny sposób daje mi do zrozumienia, że dla niej seks nie jest już atrakcyjny. Sądziłem, że ma to związek z przebytymi operacjami, ze zmianami hormonalnymi w jej ciele. Nie pytałem o nic i nigdy więcej nie rozmawialiśmy na ten temat.

Czy mi tego brakowało? Oczywiście, jak każdemu zdrowemu mężczyźnie. Ale w pewnym momencie życia – jak to kiedyś rubasnie określił mój ojciec – pociąg wciąż jest, tylko lokomotywa coraz częściej się

psuje. Pogodziłem się z tym, że w moim małżeństwie nie będzie odtąd doznań erotycznych. Cóż, życie ma do zaproponowania znacznie więcej, myślałem. Jest wiele przyjemności innych niż seksualne. A jeśli żona nie ma takich pragnień, to jakże mógłbym oczekiwać, że będzie uprawiać ze mną seks ze względu na moje potrzeby? Miałaby się zmuszać? Zaciskać powieki i czekać, aż skończę?

Tymczasem ona, mając pięćdziesiąt osiem lat, na nowo odkryła miłość! Skoro odeszła z kochankiem, to nie tylko platoniczną, lecz także cielesną! Czyżby zmieniła zdanie co do tego, że „w pewnym wieku ceni się wygodę”? Nie chciała już sypiać sama?

Kiedy o tym myślałem, krew się we mnie gotowała.



Na szczęście zdążyłam wrócić, zanim szefowa przyszła z papierniczego. Ceniłam sobie święty spokój, a doskonale wiedziałam, że urządziłaby mi awanturę o te pięć minut spędzone poza sklepem. Gdyby to ode mnie zależało, nigdy nie złamałabym ani tego, ani żadnego innego punktu naszego niepisanego kodeksu. Nic jednak nie mogłam poradzić na to, że wyszła paskudna sprawa z urodzinami Julci. Prezent, który jej zamówiłam przez internet, nie dotarł na czas. Był to zestaw kreatywny do robienia biżuterii. Wiedziałam, że moja bratanica ma zręczne ręczki i uwielbia takie zabawy.

Tymczasem kurier nie dotarł w piątek, co oznaczało, że zapewne dostarczy zamówienie w poniedziałek, kiedy będzie za późno. Nic wielkiego się nie stało, tłumaczyłam sobie. Prezent zostanie wręczony przy innej okazji, przecież niedługo Gwiazdka. Ale tymczasem nie miałam nic, co mogłabym podarować Julci w sobotni wieczór, a pójście z pustymi rękami nie wchodziło w grę. Widok jej smutnej buzi byłby nie do zniesienia.

Kochałam córeczkę mojego brata tak, jak kochałabym własną. Tę, którą straciłam, zanim zdążyłam zobaczyć jej pierwszy uśmiech. Poradziłam sobie z żałobą, ponieważ nie miałam innego wyjścia – zostałam sama, bo Darka to wszystko przerosło. Czasem się zastanawiałam, z czym właściwie nie dał sobie rady – ze smutkiem po śmierci Martusi czy raczej

z niepełnosprawnością Marcinka. Zapewne obie te sprawy złożyły się w całość, w której mój mąż nie potrafił się odnaleźć.

Dopóki żyła mama, jakoś się to wszystko układało. Marcinek miał zapewnioną opiekę, kiedy ja pracowałam, a nawet więcej – babcia zajmowała się nim z taką troską, jakiej nigdy nie okazywała mnie samej. Kiedyś, gdy była już bardzo chora, wyznała mi, że ma wyrzuty sumienia.

– Nie byłam dobrą matką. Powinnam była spędzać z tobą każdą wolną chwilę – powiedziała mi wtedy. – A tymczasem marnowałam czas. Wiecznie zagoniona, wiecznie ze ścierką w jednej ręce i łyżką wazową w drugiej.

– Pracowałam – odparłam, żeby ją pocieszyć. – Musiałaś jakoś sobie radzić. Tata pił, nie miałaś z jego strony żadnej pomocy...

– Powinnam była go zostawić – oznajmiła z zaskakującą siłą w głosie. – Miałabym przynajmniej z głowy darmozjada i awanturnika. Mogłabym zająć się tobą i Grzesiem.

– Przestań, mamó – ucięłam. – Nie ma sensu wyrzucać sobie tego, co było. Pomyśl raczej o tym, jak wspaniałą jesteś babcią.

– Byłam. – Uśmiechnęła się z wysiłkiem. – Mnie już właściwie nie ma, córeczko. Pora zacząć mówić o tym w czasie przeszłym.

Obruszyłam się wtedy okropnie; nadal wierzyłam, że dla mamy jest jeszcze ratunek. Dwa dni później już nie żyła.

*

Kiedy wychodziłam za mąż, strasznie lało. Mój ojciec upił się już wczesnym rankiem, w związku z czym mama uznała, że nie może uczestniczyć w uroczystościach.

– Nic z tego nie będzie – wybełkotał proroczo. – Zobaczycie. Już od początku wszystko idzie źle. Miało być słońce, a pada. Miało być szczęście, a będzie płacz. Popamiętacie jeszcze...

– Chodź – przerwała mama, chwytając mnie za łokieć i wyprowadzając

z kuchni. – Nie słuchaj tego pijaka. Za długo go słuchałyśmy. Będzie cudownie, zobaczysz. Po deszczu zawsze wychodzi słońce, a ty będziesz szczęśliwa z Darkiem, o wiele szczęśliwsza, niż ja kiedykolwiek byłam z twoim ojcem.

To drugie w zasadzie się sprawdziło. Byłam z Darkiem szczęśliwa przez całe trzy lata. Pobraliśmy się bardzo wcześnie, zaledwie miesiąc po mojej maturze (znacznie później pani psycholog podczas terapii wytłumaczyła mi, że chciałam jak najprędzej zacząć dorosłe życie, aby uciec przed nałogiem ojca), już jako mężatka podjęłam studia, które zresztą i tak ostatecznie przerwałam, kiedy się okazało, że po pierwsze jestem w ciąży, a po drugie jest to ciąża bliźniacza i zagrożona.

To był dziwny czas. Z jednej strony zupełna magia – sam fakt, że jestem w ciąży, że noszę w sobie zupełnie nowe życie, że tam w środku, pod moim sercem, rosną właśnie osobne istotki, mające maleńkie płuca, serduszka, żołądki i nerki... Że formują się mózgi dwóch osóbek, które najpierw nie będą widziały poza mną świata, ale za kilkanaście lat zaczną mieć własne zdanie, będą ze mną dyskutować, buntować się i kłócić, aby w końcu dorosnąć, usamodzielnąć się i stać się dojrzałymi ludźmi.

Z drugiej strony ten okropny, ściskający za gardło strach, kiedy lekarz najpierw długo milczał podczas badania, a potem mruknął coś o gorszym rozwoju jednego płodu. Ale nie chciał nic wyjaśnić.

– Ja wolę nie prorokować – powiedział. – Już się zdarzało, że lekarze widzieli coś niepokojącego, a podczas porodu okazywało się, że wszystko z dzieckiem w porządku. I zdarzało się na odwrót: badanie cacy, wyniki doskonałe, a dziecko rodziło się z wadą rozwojową. Nie należy się martwić na zapas.

– Teraz to trochę za późno – odparł Darek z goryczą. – Trzeba było nie mówić tego o tym... niedorozwoju!

– Nie użyłem tego słowa. A poza tym byłbym nieuczciwy, zatajając przed państwem fakt, że dzieci nie rozwijają się jednakowo. Powinniście o tym

wiedzieć.

Czy właśnie wtedy rozpoczął się proces odchodzenia Darka ode mnie i nienarodzonego jeszcze Marcinka? Kto wie. Może tamtego dnia po raz pierwszy pomyślał, że wolałby uciec od tego zmartwienia?

Wszystko kupowaliśmy parami. Bo jak to: jedno rozwija się gorzej, wolniej, ale czy to znaczy, że mam nie kupić mu becika, kocyka czy grzechotki? Darek uparł się jednak, żeby zrezygnować z zakupu łóżeczka.

– Będą spały z nami – przekonywał mnie.

Musiałam przyznać mu rację, bo tak właśnie było u mojego brata: kupili łóżeczko, a potem stało puste, traktowali je jako skrzynię na zabawki, bo ich pierwszy synek płakał całą noc i dopiero gdy go brali do siebie, zasypiał od razu. Dałam się więc przekonać, może też trochę z powodu przesądów, ponieważ w mojej rodzinie zawsze pokutowało przekonanie, że nie należy kupować wyprawki dla niemowlaka zbyt wcześnie – to przynosi pecha.

Nie kupiliśmy także wózka dla bliźniąt. Wiele razy potem myślałam, że to prawdziwa ręka opatrności – zanim stał się nam potrzebny, mieliśmy już tylko synka. Nasza córeczka nie przeżyła nawet dwóch tygodni. Wolałam sobie nie wyobrażać, jak bym się czuła, gdybym została z tym wielkim wózkiem i miała do niego włożyć maleńkiego Marcinka, a poduszka po drugiej stronie byłaby tak strasznie, bezlitośnie pusta.

Wydawało się, że Marcin rozwija się książkowo. Po miesiącu uśmiechał się do mnie i gruchał radośnie, miał apetyt i przybierał na wadze – urodził się zbyt malutki, bardzo drobny; lekarze mówili, że teraz to nadrabia z nawiązką. Dopiero po kilku miesiącach zauważyłam, że jego uśmiech jest niesymetryczny, jedna nóżka nie fika tak wesoło jak druga, a rączka nigdy nie trafia tam, gdzie by chciała. Nie umiał także przekręcać się z brzuszka na plecy i bardzo słabo trzymał główkę.

Kiedy kończył roczek i wciąż nie siedział, jego tatuś uznał, że lepiej nam będzie bez niego. Albo może raczej jemu bez nas.



Nie miałem pojęcia, o co chodziło mamie: najpierw chce zrobić mi obiad, potem nagle wygania mnie do domu i konspiracyjnym szeptem oznajmia, że przyjdzie później i że mam sobie odgrzać bigos. Może jakaś dawna koleżanka wpadła do niej na ploteczki. Chciałem zadzwonić i upewnić się, że wszystko w porządku, ale rozładowała mi się komórka.

Ponieważ nigdzie się nie spieszyłem, zaniósłem zakupy, ugotowałem łazanki, odgrzałem i zamieszałem bigos (to było moje ulubione danie z dzieciństwa), po czym włączyłem telewizor i obejrzałem ciurkiem trzy programy przyrodnicze. Dopiero wtedy wróciła mama.

– Życie potrafi płać figle – zauważyła filozoficznie, ale nie chciała wyjaśnić, co dokładnie ma na myśli.

– Ale nic się nie stało? – upewniłem się. – Nie masz żadnych problemów?

– Ja? Nie, skądże.

Miała dość tajemniczą minę i wydawała się rozkojarzona. Nałożyła sobie łazanek z bigosem i przez chwilę jadła w milczeniu. Ja położyłem się na kanapie. Wyłączyłem telewizor. Szczerze mówiąc, miałem ochotę na drzemkę.

– A zmieniając temat... – zaczęła mama po chwili. – Ty znasz tę Małgosię z obuwniczego?

Przez chwilę szukałem w pamięci jakiegokolwiek Małgosi.

– Nie mam pojęcia, o kim mówisz.

– Była dziś u mnie w sklepie, mineliście się, kiedy wychodziłeś na zakupy.

– A, tak! Masz na myśli mamę Marcina Berezy. Nie pamiętałem, że ma na imię Małgorzata. Znamy się jedynie z wywiadówek.

– Bereza? Tak się nazywa?

– Tak. Marcin jest w mojej klasie. Ma trochę problemów zdrowotnych, nie jest do końca sprawny. Ale byłem pewien, że jego mama pracuje w dyskoncie na kasie.

– To może kiedyś. Od miesiąca widuję ją w „Ciżemce”, wiesz, w tym obuwniczym po sąsiedzku. Swoją drogą, nie wiem, czy mogła trafić gorzej.

– Dlaczego? Sprzedawanie butów jest chyba mniej męczące niż...

– Nie o tym mówię. – Mama machnęła na mnie ręką. – Chodzi mi o to, że ma beznadziejną szefową. Wredne babsko i tyle.

– To niedobrze.

Zamyśliłem się. Nie znałem mamy Marcina, ale te kilka rozmów, które odbyliśmy, utwierdziły mnie w przekonaniu, że jest niesamowicie wrażliwą osobą. Kiedy zacząłem uczyć klasę czwartą a, od razu zauważyłem, że Marcinek objęty jest swego rodzaju parasolem ochronnym przez resztę klasy. Nie miałem pojęcia, jak poprzedniej wychowawczynie udało się osiągnąć taką atmosferę życzliwości wobec tego dziecka. Chłopiec miał nie do końca sprawną lewą rękę, powłóczył nieco nogą, lekko zezował i mówił odrobinę niewyraźnie.

Po wrześniowej wywiadówce podeszła do mnie szczupła kobieta o nieco azjatyckiej urodzie i poprosiła o rozmowę. Wyglądała bardzo młodo. Kiedy

się uśmiechnęła, jej oczy zamieniły się w ciemne kreseczki. Przez jakiś czas zastanawiałem się nawet, czy nie jest starszą siostrą Marcina. Przecież aby mieć syna w tym wieku, musiałaby być ode mnie starsza, a to wydawało mi się niemożliwe. Okazało się jednak, że tak właśnie jest. Mimo młodego wyglądu i dziewczęcej sylwetki pani Bereza niosła na swoich barkach bagaż doświadczeń, których ciężaru nie mogłem sobie nawet wyobrazić. Nie znałem dokładnie jej historii – nie wypadało przecież wypytywać. Jedyne, czego się dowiedziałem, to że Marcin pochodził z ciąży bliźniaczej, lecz jego siostrzyczka zmarła wkrótce po narodzinach. Mama Marcina zrobiła wszystko, co mogła, aby malec nauczył się tego, czego inne dzieci uczą się niejako samoistnie: siadać, chodzić, samodzielnie jeść, mówić, a wreszcie pisać, rysować i lepić z plasteliny. Nie miałem pojęcia, jak ta krucha kobieta zdołała osiągnąć aż tyle. Jedno było pewne: chłopiec dogonił rówieśników, a niewielka niepełnosprawność ruchowa w żaden sposób nie wpłynęła na jego pozycję w grupie. Był bardzo lubiany i szanowany, niewątpliwie między innymi z powodu poczucia humoru, inteligencji i wyobraźni, którą znacznie przewyższał kolegów z klasy.

– O czym myślisz? – Głos matki przerwał moje rozmyślenia. Nie czekając na odpowiedź, od razu zadała kolejne pytanie: – Kupiłeś składniki na sernik? Mam nadzieję, że nie włożyłeś do lodówki? Ciasta udają się najlepiej, jeśli produkty są w temperaturze pokojowej.

Wiedziałem o tym doskonale. W końcu jeśli słyszy się coś tysiące razy, człowiekowi zapada to w pamięć. „Wyjmij jajka z lodówki, bo mi się biszkopt nie uda”. „Nie wkładaj masła do lodówki, bo nie wyjdzie krem”. I jedynie przy kruchej szarlotce: „koniecznie włóż masło do lodówki!”.

– Synku, mam pełny kosz – oznajmiła mama, ledwie założyła fartuszek w kolorowe grochy i podkasła rękawy. – Skoczyłbyś wyrzucić śmieci.

Westchnąłem, ponieważ już zaczynało mi się robić błogo, a moje powieki stały się ciężkie. Podniosłem się z kanapy, wziąłem kubełek z odpadkami i nie zakładając kurtki, wyszedłem na klatkę schodową.

– Przeziębisz się! – rozległ się głos mamy. – Przewieje cię, zobaczysz! Oluś! W tej chwili wróć i się ubierz!

Po raz kolejny tego dnia zacisnąłem zęby. Zawróciłem i włożyłem kurtkę, nie zapinając jej jednak.

– Nabawisz się kłopotów! – rzuciła mama tonem jakiejś ponurej wieszczki.

Któż mógł przewidzieć, jak bardzo prawdziwe okażą się jej słowa!



Najpierw była miękka ciemność. Czułem się bezpiecznie i było mi ciepło, ponieważ otaczały mnie inne ciała i to było dobre. Nie wiedziałem nic o świecie, nie miałem pojęcia, że istnieje cokolwiek poza zapachem mleka i dziwnym uczuciem w moim brzuszku, kiedy masowało go coś miękkiego i wilgotnego.

Jakiś czas później pojawiło się światło. Dopiero wtedy zorientowałem się, że świat nie kończy się na podbrzuszu Mamy, że tam dalej rozpościera się kraina tysięcy zapachów, z których jeden był bardziej kuszący niż drugi.

Kiedy moje oczy otworzyły się na dobre, pierwszym, co zobaczyłem, był pyszczek Brata. Usiłował złapać mnie za ucho i wytarosić. W ogóle pierwszymi zabawami, którym oddawaliśmy się z wielkim przejęciem i zaangażowaniem, były właśnie walki. Jeszcze trochę chwialiśmy się na łapkach, ale już trenowaliśmy warczenie i chwytanie się nawzajem bezzębnymi dziąsłami za karki. Płeć nie miała znaczenia, równie dobrze mogłem siłować się z Bratem, jak z Siostrami. Brat był silniejszy, często z nim przegrywałem. Z Siostrami na początku szło mi łatwiej, ale stopniowo moje siły topniały albo może nie rosłem tak szybko jak rodzeństwo. Nie byłem pewien, może miało to coś wspólnego z dziwnym uczuciem w nosku i gardle, kiedy wypilem dużo maminego mleka. Po prostu czułem, że nie

dopływa mi do brzucha. Wciąż byłem głodny, więc piłem więcej i więcej, ale w pewnym momencie zaczynałem czuć się bardzo źle i wszystko ze mnie wypływało. Czasem przez pyszczek, a czasem przez nos.

*

Lubiłem, kiedy pojawiała się Kobieta. Brała nas po kolei na ręce i całowała nasze mordki. Czasem wachała i mówiła, że pachniemy jak małe liski. Że czuje zapach dzikiej natury. Mama denerwowała się trochę, poznawałem to po jej przyspieszonym oddechu i machaniu nisko opuszczonym ogonem. Po chwili Kobieta odkładała nas do legowiska, a wtedy Mama lizała nasze brzuchy i pyszczki, jakby chciała zaznaczyć, że należymy do niej.

Po jakimś czasie Kobieta zaczęła podsuwać nam miseczki z czymś niesamowicie aromatycznym. Wypowiadała przy tym słowa „mięsko, marchewka, jajeczko i ryż”, ale nic mi to nie mówiło. Wiedziałem tylko, że bardzo lubię wszystkie te rzeczy i że pięknie pachną. Tak pięknie, że nie mogłem się oprzeć wylizywaniu miseczki. Tylko że potem znowu czułem się źle, ale tym razem to wszystko nie wypadało mi przez nos, tylko przez pyszczek.

Następnym wyraźnym wspomnieniem był gruby głos Mężczyzny, który także brał nas na ręce, ale nie całował, tylko oglądał.

– Rzeczywiście, ten jeden jest wyraźnie chudszy – powiedział, kiedy trzymał mnie na rękach. – Jakiś niewydarzony. Od początku taki był?

– Nie, nic nie zauważyłam. Dopóki ssąły mleko mamy, rozwijał się normalnie. Nie wymiotował. Trochę wypływało mu noskiem, ale myślałam, że to normalne...

– Jakie tam normalne – zdenerwował się Mężczyzna. – Jak dziecku leci nosem, to też jest normalne?

– Nie wiem. Nie mam dzieci.

– Okej. Przepraszam. Po co ci w ogóle były te kundle?

– Mój Boże, przecież ich nie chciałam. Broszka uciekła z ogródka, miała

cieczkę i podkopała się pod ogrodzeniem... Rysiek nie upilnował. No i sam widzisz, cztery zdrowe, a ten jeden jakiś taki...

– Wiadomo chociaż, kto jest tatusiem?

– A niby skąd? Pewnie było ich kilku, bo każdy szczeniak inny. Weterynarz mówił, że tak może być u psów.

– Serio? Nie wiedziałem. Ten to jest nawet ładny... Uszy ma takie jedwabiste, że tylko głaskać.

– Ale chudy okropnie, aż żal patrzeć.

– To prawda. I jeśli tak jak mówisz, ciągle wymiotuje, to kto go weźmie?

– Właśnie. Bo to już pora wydać między ludzi, Broszka nie karmi, zaczyna warczeć na te szczeniaki... Tamte pozostałe łatwo będzie komuś wcisnąć, Gabrysia ma w szkole koleżanki, powiedziała im, że to prawie rasowe owczarki...

– Ale ten nie przypomina owczarka.

– No nie. W ogóle niczego nie przypomina. Łapki krótkie, łaciaty jak cielak, no i te sterczące uszy...

*

Rodzeństwa ubywało. Najpierw jacyś ludzie – dwoje dużych i jeden mały – zabrali moją Siostrę, którą nazwali Perełka. Kilka dni później zjawiała się pani o miłym głosie. Najpierw wyciągnęła ręce, przytuliła mnie i długo głaskała moje uszy, ale potem Kobieta coś jej powiedziała i wówczas tamta odsunęła się ode mnie jakby ze wstrętem. Wzięła Brata. Potem zabierano kolejne Siostry.

W końcu zostałem sam z Mamą. Nie pozwalała mi już ssać, zresztą przestała pachnieć mlekiem. Lubiłem wtulać się w to miejsce, gdzie kiedyś czułem się tak bezpiecznie, ale na ogół wtedy warczała. Zupełnie jakby przestała mnie lubić. Kobieta coraz częściej trącała mnie butem, kiedy wspinałem się łapkami na jej łydki, prosząc, aby wzięła mnie na ręce

i przytuliła tak jak kiedyś. Wreszcie nadszedł dzień, kiedy zamknęła mnie samego w pomieszczeniu, w którym nie było nic miękkiego, nic podobnego do Mamy. Trochę pachniało tam siuškami. Byłem bardzo głodny, więc przeszukałem każdy kąt, ale nie było nic, co mógłbym chociaż żuć. Nie miałem się w co wtulić, więc tak długo skakałem, że udało mi się ściągnąć z góry puchaty kawałek tkaniny. Położyłem się na nim, powąchałem i rozpoznałem zapachy wody, Mamy, Kobiety i jeszcze wielu rzeczy, których nie znałem. Zacząłem ssać róg materiału i wtedy przestałem się bać. Potem zasnąłem.

*

Kiedy się obudziłem, usłyszałem głosy. Jeden z nich należał do Kobiety.

– Ale to kosztuje kilkaset złotych.

– Chyba żartujesz!

– A co ty myślałaś? Że usypianie psów jest za darmo?

– No nie wiem... Ale na pewno nie kilkaset.

– No to może mniej, nie wiem. Może jak mały pies, to mniejsza dawka. W każdym razie na pewno nikt ci tego nie zrobi za darmo.

Drzwi się otworzyły i do pomieszczenia wszedł Człowiek, którego wcześniej widziałem tylko kilka razy.

– No ładnie, ściągnął ręcznik i obślinił. Weź go do prania – powiedział, brutalnie wyciągając spod mojego ciała miękką tkaninę. – Wiesz w ogóle, co mu dolega?

– Nie mam pojęcia. Po prostu nie rośnie i ciągle wymiotuje. Nic z niego nie będzie.

Kobieta przykucnęła i przyglądała mi się przez kilka sekund. W jej głosie nie było dawnego ciepła i już wiedziałem, że mnie nie przytuli. Mimo to usiłowałem wspiąć się łapkami na jej kolana, jednak odtrąciła mnie tak mocno, że aż upadłem na twardą podłogę. Pisałem, bardziej ze strachu niż

z bólu.

– Wymyśl coś – rzuciła ze złością, zwracając się do Człowieka. – Gdybyś wtedy nie zostawił Broszki bez nadzoru w ogrodzie, to teraz nie musiałabym zajmować się jakimś chorym kundlem.

– Jeszcze niedawno zachwycłaś się, jakie to słodziaki!

– Tak, bo były słodziakami przez jakieś dwa tygodnie. Potem zaczął się brud i smród! Kilogramy zasikanych gazet, wszędzie kupy, i jeszcze ten mały zarzyganiec! Nigdy więcej! Broszka pójdzie do sterylizacji... Tylko na razie nie mamy pieniędzy.

– A z tym maluchem co zrobisz?

– Mówiłam ci: wymyśl coś. Weź na siebie chociaż część odpowiedzialności!

Człowiek przez chwilę patrzył na mnie. W zapachu jego ciała czułem agresję. Z nerwów przykucnąłem w kącie i zostawiłem na podłodze mokrą kałużę. Kobieta syknęła i szybko starła ją czymś białym, co się cudownie rozwijało z rolki. Wyobraziłem sobie, jak wspaniale byłoby się tym pobawić.

– Dobra, jakoś to załatwię – oznajmił wreszcie Człowiek. – Ty się po prostu nie wtrącaj. Mogę wziąć ten ręcznik? I tak jest śmierdzący.

– Bierz.

– Dobra, to jeszcze daj mi jakieś pudełko, trochę papierów i worek na śmieci. A potem nie patrz. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal.

Nic z tego nie rozumiałem, nikt nie powiedział „mięsko” ani innego z tych miłych słów, nikt nie chciał mnie przytulić, więc usiłowałem pobawić się pomponem przy kapciu Kobiety, ale znów mnie odtrąciła.

Mężczyzna wyszedł na chwilę, a kiedy wrócił, miał w ręce pudełko, na którym narysowane były buty. Owinął mnie ręcznikiem, który pachniał znajomo, więc poczułem się bezpiecznie. Potem wsadził mnie do pudełka i wtedy przestałem cokolwiek widzieć, ponieważ zrobiło się ciemno.

Usłyszałem szelest papieru, podobny do szelestu gazet, które wykladała na podłodze Kobieta, żebyśmy na nie siusiali. Potem pojawił się jeszcze jeden dźwięk – szelest folii, który znałem, bo raz Bratu udało się ściągnąć ze stołu reklamówkę i wspólnie porwaliśmy ją na strzępy. Ten dźwięk towarzyszył mi przez następne kilka minut. Czułem, że zostałem podniesiony z podłogi, ale to nie było tak miłe, jak branie na ręce. Kolebałem się na boki, pudełko pachniało czymś obcym, ktoś mnie gdzieś niósł, a wreszcie zostałem upuszczony z niedużej wysokości – na tyle niedużej, że nic mi się nie stało, bo przecież byłem owinięty ręcznikiem. Przez nieprzyjemny zapach folii i pudełka dotarły do mnie inne aromaty, niezwykle smaczne, a ponieważ byłem bardzo głodny, zacząłem rozpaczliwie drapać łapkami, aby się wydostać. Nie udało mi się tego zrobić, więc przez chwilę leżałem i zbierałem siły, a potem zacząłem piszczeć najgłośniej, jak umiałem. Robiłem to bardzo długo, ale nikt nie przychodził. Było mi duszno. Wreszcie opadłem z sił. Od tej chwili na przemian drzemałem i popiskiwałem.



Otworzyłem pojemnik na śmieci i wrzuciłem do niego worek, po czym docisnąłem lekko. Wydawało mi się, że słyszę jakiś dźwięk. Może ktoś wyrzucił gumową zabawkę, pomyślałem. Docisnąłem jeszcze raz. Dźwięk powtórzył się, ale tym razem na pewno nie brzmiał jak gumowa zabawka, raczej jak płacz albo pisk. Czyżby w śmietniku były szczury?! Nie miałem ochoty na spotkanie z gryzoniem, a jednak coś kazało mi wyciągnąć worek i zajrzeć głębiej.

W nozdrza buchnął mi smród odpadków. W zasadzie powinienem był w tym momencie ponownie włożyć śmieci do pojemnika i zwyczajnie odejść. Zamiast tego – nadal pchany niezrozumiałym impulsem – uniosłem niebieski worek leżący na wierzchu. Pisk stał się wyraźniejszy. To coś, co piszczało, musiało znajdować się w środku. Przemogłem naturalne obrzydzenie – bo w końcu kto lubi grzebać w śmieciach – i rozwiązałem supeł z folii. Wewnątrz znajdowały się zmięte gazety, a jeszcze głębiej – pudełko po butach. Teraz słyszałem już wyraźnie, że w środku coś nie tylko piszczy, ale także się wierci. Teoretycznie mógł to być szczur. Ale skąd wzięłby się w zawiązanym worku? Coś tu się nie zgadzało. Postawiłem pudełko na ziemi i ostrożnie uniosłem pokrywkę. Moim oczom ukazał się ciasno owinięty ręcznikiem psiak. Miał sympatyczny pyszczek i śmieszne sterczące uszy. Ale

tym, co uderzyło mnie najbardziej, był wyraz przerażenia w jego orzechowych oczach.

Ostrożnie wziąłem go na ręce. Przywarł do mnie całym ciałem, a ja poczułem coś, co dotąd czułem tylko raz w życiu – kiedy koleżanka ze studiów, która na drugim roku urodziła córeczkę, a my całą grupą odwiedziliśmy ją, niosąc w darze śpioszki w pingwiny, poprosiła mnie o potrzymanie małej. Położyła mi ją na kolanach, ponieważ nie bardzo wiedziałem, jak chwycić coś tak kruchego, a ta maleńka dziewczuszka z całej siły capnęła mój palec i trzymała, jakby to zapewniało jej bezpieczeństwo. Mieszanka tkliwości, rozczulenia, poczucia siły graniczącej niemal z wszechmocą – i jeszcze tysiąca innych nienazwanych uczuć – zalała wówczas moje serce. Teraz poczułem się podobnie.

Szczeniak był wiotki, jakby uleciało z niego pół życia. Nie miałem pojęcia, jak długo leżał w koszu, w zawiązanym worku na śmieci, ale z pewnością brakowało mu powietrza. Zabrałem go do mieszkania mamy, sam nie wiedząc, po co właściwie to robię. Choć przecież wszystko było jasne, z tym że pytanie nie brzmiało „po co”, tylko „dlaczego”. Dlatego, że jakiś sukinsyn wyrzucił żywe stworzenie na śmietnik. Dlatego, że nikt, kto potrafi odczuwać cierpienie – ani zwierzę, ani człowiek – nie zasługuje na to, by potraktować go jak rzecz. I dlatego, że zwyczajnie nie widziałem innego wyjścia.

– Co to jest?! – krzyknęła mama, kiedy wszedłem do kuchni, niosąc na rękach psiaka zawiniętego w śmierdzący ręcznik.

– No właśnie nie jestem pewien – odparłem głupio. – Ale chyba pies.

Na swoje usprawiedliwienie miałem jedynie to, że w sumie pytanie również nie było zbyt mądre.

– To widzę! Pytam, dlaczego przyniosłeś tu jakiegoś zapchlonego kundla!

W maminym głosie usłyszałem coś podobnego do hysterii. Przez trzydzieści lat mojego życia nigdy, przenigdy nie krzyczała w ten sposób. Nawet gdy dostałem huśtawką w głowę i trzeba było szyc.

– Nie wiadomo, czy jest zapchlony – odparłem z urazą. – A poza tym co miałem zrobić? Wyrzuciłem śmieci, a gdy próbowałem wcisnąć worek głębiej, coś pisnęło...

– Myszy – szepnęła mama nieco nieprzytomnie.

– No przecież nie myszy, tylko ten psiak.

Nie do wiary, tupnęła na mnie nogą! Nigdy się tak nie zachowywała. Musiała być bardzo zdenerwowana.

– Oluś! – zaczęła głosem drżącym od emocji. – Ja ci nigdy nie mówiłam, bo jedna psycholog mnie ostrzegła, że w ten sposób przenosi się lęki z rodziców na dzieci... Więc nigdy ci nie powiedziałam. Ale teraz powiem: ja psów nie znoszę. Boję się ich. Brzydzę się. Są takie brudne i śmierdzące, i wstrętne...

– Mamo, o czym ty mówisz?!

– Kiedy byłam mała, pogryzł mnie taki... kundel! Miałam potem zastrzyki w brzuch.

– Mamo, uspokój się. Popatrz na to stworzenie. Spójrz, nie odwracaj się. Czy on wygląda na agresywnego?

– Tamten też nie wyglądał. Nie, nie, nie! Nie znoszę psów!

Stałem w przedpokoju, niezdecydowany. Pewnie powinienem gdzieś zadzwonić, do schroniska albo do weterynarza... W głowie miałem kompletny mętlik. Czy istnieje pogotowie dla psów? Czy takie rzeczy się gdzieś zgłasza? Przypomniało mi się, że kiedyś w wiadomościach mówili o jakimś patrolu osób zaangażowanych w prawa zwierząt, ale jak to się nazywało?

– Gdzie mogę go położyć? – zapytałem.

– Nigdzie! – krzyknęła mama z tą samą histeryczną zaciekłością. – Na pewno jest zarobaczony! Daj spokój, Oluś, wywal go!

– Ale co ty rozumiesz przez „wywal”?!

Przez chwilę patrzyła na mnie z zaciętrzewieniem, a potem nagle oklapła.

– No tak, masz rację – powiedziała cicho. – To jednak żywa istota. Ale nie wiem, trzeba go gdzieś wywieźć. Są jakieś przytułki czy jak to się tam nazywa.

– Schroniska.

– O, właśnie, schroniska. Oni się znają, zaopiekują się, nakarmią i tak dalej. Bo ty nawet przecież nie wiesz, co toto właściwie je.

– Mamo, to nie jest egzotyczne zwierzę. To piesek.

– Może na razie połów go na klatce schodowej, umyjesz ręce i poszukasz w internecie numeru do schroniska.

Narastał we mnie bunt. Sam nie wiedziałem, skąd wzięło się we mnie to uczucie. Zupełnie jakby nagromadzone przez lata, a nigdy dotąd niewypowiedziane słowa sprzeciwu wobec nieustannych rad i pouczeń nadopiekuńczej matki teraz miały się wydostać na wolność. W owej chwili nie zależało mi wcale na psiaku. Po prostu chciałem przeciwstawić się mamie. Po raz pierwszy w życiu widziałem w tym prawdziwy sens.

– Nie położę go na klatce schodowej – powiedziałem kategorycznie. – Nie widzisz, że to psie dziecko? Nie znam się na tym, ale wygląda, jakby miał za chwilę umrzeć z głodu. Nie zamierzam teraz szukać dla niego, jak to określiłaś... przytułku. Zamierzam go nakarmić.

Odwróciłem się na pięcie i wyszedłem, tuląc pod kurtką zawiniętego w cuchnący ręcznik szczeniaka i czując się tak dzielny i męski, jakbym właśnie wyniósł z pożaru dziecko albo dokonał innego równie bohaterskiego czynu. Dopiero kiedy znalazłem się na ulicy i przekonałem się, że w międzyczasie kapuśniaczek zamienił się w lodowatą ulewę, zacząłem kląć na czym świat stoi. A pomyśleć, że mogłem drzemać na kanapie i czekać na pachnący wanilią sernik...

Nie miałem pojęcia, czy z takim szczeniakiem można podróżować komunikacją miejską. Postanowiłem pójść pieszo – albo raczej przebiec,

w końcu nie miałem daleko. Przemykając od drzewa do drzewa, od daszku do daszku i moknąc coraz bardziej, kłamię na siebie za idiotyczny pomysł, aby chodzić pieszo. Dbam o kondycję, też coś! Nigdy więcej takich bzdur! Zęby szczękały mi w rytm kroków. Tak bardzo skupiłem się na własnych doznaniach, że zupełnie zapomniałem, kogo trzymam w objęciach. Nie zwracałem uwagi na to, że jedwabiste uszy drgają nerwowo za każdym razem, gdy spada na nie kropla deszczu, że mokry łebek chowa się nerwowo pod połę mojej kurtki, ilekroć obok nas przejechał samochód albo syknął odjeżdżający z przystanku autobus.

Wreszcie dopadłem klatki schodowej bloku, w którym mieszkałem. Przeskakując po dwa stopnie, wbiegłem na drugie piętro, aby czym prędzej zrzucić z siebie mokrą kurtkę. Obaj, ja i pies, dygotaliśmy jednakowo. Miałem tylko nadzieję, że ja prezentuję się choć odrobinę lepiej niż on. Bo oto na schodach siedziała, ściskając w garści chusteczkę do nosa, kobieta, którą pragnąłem uwieść. Sara.



Dopiero koło dwunastej przyszedł e-mail od Henryka. „Nareszcie z powrotem w domu. Wróciłem przed dwoma dniami, pozałatwiałem zaległe biznesy, teraz czas na ciebie i miłość. Dziś wieczorem wybierzemy się w piękne miejsce”, napisał. „Koniecznie weź bikini. Wracamy w poniedziałek rano”.

Pewnie powinnam czuć się podekscytowana. Jeszcze rok wcześniej tak właśnie by było. Natychmiast pobiegłabym do szafy i zaczęła przeglądać bieliznę na wieczór. Rzecz w tym, że przestało mi to wystarczać. Nie chciałam być dla Henryka drobną przyjemnością, urozmaicheniem codzienności, czymś w rodzaju weekendowego hobby. I nie chciałam, aby on był czymś takim dla mnie. A w dodatku nagle zaczęło mi przeszkadzać, że napisał „ciebie” małą literą. Zawsze tak robił. Nie przywiązywał wagi do form.

Zwykle po cichutku drwiłam z kobiet, które poświęcały się życiu rodzinnemu. Rodziły jedno dziecko za drugim, rezygnowały z marzeń, z kariery, uzależniały się od swoich mężów. Po jakimś czasie przestawały o sobie dbać, były wiecznie niedospane, zamiast kupić sobie szpilki wybierały ciche, miękkie mokasyny, bo w takich wygodniej się pcha wózek. Pieniądze na wymarzoną podróż do Paryża przeznaczały na rowerek dla pociechy, zamiast luksusowego kremu kupowały tani, żeby wystarczyło też

na kosmetyki dziecięce.

Jednak kiedy skończyłam trzydziestkę – a świętowałam ją sama, ponieważ Henryk musiał wyjechać w interesach – coś się we mnie zmieniło. Zaczęłam sobie uświadamiać, że wszystkie te ekskluzywne hotele, do których mnie zabierał, wystawne kolacje, sauny, masaże i baseny, drogie kiecki, biżuteria i najdroższe perfumy – że to wszystko stało się nudne. Chciałam, aby w moim życiu działa się coś, co dostarczałoby mi emocji. Takich prawdziwych. Niechby był w tym ból, niechby były strach, niepokój, niechbym się kłóciła i potem godziła... Po prostu zapragnęłam tego wszystkiego, co składa się na prawdziwe życie, na prawdziwą relację z drugim człowiekiem.

Początkowo odsuwałam od siebie te myśli. Kpiłam z samej siebie, żartowałam sobie, że zegar biologiczny tyka, ale ja się temu tykaniu nie poddam, nie przejmie nade mną kontroli czysta fizjologia, wszystkie te instynkty, na które się nie godzę. Nie powiedziałam o tym nikomu, nawet Olgierdowi, choć akurat z nim potrafiłam być szczerą. A już na pewno nie zwierzyłam się z takich myśli Henrykowi.

*

Tak więc odczytawszy wiadomość o kolejnym wyjeździe do hotelu z basenem, w pierwszej chwili poczułam rozczarowanie. Potem jednak zajęłam się sprawami praktycznymi, bo przecież było już południe, o czwartej miałam trening na siłowni, a czekały mnie jeszcze wszystkie te zabiegi pielęgnacyjne, bez których nie mogłabym pokazać się na oczy Henrykowi. Był estetą – czasem porównywał sam siebie do Petroniusza (choć mówiąc szczerze, porównanie to wydawało mi się pretensjonalne).

Po namyśle wybrałam kilka ubrań, bieliznę, spakowałam bikini i przygotowałam kosmetyki na wyjazd. Byłam ciekawa, dokąd się tym razem wybierzemy. We wrześniu byliśmy na Malcie, a pewnej soboty ubiegłej zimy Henryk zabrał mnie do Berlina na Tropikalną Wyspę. Co wymyśli tym razem? Może Rzym? Londyn? Pójdziemy do teatru, a potem będziemy się

moczyć w jacuzzi?

Nagle tknęła mnie myśl, że być może zaplanował także jakieś wielkie wyjście, powinnam więc – tak na wszelki wypadek – zabrać wieczorową sukienkę. Jakiś czas temu kupiłam sobie cudną kreację mieniącą się złotem i miedzią. Dotąd nie miałam kiedy jej nosić, na wszystkie okazje wydawała mi się zbyt strojna. Postanowiłam ją przymierzyć, bo nie byłam pewna, czy nie pogniotła się w szafie. Może trzeba by ją odświeżyć parownicą?

Włożyłam elegancką bieliznę i wciągnęłam na siebie sukienkę, śliską jak wężowa skórka. Coś było nie w porządku. Opinała się na piersiach. Nigdy przedtem – a mierzyłam ją kilka razy – nie było mi w niej tak niewygodnie. Co się stało? Przytyłam? Powiększył mi się biust? Rozebrałam się do naga i obejrzałam uważnie swoje ciało. Naprawdę, piersi miałam jakby pełniejsze. Po raz drugi tego dnia stanęłam na wadze. Doszło kolejne pół kilo, ale przecież wypijałam kawę, a potem jeszcze kolejno napar z czystka i morwy białej...

Nagle zelektryzowała mnie myśl, że nie pamiętam, kiedy ostatnio miałam okres. Wciąż naga, choć w mieszkaniu było chłodno, pobiegłam do sypialni i drżącymi rękami sięgnęłam po notes, w którym notowałam wszystkie ważne sprawy. Między innymi wielką czerwoną kropką oznaczałam początek każdej miesiączki, krzyżykiem zaś – owulację. Mój Boże, złośliwe kartki nie chciały dać się przekładać, zlepiły się... Nie mogłam znaleźć czerwonej kropki. Kiedy wreszcie do niej dotarłam, prawda uderzyła mnie niczym obuchem. Ostatni raz miałam okres sześć tygodni temu. Dwa tygodnie przed wyjazdem Henryka na urlop. Kochaliśmy się wtedy łapczywie, żeby wystarczyło nam czułości na cały ten długi czas rozłąki. Zabezpieczyliśmy się, jak zawsze, Henryk nigdy nie robił tego bez prezerwatywy. Rzecz w tym, że o ile wiedziałam, prezerwatywa nie była stuprocentowo pewnym sposobem zabezpieczenia.

Czyżby tym razem los z nas zakpił? Czy to możliwe, abym była w ciąży?!



Byłem przyzwyczajony do niespodziewanych wizyt Sary – właściwie od początku naszej znajomości traktowała mnie jak powiernika, zwierzała mi się z rozmaitych problemów i dylematów (jak choćby: czy romans ze starszym żonatym mężczyzną ma jakąkolwiek przyszłość? Naturalnie odpowiedziałem, że nie ma absolutnie żadnej).

Wyglądało to zawsze w ten sam sposób: Sara zjawiała się w moim mieszkaniu bez zapowiedzi, z butelką wina w torebce. Czasem płakała, innym razem była nienaturalnie podekscytowana albo podenerwowana. Niezależnie od tego, z jakim problemem przychodziła, robiliśmy sobie lekką kolację (bo bardzo dbała o linię) i spędzaliśmy długie godziny na intymnych rozmowach, podczas których czasem zaczynały nam się kleić powieki, więc kończyliśmy zwierzenia, kładąc się na wielkim łóżku, które odziedziczyłem po Judycie. Niezaprzeczalnie był to fantastyczny mebel i uwielbiałem na nim spać, jednak w takie noce żałowałem, że zamiast tego w sypialni nie stoi wąski tapczan, na którym po prostu musielibyśmy się do siebie przytulić. Tymczasem ogromna powierzchnia materaca sprawiała, że między nami z powodzeniem zmieściłyby się jeszcze dwie osoby, i nijak nie mogłem udawać, że zupełnie przypadkiem natrafiłem we śnie na biust albo biodro Sary.

Za każdym razem, kiedy mnie odwiedzała i wyciągała z torebki wino,

miałem nadzieję, że tym razem do czegoś między nami dojdzie. Za każdym razem serce w mojej piersi tłukło się jak oszalałe, a wyobraźnia pracowała na najwyższych obrotach. Za każdym razem, kiedy ona przyrządzała sałatki czy inne smakowitości, ja brałem szybki prysznic i szorowałem zęby w nadziei na seks. I za każdym razem tchórzyłem w momencie, kiedy należało zrobić pierwszy krok.

Tego wieczoru wszystko było inaczej. Po pierwsze wyglądałem jak siedem nieszczęść i byłem nie tylko mokry od deszczu, ale też spocony jak mysz. Po drugie ona sama wyglądała wcale nie lepiej. Po trzecie moje myśli zaprzątnięte były stworzeniem, które trzymałem w objęciach i które cuchnęło niczym śmieciarka. Chwilowo nie byłem zainteresowany, jakież to kłopot sercowy tym razem ma Sara. Zajmowały mnie własne problemy, a konkretnie jeden.

– Mój Boże, co to takiego?! – wykrzyknęła Sara na mój widok.

Już druga osoba zadaje mi to idiotyczne pytanie, pomyślałem.

– Pies – mruknąłem, klepiąc się ręką po kieszeni w poszukiwaniu klucza. – A właściwie psie dziecko. Znalazłem je w śmietniku.

Ku mojemu zdumieniu Sara rozkleiła się zupełnie.

– Nie wymawiaj słowa „dziecko”! – zawołała, zupełnie zbijając mnie z pantałyku.

Spodziewałem się raczej aplauzu. Sam byłem gotów wzruszyć się własną dobrocią, tymczasem kobiety, po których można by się jednak spodziewać pewnej wrażliwości, reagowały całkiem nielogicznie: najpierw mama, krzycząca co najmniej tak, jakbym przyniósł jej do domu kolonię karaluchów, a teraz Sara, która z niewiadomych przyczyn szlochała i protestowała przeciwko nazywaniu szczeniaka – szczeniakiem.

– Ale o co ci chodzi? – zapytałem niepewnie, kiedy w końcu udało mi się otworzyć drzwi.

Weszliśmy do mieszkania. Od razu skierowałem się do łazienki

i delikatnie włożyłem psiaka do wanny. Odwinąłem ręcznik, po zapachu poznając, że został zasikany. No tak, psie dziecko to psie dziecko, robi w pieluchy. Nie miałem zielonego pojęcia, jak to zrobić, aby taki szczeniak wiedział, gdzie się załatwiać. I właściwie skąd miałbym wiedzieć, że mu się chce? Czy psy to jakoś sygnalizują? Uświadomiłem sobie, że zupełnie nic nie wiem o zwierzętach domowych. Mniej niż nic.

– Saro, mogłabyś wziąć ten ręcznik? – mruknąłem, jedną ręką przytrzymując szczeniaka, a drugą usiłując odkręcić wodę i ustawić na średnią temperaturę.

Za moimi plecami rozległo się bardzo wilgotne pociągnięcie nosem.

– Oluś! Ja jestem...

– Weź go i wyrzuć do śmieci!

– Oluś...

Najwyraźniej chciała mi coś powiedzieć, ale nie dałem jej dojść do słowa. Wzięła ręcznik w dwa palce i zaniósła go do kuchni. Po chwili rozległo się trzaśnięcie drzwiczek szafki pod zlewem. Musiała być zdenerwowana.

Kiedy odkręciłem wodę, psiak zaczął miotać się jak oszalały. I tak już byłem mokry, ale czym innym jest zmoknąć na deszczu, a czym innym mieć na całej twarzy brudną wodę z sierścią. Walka trwała dobre kilka minut. Wreszcie udało mi się opłukać przerażonego zwierzaka przynajmniej z zewnętrznej warstwy brudu – tego, co wyglądało jak zaschnięte wymiociny. Nie miałem pojęcia, czy mogę użyć „ludzkiego” szamponu albo mydła, więc na wszelki wypadek tego nie zrobiłem.

– Teraz podaj mi coś do wytarcia – wysapałem, bo Sara tymczasem wróciła do łazienki i towarzyszyła mi w milczeniu. – Może być ten ręcznik, który wisi na kaloryferze.

Bez słowa zrobiła to, o co prosiłem. Po chwili szczeniak był już opatulony ciepłą tkaniną. Przycisnąłem go do piersi, a wtedy natychmiast się uspokoił.

– Weź go. – Podałem zawiniątko Sarze, która wciąż w milczeniu

przyglądała się temu, co robię. – Przytrzymaj. Ja muszę wziąć prysznic.

Poszedłem do pokoju po świeże ubranie, nie bacząc na to, że zostawiam na podłodze mokre ślady stóp. Chwyciłem pierwsze z brzegu dżinsy i koszulkę, po czym wróciłem do łazienki. Prędko spłukałem z siebie pot i psią sierść, podczas gdy Sara siedziała z psiakiem na sofie. Dopiero kiedy wytarłem włosy, ubrałem się i dołączyłem do niej, zauważyłem, że wciąż płacze.

– Jesteś... jesteś taki opiekuńczy – wyjąkała, natychmiast przekazując mi szczeniaka. – Taki troskliwy. Dlaczego inni mężczyźni nie mogą tacy być?

Po raz kolejny tego dnia poczułem się niezwykle męski. Odchyliłem brzeg ręcznika, a wówczas moim oczom ukazały się gładkie uszka i czarny wilgotny nos, który poruszał się leciutko. Psiak chyba dochodził do siebie, choć nadal dygotał. Pomyślałem, że kiedy wyschnie, będę musiał go nakarmić. Tylko zupełnie nie miałem pomysłu, co mógłbym mu dać na kolację.

Sara westchnęła i wytarła nos. Nie wyglądała tak seksownie, jak zwykle. Dotychczas podobała mi się nawet, gdy płakała. Tym razem coś było inaczej. Albo płakała już tak długo, że cały makijaż zdążył z niej spłynąć, albo w ogóle się nie umalowała.

– Powiesz wreszcie, co się stało? – zapytałem, zerkając na jej torebkę.

Na ogół w takim momencie wyciągała wino i rozpoczynały się zwierzenia. Tym razem wina najwyraźniej miało nie być. Za to zwierzenia – owszem.

– Jestem w ciąży! – wypaliła. – W ciąży, Oluś, rozumiesz?!



Bardzo się wystraszyłem, kiedy ten mężczyzna wyciągnął mnie z ciemności i zabrał do miejsca, gdzie wprawdzie pięknie, słodko pachniało, ale ja się okropnie bałem, ponieważ jakaś kobieta głośno krzyczała. Stuliłem uszy i usiłowałem nie wpuścić do nich tego hałasu, bo wysokie dźwięki były niemal bolesne. Potem mężczyzna także krzyknął, po czym wyniósł mnie, bardzo głośno trzaskając drzwiami.

Nigdy przedtem nie byłem w miejscu, w którym się wówczas znaleźliśmy. Co prawda mężczyzna okrył mnie czymś grubym i miękkim, co intensywnie nim pachniało, ale to coś co jakiś czas zsuwało się z mojej głowy, a wtedy kapiała na mnie woda. Powietrze miało tysiące zapachów i nie nadążałem z analizowaniem ich wszystkich. Czułem mięsko i wiele innych smakowitych aromatów, ale także inne psy i jeszcze jakieś zwierzęta. Nie mówiąc już o ludziach. Gdyby nie było mi tak zimno, chętnie powąchałbym dłużej.

Co jakiś czas mijały nas potężne stwory ze świecącymi oczyma, które bardzo na nas warczały. Chowałem wtedy głowę pod miękki materiał i na chwilę przestawałem się bać. Potem nastąpił bardzo nieprzyjemny moment, kiedy niosący mnie mężczyzna zaczął podskakiwać, a mnie się wszystko trzęsło w środku. Zapachy zmieniły się, stały się podobne do tych, jakie

czułem u Kobiety, gdzie mieszkalem z Mamą i rodzeństwem. Wyczułem mięsko i inne smaczne rzeczy, i buty, i wielu ludzi, i psy... A potem mężczyzna się zatrzymał i z kimś rozmawiał, a ten ktoś śmieszenie pociągał nosem.

Najgorsze było to, co zrobił mi w pomieszczeniu odrobinę pachnącym siuškami. Wsadził mnie do zimnego i śliskiego dołu, z którego nie mogłem się wydostać, po czym omal mnie nie zabił, polewając moje ciało wodą. Tarł przy tym i szorował, aż zaczęło mnie wszystko boleć. Na szczęście wkrótce przestał i opatulił mnie znowu czymś miękkim i ciepłym, dzięki czemu przestałem tak okropnie dygotać. Mówiąc szczerze, było mi już wszystko jedno, ponieważ umierałem z głodu i myślałem tylko o tym, czy te zapachy, które wyczuwałem spod tkaniny, oznaczają, że w końcu dostanę coś do jedzenia.

Tymczasem zamiast dać mi jeść, mężczyzna przycisnął mnie do siebie, mocno pocierając moją skórę coraz bardziej mokrym materiałem. To było nieprzyjemne. Wolałbym się zwyczajnie otrzepać, ale nie wypuścił mnie z rąk ani na chwilę. Zdołałem tylko wytrzepać uszy, a wtedy mężczyzna zaczął prychać, mówiąc coś o sierści w zębach. Kobieta, z którą rozmawiał, wciąż pociągała nosem.

– Ojcem jest Henryk? – upewnił się mężczyzna, do którego kobieta mówiła „Oluś”.

– Jak możesz w ogóle o to pytać?! – zawołała, a w jej głosie brzmiały niemiłe tony, ale nie takie, jakby chciała go ugryźć, tylko jakby warczała. Tak brzmiała Mama, gdy nie pozwalała nam się bawić swoim ogonem albo uszami.

– Nie unoś się – odparł przepaszająco Oluś. – Niedawno przyszedł po ciebie jakiś taki barczysty facet. Widziałem, jak czekał po radzie pedagogicznej. Myślałem, że może zerwałaś z Henrykiem...

– Daj spokój, to był znajomy! Chciałam go podpytać o kwestie formalne. Przecież wiesz, że planuję... – Rozplakała się znowu. – ...że planowałam

otwarcie własnego studia odnowy. Dietetyka i trening personalny. A teraz to wszystko diabli wezmą! Boże mój, Boże, jak to się w ogóle mogło stać?!

Jej słowa brzmiały teraz bardzo mokro. Nie rozumiałem nic z tego, co mówiła, nie padły żadne ze znanych mi słów, ale ton był zdecydowanie nieprzyjemny. Brzmiało to trochę tak, jakby się bała, a trochę jakby była zła, i tylko nie byłem pewien, czy na mnie, czy na Olusia. Tak czy inaczej, doszło do pewnej zmiany w mojej sytuacji: Oluś położył mnie na podłodze, a sam przesiadł się do kobiety i objął ją ramieniem.

– No dobrze, to teraz wyjaśnij mi, skąd ta rozpacz – powiedział. – Przecież wiele razy mówiłaś, że jesteś gotowa, aby związać się na stałe. Że się zmieniłaś, dojrzałaś, że nie zadowala cię już rola kochanki. Chcesz być z Henrykiem czy nie? Czy nie powinnaś się cieszyć, że wreszcie zapadną jakieś decyzje?

Wierciłem się tak długo, że wreszcie udało mi się rozluźnić ciasno otulającą mnie tkaninę i wytrześć resztkę wody z sierści. Od razu poczułem się nieco lepiej. Uniosłem nos i zacząłem wąszyć. Żołądek ścisnął mi się z głodu. Ledwie trzymałem się na łapach, ale jakoś udało mi się zrobić parę kroków. Wiedziony zapachami, udałem się do pomieszczenia, w którym znalazłem kilka nędznych okruchów na podłodze, zbyt małych, abym w ogóle poczuł, że je zlizalem. Przysiadłem, ponieważ zrobiło mi się niedobrze. Przy okazji zostawiłem za sobą mokrą kałużę, ale malutką, ponieważ od dawna nic nie piłem. Zapach jedzenia nadal mnie wabił, poszedłem więc za nim. Znalazłem się w pomieszczeniu, w którym znajdował się wysoki stół. Nie mogłem zobaczyć tego, co na nim leżało, ale aromat był bardzo silny. Ze stołu zwisał róg tkaniny, więc resztką sił wspiąłem się na tylne łapki i chwyciłem go w zęby. Pociągnąłem, a wtedy rozległ się huk i cały świat zwałił mi się na głowę.



Oczywiście, że poczułam się paskudnie. Zawsze starałam się tak wychowywać dzieci, aby były wrażliwe na cudzą krzywdę. Powinnam się więc cieszyć, że Oluś zareagował w jedyny właściwy sposób: wyciągnął z pojemnika na śmieci tego psiaka, uratował mu życie. Kiedy emocje opadły, dostrzegałam wyraźnie, że każdy przyzwoity człowiek postąpiłby tak samo.

Problem w tym, że miałam fobię. Nawet nie umiałabym wyjaśnić, od czego się zaczęła. Może od opowieści mojej matki o glistach, które kłębiły się w psich kupach, kiedy mieszkała na wsi. W tamtych czasach nikt podwórkowych burków nie odrobaczał, nikt ich nawet nie szczepił. Były traktowane gorzej niż zwierzęta gospodarskie, ponieważ poza tym, że stróżowały – nie było z nich pożytku.

Matka zawsze ostrzegała mnie: tylko nie dotykaj psów. Mają pchły, a pchły przenoszą jaja tasiemca. Pogłaskasz takiego, a już masz na rączce miliony jajeczek. Dostaną się do twojego brzucha, a wtedy wyklują się tam małe, białe robaki. Za każdym razem, kiedy będziesz coś jeść, tasiemiec będzie podchodził ci do gardła, aż w końcu go zwymiotujesz.

Czy dziecko karmione takimi opowieściami może polubić psy? Nie sądzę. Jednak prawdziwy strach przed tymi zwierzętami poczułam, gdy zostałam

ugryziona. To był spokojny mały kundelek. Taki trochę pokraczny, pękaty, z wyłupiastymi oczkami. Oczywiście brzydził mnie jak wszystkie inne psy, ale nie bałam się go. Nie warczał, nie szczekał. Zwyczajnie siedział na ganku domu, obok którego właśnie przechodziłam. Furtka była otwarta, gospodyni zamiatała ścieżkę, a wycieraczkę sprzed drzwi wystawiła na chodnik. Pech chciał, że przechodząc, dotknęłam butem tej wycieraczki. Kundelek jak błyskawica pomknął ścieżką, dopadł mnie i wgryzł mi się w łydkę. Ból przeszył moje ciało, zaczęłam krzyczeć i z całej siły majtnęłam nogą, aż ciało pieska poleciało na ogrodzenie i uderzyło w betonowy słupek.

To był letni dzień. Miałam na sobie żółte krótkie spodenki z białym paskiem, śliczne. Trzymałam w dłoni wafelek, przez który od spodu zaczynały przesiąkać roztopione lody czekoladowe. Cała ta sytuacja wdrukowała się w moją pamięć: ciało pieska jak szmatka, jego główka ze stróżką krwi płynącą z uszu, moja krwawiąca łydka, lament kobiety, która krzyczała: „Psotka! Psotka!”, smak czekolady, dotyk słońca na karku. Potem nie mogłam nawet spojrzeć na lody czekoladowe. I już nigdy bez lęku nie przeszłam obok psa.

*

Chwyciłam za telefon i wybrałam numer syna. Poczułam przemożną potrzebę wytłumaczenia mu, z czego wynikała moja reakcja. To przecież nie tak, że jestem osobą nieczułą i zimną, obojętną na krzywdę zwierząt. Wprost przeciwnie: co roku brałam udział w akcji „Adoptuj pszczołę”, wpłacałam datki na fundację zajmującą się ratowaniem koni przed rzeźnią... Nie chciałam przyczyniać się do niczyjego cierpienia – więcej: zrobiłabym wiele, aby nie było go na świecie. To jednak nie oznaczało, że byłam gotowa przygarnąć psią znajdę. Nie, nie i nie. Wszystko, tylko nie pies.

Olgierd nie odbierał. Dzwoniłam najpierw na numer stacjonarny, potem na komórkę. Obraził się na mnie? Rozczarowałam go? Zrobiło mi się przykro. To niesprawiedliwe, pomyślałam. Każdy ma swoje racje i tych racji należy wysłuchać, zanim wyda się wyrok. Nie mogłam znieść myśli, że mój syn mógłby stracić dobre zdanie o mnie. Rozejrzałam się nerwowo po

mieszkaniu. Może powinnam mu jakoś pomóc? Przyszło mi do głowy, że mam w lodówce wczorajszy krupnik na skrzydełkach. Może psy jadają krupnik? No, w każdym razie na pewno jadają skrzydełka.

Wiedziona impulsem, przelałam krupnik do słoika, wyciągnęłam też z piekarnika sernik, który w międzyczasie nie tylko się upiekł, ale też nieco przestygł. Zatelefonowałam jeszcze raz, niepewna, czy Oluś jest w domu. Mógł przecież pojechać z tym szczeniakiem do schroniska, tak jak mu radziłam.

Tym razem odebrał, ale tylko po to, by rzucić do słuchawki:

– Nie mogę teraz rozmawiać, mam. Zadzwoń jutro.

Upewniłam się – to był numer telefonu stacjonarnego. A więc Olgierd jest u siebie. Opatuliłam się porządnie szalem i zarzuciłam na głowę kaptur, bo w międzyczasie okropnie się rozpadało. Modląc się o to, aby zupa się nie wylała, sernik nie spłaszczył, a pies nie okazał się podstępny jak Psotka, wyszłam z domu i udałam się na postój taksówek.

*

Pukałam dość długo. Zza drzwi dobiegały podniesione głosy, z których jeden był zdecydowanie kobiecy. Czyżby Oluś wezwał jakąś panią weterynarz? I czyżby ona na niego krzyczała? Owszem, ten szczeniak wyglądał jak siedem nieszczęść, ale przecież mój syn nic tu nie zawinił – wręcz przeciwnie, właśnie on uratował to stworzenie przed niechybną śmiercią!

Zdenerwowałam się. Nie czekałam, aż Olgierd otworzy, nacisnęłam klamkę i pchnęłam drzwi. Wpadłam do dużego pokoju, lecz nikogo tam nie zastałam. Nie zważając na to, że ubłocę podłogę, zrobiłam kolejne kilka kroków. Głosy dochodziły z kuchni.

Oluś klęczał na podłodze, obok niego zaś przykucnęła kobieta o zaczerwienionych oczach i zapuchniętej twarzy. Miała krzywo zapiętą bluzkę, co mogło oznaczać, że przed chwilą uprawiali seks – ale mogło także znaczyć, iż była w podobnych tarapatach jak pies, w sprawie którego tu

przyjechałam. Nie wyglądała na weterynarza, raczej na rozrywkową panienkę na rauszu, co dodatkowo mnie zaniepokoiło.

– Synu, musimy porozmawiać – rzekłam dobitnie i dopiero w tym momencie zauważyłam, że powodem, dla którego Olgierd klęczy na podłodze, są ściągnięty obrus oraz stłuczony talerz. Wokół walały się resztki jajecznicy, obok nogi stołowej zaś leżał kawałek chleba, który oczywiście upadł masłem na dół. Za zasłoną, zupełnie jakby chciał się przed nami schować, siedział straszliwie wychudzony psiak (wydawał się jeszcze chudszy niż przedtem, ponieważ był mokry) i trząsł się jak galareta.

Przykucnęłam i wyjęłam z reklamówki słoik z krupnikiem oraz pudełko z porcją sernika.

– Przywiozłam serniczek dla ciebie i zupę dla tego biedaka – powiedziałam pojednawczo. – To, że nie lubię psów, nie oznacza przecież, że pozwolimy mu umrzeć z głodu, prawda?

Oluś skinął głową i zerknął na mnie z wdzięcznością. Wtedy wreszcie skierowałam spojrzenie na kobietę.

– Krystyna Zawada – przedstawiłam się. – Matka Olgierda.

– Mamo, poznaj Sarę. – Mój syn jakby się ocknął z letargu. – Właśnie wpadła, żeby... żeby mi powiedzieć... – Urwał, speszony i zaczerwieniony po cebulki włosów.

Popatrzyłam badawczo na Sarę i dopiero teraz zauważyłam, że płacze. Łzy płynęły z jej oczu spokojnym strumyczkiem i skapywały z brody.

– Jestem w ciąży – zaszlochała. – A on powiedział, że to na pewno nie jest jego dziecko.

W tym momencie pociemniało mi przed oczami i cały świat jakby odjechał w tył mojej głowy. Po raz pierwszy w życiu zwyczajnie zemdlałam.



Było mi wstyd. Czułam się upokorzona, zbrukana, podeptana. Mężczyzna, którego kochałam (a może tylko mi się wydawało, że kocham? Zaczynałam mieć wątpliwości...), potraktował mnie jak dmuchaną lalę, która dotychczas dostarczała mu przyjemności, ale teraz po prostu się zepsuła.

Kiedy zorientowałam się, że mogę być w ciąży, wpadłam w panikę. Przyznaję, należało zachować się zupełnie inaczej. Należało spokojnie pójść do apteki i kupić test ciążowy. Zamiast tego natychmiast chwyciłam za telefon i wybrałam numer awaryjny. Numer, którego obiecałam nie używać, chyba że w sytuacjach podbramkowych.

– Tak? – odezwał się Henryk.

Nie mówił zduszonym szeptem, a więc najwyraźniej jego żony nie było w domu.

– Możesz rozmawiać? – upewniłam się, a głos mi drżał, jakbym miała przed sobą najważniejszy w życiu egzamin.

– Mogę, skarbie – brzmiała odpowiedź. – Jolka poszła na paznokcie, a potem wybiera się na babski wieczór.

W tle słychać było jakieś odgłosy, zupełnie jakby ktoś kogoś bił po

twarzy. Po chwili dołączyła rytmiczna muzyka. Chyba miał włączony telewizor. Nie tak wyobrażałam sobie naszą rozmowę, zapewne należało poczekać, aż będziemy w łóżku hotelowym, ale chciałam mieć to za sobą.

– Stęskniłaś się? – zapytał lubieżnym szeptem. – Bój się Boga, Sara, co ja dziś będę z tobą robił...

– Heniu...

– Tak, skarbie?

– Chcę ci coś powiedzieć.

Zapadła cisza. Musiał mieć pilota pod ręką, bo w tle nagle umilkły wszystkie odgłosy. On pewnie myśli, że kogoś sobie znalazłam, że na niego nie czekałam, nie byłam mu wierna, pomyślałam w panice. Jego milczenie wydało mi się pełne zniecierpliwienia i irytacji. Wystraszyłam się.

– Ja też bardzo za tobą tęskniłam – rzuciłam prędko. – Ta rozłąka pozwoliła mi zrozumieć, jak bardzo cię kocham.

Mruknął coś, ale nie udało mi się poskładać tego w słowa. Spodziewałam się, że odpowie mi podobnym wyznaniem, jednak poprzestał na wyrazach aprobaty dla moich uczuć.

– Heniu?

– No?

– Mam nowinę. W pierwszej chwili się wystraszyłam, ale teraz... Teraz jestem bardzo szczęśliwa – skłamałam. – Myślę, że jesteśmy ze sobą już tak długo, że...

– Sara, powiedz wreszcie – warknął.

– Chyba jestem w ciąży, Heniu.

Zamilkł na długo. Zbyt długo. Przez moją głowę przelatywały jakieś dziwne, niezwiązane ze sobą obrazy. Ja w objęciach Henryka na Riwierze Francuskiej, on rozwalony w wannie, z brzuchem wystającym ponad pianę, moja mama zagniatająca ciasto drożdżowe, parasolka w kolorowe pasy, którą

dostałam w prezencie od ojca jako dziesięciolatka... Marzenia i wspomnienia wymieszane w jakiś dziwny, nielogiczny koktajl.

Powiedz coś, myślałam błagalnie. Powiedz, że się cieszysz, że zawsze chciałeś zostać ojcem. Zapewnij mnie, że wszystko będzie dobrze, że pójdziemy razem na USG czy gdzie to się tam chodzi...

– Cwana z ciebie suczka – wysyczał mężczyzna, którego kochałam. (A może tylko mi się tak wydawało?) – Przekalkulowałaś sobie i wyszło ci, że opłaca się, abym to ja był ojcem?

Byłam w takim szoku, że odebrało mi mowę. Kręciłam tylko głową jak zepsuta lalka.

– No to się przeliczyłaś – dodał jeszcze. – Bo o ile mi wiadomo, nie mogę mieć dzieci. Ot, nie wyszedł panience psikus. Sądziłaś, że jesteś taka cwana, a tymczasem życie cię przechytryło. No cóż, szkoda. Alimony będzie płacił ten drugi, kimkolwiek jest. A może jest ich kilku? Tak czy siak, dobrze, że bzykałam cię przez gumkę. Zawsze miałem obawy, że możesz mnie czymś zarazić.

Słuchałam go bezradnie. Oczy robiły mi się coraz większe i większe, czułam, że za chwilę wypadną z orbit.

– No, było miło, ale się skończyło – kontynuował Henryk. – Ten numer wykasuj, z łaski swojej, i nie dzwoń do mnie więcej. Prezenty możesz zatrzymać, w końcu przez jakiś czas spisywałaś się naprawdę nieźle. A gdyby ci przyszło do głowy narobić mi bagna w życiu osobistym, to ostrzegam, że mój prawnik może cię zmieść z powierzchni ziemi.

Wszystkie słowa gdzieś się zapodziały. Nawet kiedy Henryk się rozłączył, ja wciąż siedziałam ze słuchawką w dłoni i usiłowałam wydać z siebie jakiś dźwięk. Trwało to dobre kilka minut, po czym równie nagle wszystko mi się odblokowało. Zaczęłam krzyczeć z bezsilnej złości i upokorzenia. Rozejrzałam się po mieszkaniu, chyba szukałam czegoś ciężkiego, czym mogłabym rzucić. Mój wzrok padł na wszystkie te rzeczy, które zamierałam spakować na romantyczny wyjazd z Henrykiem, na złocistą suknię

i kosmetyczkę z perfumami, a wtedy dotarło do mnie, jak bardzo się myliłam co do naszego związku – i odkrycie to było czymś w rodzaju bardzo bolesnego ciosu, który zranił mnie jednocześnie w serce i w głowę. Oszołomiona i obolała, zgięta wpół od płaczu, zarzuciłam na ramiona kurtkę, wsunęłam stopy w buty i pobiegłam do jedyne go człowieka, któremu mogłam opowiedzieć o tym, co się stało, bo on przecież i tak wiedział o mnie niemal wszystko. Do Olgierda.

*

Ku mojemu rozczarowaniu nie było jak zwykle. Nie usiadł ze mną, nie gładził mojej dłoni, a przede wszystkim – nie wysłuchał z tym swoim mądrym, dojrzałym spokojem i nie zapewnił, że wszystko będzie dobrze. Przeciwnie: kompletnie nie miał dla mnie czasu. Trzymał w ramionach paskudne, śmierdzące stworzenie z pozlepianą sierścią i zajmował się głównie nim.

Ja oczywiście zawsze lubiłam szczeniaczki. Te słodkie, puchate kulki z filmów na Facebooku albo z reklam. Jednak to, co przyniósł Olgierd, nijak nie pasowało do takich obrazków. Wsadził zwierzaka do wanny, kazał mi wyrzucić obrzydliwy, zapaskudzony ręcznik, a potem zawinął go w czysty i polecił mi trzymać go, dopóki sam się nie wykąpie. Psiak nadal trochę śmierdzał, ale ostatecznie nawet przyjemnie było przytulić go i przez chwilę nie czuć się tak zupełnie samotną we wszechświecie. Kiedy tylko Oluś wyszedł spod prysznicy (swoją drogą, wyglądał niesamowicie męsko z mokrą czupryną, w opiętym T-shircie i džinsach – nigdy przedtem nie zauważyłam, że jest tak proporcjonalnie zbudowany), zaczęłam mówić.

Spodziewałam się... Czy ja wiem czego? Chyba zrozumienia. Podobno geje są bardzo empatyczni, a w dodatku myślą trochę jak kobiety. Powinien mnie rozumieć, powinien wczuć się w moją sytuację, płakać razem ze mną. Albo właśnie zapewnić mnie, że nic się nie stało.

Może oczekiwałam zbyt wiele. Z jednej strony chciałam, aby zrozumiał mnie, moje sprzeczne uczucia – bo były sprzeczne, przyznaję: nienawidziłam

tej ciąży, nie chciałam zostać matką, bałam się tego, ale z drugiej strony pragnęłam stałego związku! Spodziewałam się też, że Olgierd wytłumaczy mi reakcję Henryka. Choć gej, był przecież mężczyzną. Powinien rozumieć, jaki zadziałał tu mechanizm. Czy Henryk wystraszył się konsekwencji? Tego, że będzie musiał powiedzieć żonie: odchodzę, składałam pozew o rozwód? Czy może samego ojcostwa?

Chciałam, aby Olgierd – niczym przyjaciel gej z komedii romantycznych – przeprowadził mnie przez cały ten okropny sztorm w moim życiu. Aby pokazał mi drogę i trzymał mnie za rękę, od czasu do czasu podsuwając chusteczkę i doradzając, jak powinnam się ubrać na spotkanie z Henrykiem, jak go oczarować, aby padł do mych stóp i błagał o wybaczenie.

*

Tymczasem po pierwsze Olgierd zajmował się głównie psem, ściągniętym ze stołu obrusem i potłuczonym talerzem z resztkami jajecznicy, po drugie głupio zapytał, czy ojcem na pewno jest Henryk, a po trzecie – przysłała jego mama i zemdląca, sprawiając tym samym, że odtąd cała uwaga skupiła się na niej, a moje problemy znalazły się na szarym końcu, bo nie miałam żadnych szans w konfrontacji z nieprzytomną kobietą i umierającym z głodu szczeniakiem.



Nie rozumiałem, co się wokół mnie dzieje. Kiedy rozległ się huk, Oluś przybiegł i mnie uratował, bo jakieś straszne stworzenie spadło mi na grzbiet i zrobiło tak, że było ciemno. Zdjął je ze mnie i wtedy okazało się, że to nie było stworzenie, tylko duży kawałek tkaniny, tej samej, którą ściągnąłem ze stołu. Lubiłem tkaninę, bo można było ją ssać i się w nią wtulić, a jeszcze dodatkowo ta pachniała trochę jak mięsko, a trochę jak jajeczko.

Jednak potem było już tylko gorzej. Oluś krzyczał i zbierał coś z podłogi, a ja miałem straszną ochotę podejść, bo wszystko pachniało jedzeniem, jednak bałem się krzyków. W dodatku przybiegła też ta kobieta, która przedtem pociągała nosem. Teraz też to robiła, i wcale nie dlatego, że węszyła tak jak ja, tylko nadal brzmiała bardzo mokro. Wciąż mówiła coś podniesionym głosem. Oluś chyba nie był z tego zadowolony.

Na koniec pojawiła się jeszcze jedna osoba, której zapach już znałem, zapamiętałem też barwę jej głosu. Ona mnie nie lubiła. To była ta sama osoba, która przedtem krzyknęła, kiedy czułem taki słodki aromat. Oluś wtedy uciekł, zabrał mnie gdzieś, gdzie było zimno i kapalo mi na nos. Dlatego teraz przestraszyłem się tej osoby, bo myślałem, że znów trzeba będzie uciekać.

Wszystko to było okropnie skomplikowane. Bardzo chciałem po prostu zamknąć oczy, a gdyby się dało, to także uszy, i znaleźć się znów w ciepłym świecie, w którym były tylko ciała moich Sióstr i Brata, no i mleko Mamy. Niestety, wszystkie moje nowe doświadczenia kazały mi sądzić, że tamtego świata już nie ma. Teraz wszystko było na opak.

*

Schowałem się w miejscu, gdzie czułem się choć trochę jak przy Mamie, i obserwowałem rozwój wydarzeń. Jajeczko pachniało bardzo wyraźnie, ale Oluś dużo mówił i to nie były takie słowa, które sprawiają, że chce się podejść i polizać człowieka po brodzie. Ta kobieta, która mnie nie lubiła, leżała na podłodze, a do zapachu jajeczka dołączył inny, bardzo dziwny. Nie lubiłem go. Domyśliłem się, że jest to zapach gęstej, czerwonej cieczy, która wypływała z włosów tej kobiety. Oluś krzyczał, ta druga kobieta przestała pociągać nosem (widocznie też nie lubiła tego zapachu). Potem zrobiło się wielkie zamieszanie, Oluś mówił coś bardzo szybko do jakiegoś przedmiotu, który trzymał przy uchu, a wreszcie podszedł do mnie i opatulił mnie bardzo mocno miękką tkaniną.

– Saro, przepraszam cię najmocniej. Sama widzisz, jak to wszystko wyszło. Porozmawiamy, jak wrócę – powiedział jakoś płaczliwie. – Czy mogłabyś tu zostać z tym maluchem? Czy ja wiem, może daj mu tego krupniku od mamy. Nie mogę patrzeć, jak on dygocze i słania się na łapkach.

– Masz jakąś miseczkę? – zapytała kobieta nazwana Sarą.

Oluś pohałasował trochę i dał jej naczynie całkiem podobne do tego, w którym kiedyś dostawaliśmy mięsko, jajeczko i ryż. Zacząłem się okropnie ślinić na ten widok, a wtedy Sara popatrzyła na mnie z obrzydzeniem. Nie dała mi jednak nic do jedzenia, tylko poczekała, aż dwóch ubranych na biało mężczyzn, którzy pojawili się w międzyczasie i narobili dużo hałasu, zabierze z podłogi kobietę, która mnie nie lubiła. Oluś cały czas mówił do niej „mama”, chociaż była całkiem niepodobna do Mamy.

Potem Sara posprzątała z podłogi i bardzo się z tego ucieszyłem,

ponieważ zapach czerwonej, gęstej cieczy powodował, że zaciskały mi się szczęki i drgały, choć wcale tego nie chciałem. Wreszcie nadszedł ten moment, kiedy w miseczce znalazło się jedzenie. Pachniało jak mięsko, ale poza tym było do niego niepodobne – mokre, gęste, nie dało się gryźć, ale było bardzo smaczne i chleptałem tak zawzięcie, że aż czułem, jak ogon sam mi merda we wszystkie strony.

Wreszcie miseczka była pusta. Tyle że ja wciąż byłem głodny. Mój żołądek nadal kurczył się boleśnie. Dotarła do niego jedynie niewielka część tego, co wychleptałem. Natomiast w moim gardle zaczęło narastać to nieprzyjemne uczucie, które pamiętałem z pierwszych prób jedzenia. Po chwili było mi już bardzo niedobrze. Odszedłem trochę w tę stronę, gdzie przedtem chowałem się przed hałasem. Choć bardzo chciałem je zatrzymać, jedzenie wylało się ze mnie na podłogę, a ja wciąż byłem głodny.

Sara narobiła krzyku i od razu przybiegła z czymś, co nazwała ręcznikami papierowymi.

– No już, zabierz łapki! – zawołała. – Mam tu jeszcze jeden ręcznik, wytrzemy cię, zarzygańcu.

Potem przez jakiś czas wycierała mi pyszczek i łapy, ale nie pozwoliła już nic zjeść, a mówiąc szczerze, głównie to mnie interesowało.

– Pewnie zjadłeś za dużo naraz – powiedziała. – Jesteś chudy jak szkielet i wcale mi się nie podobasz. Nie jesteś podobny do tych wszystkich słodkich beagli albo goldenów. Wyglądasz trochę jak... mokra szmatka. Tylko oczy masz mądre i uszka takie śmieszne, sterczące. Aż się chce pogłaskać.

Dotknęła mojego łebka, a ja stuliłem uszy, bo mnie trochę załaskotało. Sara wzięła mnie na ręce i poszła do pokoju, w którym przedtem siedziała z Olusiem. Usiadła, a mnie posadziła sobie na kolanach, objęła ramionami i zaczęła się kołysać. Zrobiło mi się bardzo błogo i sennie, choć gdybym miał wybierać, wolałbym wrócić do miseczki i porządnie ją wylizać, dopóki choć trochę pachniała jedzeniem.

– Nie wiem, skąd on cię wziął – szepnęła Sara wprost w moje ucho, aż

zadrgało od jej oddechu. – Śmierdzisz okropnie i ewidentnie coś z tobą jest nie tak. Ale wiesz, w życiu raz jest się na wozie, a raz pod wozem. I coś mi mówi, że dziś akurat oboje znaleźliśmy się może nie pod kołami, ale bardzo blisko.

Potem zaczęła szeptać gorączkowo, a ja oczywiście nic nie rozumiałem, ale było mi bardzo przyjemnie, ponieważ głaskała mnie i tuliła, i tylko od czasu do czasu krople czegoś ciepłego spadały mi na głowę, ale to i tak było lepsze niż tamta zimna woda kapiąca mi na nos, kiedy niósł mnie Oluś. Uznałem więc, że w gruncie rzeczy nie jest tak źle, i zasnąłem.



W niedzielny poranek obudziłem się z pięknym snem pod powiekami. Była w nim Bożena smażąca racuszki z jabłkami i cynamonem, było słońce wpadające smugami przez wzorzyste firanki – i szum drzew. Wiedziałem, że to nie jest nasz dom, raczej jakaś wiejska chata, w której spędzaliśmy urlop. Nie musiałem się spieszyć, nie było stresu, nerwów, pieniędzy, dostaw i raportów sprzedaży...

Przebudzenie odczułem jak uderzenie obuchem w głowę. Bo w rzeczywistości, w moim tu i teraz było to wszystko: stres, pieniądze, raporty, dostawy... Było i w dodatku spoczywało wyłącznie na moich barkach. Bożena odeszła, a ja zostałem sam z biznesem, do którego szczerze mówiąc, nigdy nie miałem serca. Zostałem w pustym, zimnym, zbyt dużym, jak na moje potrzeby, domu. Zostałem z lodówką pełną produktów, które nijak nie składały się na domowe jedzenie, ponieważ nie umiałem sobie nic ugotować.

Przez te wszystkie lata żyliśmy w bardzo tradycyjnym układzie. Ja wykonywałem typowo męskie prace: rąbałem drewno do kominka, kosiłem trawnik, przycinałem drzewka owocowe i pryskałem je jakimiś świństwami na robale oraz choroby wirusowe. No i dbałem o interesy. Objeżdżałem hurtownie, przywoziłem towar, zaopatrywałem nasze sklepy. Bożena

troszczyła się o dom, gotowała, sprzątała – do niej należały wszystkie te zajęcia, których nawet nie zauważałem, dopóki mnie nie zostawiła. Dopiero wtedy spostrzegłem, że z dnia na dzień regały porasta kurz, po podłodze turlają się paprochy wszelkiej maści, a zlew i kuchenka pokrywają się warstwą brudu. Któregoś dnia chwyciłem ścierkę i zacząłem sprzątać jak szalony – w jakiejś głupiej nadziei, że jeśli sobie poradzę, jeśli doprowadzę dom do porządku i w ten sposób oddam sprawiedliwość jej cichej pracowitości, żona do mnie wróci.

Teraz zaczynałem już rozumieć, że tak się nie stanie. Obojętnie, czy będę się starał, czy się ogolę i natrę wodą kolońską, czy też pozostanę zaniedbany jak kloszard, nieważne, jak starannie powycieram kurz z wyciągu nad kuchenką i jak mocno wyszoruję fugi pod prysznicem – ona nie wróci. Nie kochała mnie już. Pewnie nie kochała od dawna. Znalazła sobie kogoś lepszego.

Dlaczego był lepszy? Dlaczego znalazła? Dlaczego w ogóle szukała? A może nie szukała, może to on szukał i znalazł ją, a ona dała się skusić jak biblijna Ewa wężowi? Płynnie przechodziłem od samobiczowania – jaki to byłem do niczego w łóżku i w ogóle we wszystkim – do obwiniania jej o najgorsze świństwa. Doszukiwałem się symptomów niewierności w zupełnie niewinnych spotkaniach z przyjaciółmi. Doszło nawet do tego, że zadzwoniłem do dwóch czy trzech znajomych i zapytałem, czy z nią spali. Dopiero kiedy jeden z nich zagroził, że da mi w mordę, jeśli nie przestanę wygadywać takich bzdur, dotarło do mnie, jaki jestem żałosny.

*

Niedziela ciągnęła się niczym nieudany urlop. Nie miałem nic do roboty. W każdym razie nic, w czym widziałbym sens. Oczywiście mogłem przetrzeć z kurzu każdy kryształek błękitnego żyrandola, który Bożena kupiła w ubiegłym roku, tylko po co? Mogłem uporządkować słoiki w spiżarni – przejrzeć, czy coś się nie zepsuło, ustawić osobno kiszonki, osobno kompoty. Ale czy byłoby to komukolwiek potrzebne? Czy w tym domu ktokolwiek jeszcze będzie robił domowe przetwory? Nie, przecież nie. Mogę więc

spokojnie zużyć te, które stoją na półkach, a potem zapomnieć, że coś takiego w ogóle istnieje. Mogę zgubić klucz od spiżarki. Mogę wszystko.

Przychodziły mi do głowy coraz czarniejsze myśli. Gdyby tak zapisać się na śmierć? Albo gdyby zostawić wszystko, wyjść z domu i zwyczajnie iść przed siebie? Przecież na świecie jest mnóstwo bezdomnych. Jakoś żyją. Nie wiedziałem, co taki bezdomny je, gdzie chowa się przed deszczem albo mrozem – ale zapewne życie zmusiłoby mnie, by szybko się dowiedzieć. Kusił mnie brak konieczności robienia czegokolwiek. Chciałem nic nie musieć. Chwilowo wszelkie działanie wydawało mi się zadaniem ponad siły. Nie byłem w stanie zrobić sobie jajecznicy na śniadanie. Nie umiałem sobie wyobrazić, że w poniedziałek wrócę do pracy. Ba, przerastało mnie nawet podlanie kwiatów (pamiętałem, że Bożena robiła to każdej niedzieli). Czułem się wyczerpany, choć przecież niemal cały niedzielny ranek spędziłem, leżąc na kanapie i bezmyślnie wpatrując się w sufit.

Wreszcie około południa głód zmusił mnie do zakrzątnięcia się wokół posiłku. Odgrzałem sobie pierogi z zamrażarki, ale byłem zbyt niecierpliwy; wrzuciłem je do wrzątku tylko na dwie minuty, w związku z czym w środku wciąż były zamrożone. Jedząc to niecodzienne danie, rozczuliłem się na myśl o niedzielnych obiadach z początków mojego małżeństwa z Bożeną. Przygotowywała wtedy dwudaniowe posiłki i koniecznie deser. Uwielbiała testować nowe przepisy na zupy – a to borowikowa zupa krem, a to cebulowa na białym winie, a to azjatycki ramen. W tamtych czasach nie było to wcale proste: nie było internetu, gdzie można wyszukać recepturę dowolnej potrawy z każdego zakątka świata. No i w sklepach nie było takiej obfitości towarów. Bożena kolekcjonowała książki kucharskie i jakimś cudem udawało jej się zdobyć potrzebne produkty, choć oczywiście potrawa nie zawsze rzucała na kolana. Zapamiętałem na przykład ciasteczka owsiane przygotowane przez moją młodziutką wówczas żonę. Powiedzieć, że nie dało się ich zjeść, byłoby sporym niedomówieniem. Nie dało się ich nawet oderwać od blaszki! Ostatecznie użyliśmy dłuta i młotka, a przyschnięte resztki moczyły się w wodzie z octem chyba przed dwa dni!

Rozrzewniłem się pod wpływem tych wspomnień i ostatecznie jednak zszedłem do piwnicy, aby przejrzeć słoiki z przetworami. Starłem kurz z każdej pokrywki, z czułością oglądając etykiety wypisane dłonią Bożenki. W głębi półek stały nalewki. Sięgnąłem po pierwsze z brzegu. „Pigwa 2016”, „Wiśniówka 2018”, głosiły podpisy. Pamiętałem, że wiśniówki nie należy długo przechowywać, wziąłem więc butelkę, a po namyśle wybrałem także spory słoik powideł węgierkowych. Powidła były czymś, co lubiłem najbardziej na świecie. Kiedy się nad tym zastanawiałem, dochodziłem do wniosku, że biją na głowę wszelkie słodyczne, łakocie i ciasta.

Zaparzyłem sobie gorzką herbatę i popijając ją, z rozkoszą wyjadałem powidła prosto ze słoika. Bożena padłaby na zawał, pomyślałem i zachichotałem jak mały chłopiec. Zawsze mówiła, że taka ilość cukru jest zabójcza. No cóż, wciąż żyłem i co więcej – poczułem się znacznie lepiej. Życie nie straciło jednak wszystkich uroków, przemknęło mi przez myśl. Niejako dla potwierdzenia tej tezy odkorkowałem wiśniówkę i nalałem sobie kieliszeczek. Coś wspaniałego! Słodko-kwaśna, o głębokim aromacie i przepięknym kolorze. Majstersztyk wśród nalewek! Dlaczego miałbym sobie odmawiać? Smakowałem trunek powoli, rozkoszując się wspomnieniem gorącego lata. Nawet nie zauważyłem, kiedy wysączyłem prawie całą butelkę.

*

Zrobiło się ciemno, a ja wciąż siedziałem nad nalewką, co jakiś czas gmerając palcami w słoiku po powidłach i wybierając resztki ze ścianek. Straciłem rachubę czasu do tego stopnia, że kiedy zadzwonił telefon, nie umiałem powiedzieć, czy to popołudnie, czy raczej wieczór. O tej porze roku tak wcześnie nadchodził zmierzch...

Zerknąłem na wyświetlacz. Numer nic mi nie mówił.

– Halo, mówi Stanisław Kostek – powiedziałem, wyraźnie wymawiając głoski i starając się brzmieć bardzo dzielnie, na wypadek gdyby to Bożena dzwoniła do mnie z telefonu kochanka.

– Dobry wieczór. Moje nazwisko Zawada. Jestem synem Krystyny...

– Tak? – przerwałem z niepokojem, bo w tle słychać było odgłosy, które kojarzyły mi się z czymś złym, choć nie umiałbym tego racjonalnie wyjaśnić. – O co chodzi?

– Mama prosiła, abym do pana zadzwonił. Wczoraj trafiła do szpitala, nic groźnego, po prostu zemdląca i uderzyła się w głowę, ale ponieważ dziś rano źle się czuła i wymiotowała, lekarze postanowili zatrzymać ją na parę dni. Mama prosiła, abym pana poinformował...

– Mój Boże, który to szpital? Wczoraj rozmawiałem z panią Krystyną, wyglądała tak zdrowo... Dlaczego zemdląca? Choruje?

Nagle przyszło mi do głowy, że źle to zabrzmiało: zupełnie jakby pracodawca chciał podstępnie wybać, czy z pracownikiem wszystko w porządku.

– Proszę przekazać mamie, żeby się nie martwiła nieobecnością w pracy, coś wymyślę. A zresztą ja sam jej to powiem. Kiedy w tym szpitalu są odwiedziny?

– Odwiedzać chorych można o każdej porze – odparł syn Krystyny zdziwionym tonem. – To chyba tylko w więzieniach są ustalone godziny widzeń.

– Cóż, kiedyś tak było również w szpitalach – mruknąłem.

Nie musiał mi przypominać, że należę do poprzedniej epoki. Jak nigdy przedtem czułem wyraźnie, że nie nadążam za światem.



W zasadzie miałam się nie odzywać, ale zrobiłam wyjątek: poprosiłam Olgierda, aby zadzwonił do pana Stanisława i poinformował go o moim stanie. Potem zamilkłam znowu. Postanowiłam, że będę milczeć tak długo, aż mój syn stanie na wysokości zadania i wyjaśni sprawę z tą biedną dziewczyną.

Jednak kiedy zostałam sama w szpitalnej sali (bo Olgierd musiał wracać do domu z powodu psiej znajdy – myślałby kto, że to ważniejsze od chorej matki!), jakiś głos w mojej głowie zaczął szeptać, że dziewczyna wcale nie jest biedna, tylko głupia. W dzisiejszych czasach istnieje tyle możliwości zabezpieczenia się przed nieplanowaną ciążą! Kiedy ja byłam młoda, te sprawy były znacznie trudniejsze. Nie miałyśmy dostępu do pigułek, nie było tych wszystkich pianek czy czego tam młodzi dziś używają!

Więc może chciała go złapać na dziecko? A jeśli tak, to czy powinnam jej kibicować, czy raczej stanąć po stronie syna?

Usiłowałam znaleźć argumenty na poparcie obu stanowisk. Jeśli Sara jest w ciąży, to znaczy, że Olgierd z nią sypiał. Do tanga trzeba dwojga. A skoro tak, to powinien być wziąć pod uwagę możliwość, że zostanie ojcem. Trzeba ponosić konsekwencje swoich czynów. Podobały mu się figle w łóżku, niech

mu się spodoba także opieka nad maluchem. W wyobraźni wygłaszałam tę tyradę z groźnie zmarszczonym czołem, ale w gruncie rzeczy radowała się we mnie dusza, bo przecież miało się spełnić moje wielkie marzenie: miałam zostać babcią Krysią!

Z drugiej strony... Istniała możliwość, że Sara to lafirynda, która zabawia się raz z jednym, raz z drugim. Bo przecież jeśli Olgierd oznajmił, że dziecko nie jest jego, to z pewnością przyszło mu to do głowy z jakiegoś powodu. Może miał wątpliwości co do wierności dziewczyny?

Sama nie wiedziałam, co o tym sądzić. Przez moją głowę przelatywały chaotyczne myśli: trzeba wykonać badania genetyczne, a jeśli się okaże, że owszem, Olgierd jest ojcem, to może... Bo ta dziewczyna najwyraźniej tego dziecka nie chciała... Więc może Oluś mógłby wychowywać je sam. Zamieszkałby u mnie, ja bym się wszystkim zajęła.

Rozmyślania przerwała mi wizyta pana Stanisława. Każdego bym się spodziewała, tylko nie jego! Przyniósł bukiet kwiatów. Wyglądał bardzo mizernie, a kiedy podszedł bliżej i przysunął sobie krzesło do mojego łóżka, poczułam nikłą woń alkoholu. Żeby tylko nie zaczął zapijać samotności, pomyślałam.

– Pani Krysiu – powiedział miękko. – Co się stało? Jak do tego doszło? Ma pani jakieś problemy?

No i stało się. Zupełnie jak wtedy w sklepie, kiedy on się rozkleił i opowiedział o odejściu żony, teraz ja rozsłochałam się jak mała dziewczynka. Wysłuchał mojej opowieści ze zmarszczonym czołem. Potem podał mi odrobinę pomietą chusteczkę higieniczną, którą wyciągnął z kieszeni kurtki, i odczekał, aż wytrę nos i oczy.

– Ale właściwie czym się pani bardziej martwi? – zapytał po chwili namysłu. – Psem czy ciążą?

– Och, nie, psem nie martwię się zupełnie. – Machnęłam ręką lekceważąco. – Pies mnie tylko irytuje.

– Dlaczego? Nie lubi pani zwierząt?

– Ależ lubię, lubię. Tylko... Mój Olgierd zupełnie się na nich nie zna, nigdy nie mieliśmy zwierzątka domowego. Postąpiłby znacznie bardziej odpowiedzialnie, gdyby zawiózł go do jakiegoś schroniska, rozumie pan?

– Miałem kiedyś wspaniałą suczkę – powiedział takim tonem, jakby wspominał największą miłość swego życia. – Dorka jej było na imię. To był mieszaniec, taka pokraka, coś jakby pekińczyk z ratlerkiem. Paskudna, mała, ale jakie piękne i wielkie miała serce! Niestety odeszła w męczarniach. Zachorowała na nosówkę.

– Przykro mi – mruknęłam, bo choć bardzo chciałam porozmawiać raczej o ciąży Sary, nie wypadało przerywać.

– Ma pani wspaniałego syna – ciągnął pan Stanisław, a wówczas ja pokraśniałam z dumy. – W dzisiejszych czasach taka wrażliwość zasługuje na uznanie. Ludzie mają kamienie zamiast serc, proszę pani. Zostawiają psy uwiązane w lesie, wyrzucają je z aut gdzieś na rozdrożach, oddają do schronisk. To się nie mieści w moim rozumieniu człowieczeństwa, pani Kysiu.

Zamierzałam wtrącić, że takie schronisko to przecież nic złego, a przynajmniej psy mają tam profesjonalną opiekę. Pan Stanisław nie dał mi jednak dojść do słowa.

– Ja zawsze chciałem mieć psa, już jako dorosły – rzekł. – Zwłaszcza gdy nasz syn był malutki. Sam wspominałem wyprawy z Dorką jako najwspanialsze chwile dzieciństwa. Pamięta pani tamte czasy? Nie spędzało się czasu przed telewizorem czy innym ekranem. Ganiało się po wertepach, po chaszczach, tropiło się wymyślonych przestępców albo szukało skarbów...

– W zabawie byłam zawsze Marusią z *Czterech pancernych* – wtrąciłam, rumieniąc się odrobinę, bo nie wiedziałam, czy nie uzna tego za śmieszne.

– O tak! Ja oczywiście bywałem Jankiem Kosem, a Dorka była Szarikiem. Innym razem odgrywałem rolę Janosika albo Winnetou.

– Och, w Marynę z Janosika też się bawiłam!

Zamilkliśmy na moment, każde z nas pogrążone we własnych wspomnieniach.

– Tak więc chciałem kupić psa swojemu synowi. – Pan Stanisław ocknął się wreszcie i podjął przerwany wątek. – Ale Bożena się nie zgadzała. Sierść, brud, pasożyty, obowiązki... W kółko to powtarzała.

– No, miała trochę racji. – Wrodzone poczucie sprawiedliwości kazało mi się odezwać w obronie szefowej.

– Ależ pani Krysiu, ja to wszystko rozumiałem! – zawołał. – Toteż nawet zaproponowałem, żeby psiak mieszkał na dworze. My mamy dom z ogrodem... Choć może „z ogrodem” to za dużo powiedziane, bo bardziej z sadem. Trawnik, parę iglaków i kilka drzewek owocowych. Żona jakoś nie ma ręki do kwiatów.

Aż mi się oczy zamgliły. Gdybym tak ja miała dom z ogrodem... Albo chociaż skwerek do zagospodarowania przed blokiem... Posadziłabym piwonie i róże, i marcinki. Posiałabym lwie paszcze i pokazywałabym wnukom, jak śmiesznie rozchylają im się pyszczki. A na wiosnę kwitłyby szafirki i narcyzy.

– Więc sama pani rozumie, wystarczyłoby zbudować porządną budę. Ale Bożena nie chciała nawet o tym słyszeć. Wie pani, tak sobie teraz myślę, że to powinno mi dać do myślenia. Przecież porządni, dobrzy ludzie lubią zwierzęta, prawda? Trzeba być naprawdę nieczułym, żeby widzieć w nich tylko siedlisko bakterii i pasożytów. Przecież to są inteligentne istoty, zdolne do głębokich uczuć. Nikt mi nie powie, że psy nie kochają. Kochają, pani Krysiu. Tęsknią i cierpią. Potrafią się uśmiechać i potrafią być smutne.

– Tak, na pewno – powiedziałam tylko, ponieważ poczułam się raczej niekomfortowo.

Bardzo chciałam, abyśmy już porzucili temat psa.

– A propos smutku... – Pan Stanisław najwyraźniej czytał w myślach. –

Proszę mi jeszcze raz wyjaśnić, o co tu chodzi z tym dzieckiem. To jest czy też nie jest dziecko pani syna?

Westchnęłam ciężko.

– No właśnie sama chciałabym wiedzieć – powiedziałam, po czym podzieliłam się z moim szefem wszystkim tym, o czym rozmyślałam przed jego przyjściem.

Wysłuchał mnie w milczeniu, w odpowiednich momentach kiwając głową. Przeszło mi przez myśl, że ta jego żona to jednak głupia baba. Mieć takiego mężczyznę: mądrego, taktownego, życzliwego (bo przecież nie musiał odwiedzać mnie w szpitalu, zrobił to ze zwykłej ludzkiej dobroci) i w dodatku nawet przystojnego... I zostawić go dla jakiejś przelotnej miłości?

– Rozumiem – podsumował pan Stanisław, nieświadom cenzurki, jaką mu właśnie wystawiłam w duszy. – Czyli problem w tym, że pani bardzo, ale to bardzo chciałaby, żeby to było dziecko Olgierda. Ale z drugiej strony chce pani, aby on sam był szczęśliwy. I tylko pytanie brzmi: czy to przypadkiem się ze sobą nie gryzie?



To była najgorsza niedziela w moim życiu. Po pierwsze byłam okropnie niewyspana. Kiedy Olgierd wrócił ze szpitala, najpierw wywietrzyliśmy mieszkanie i umyliśmy podłogę, bo wszystko śmierdziało psem. Potem on zadzwonił do swojego przyjaciela Adama i opowiedział mu wszystko, bo twierdził, że emocjonalnie Adam jest kimś w rodzaju drugiego syna jego matki (jako że bardzo wcześnie stracił rodziców i został, jak to Oluś określał, „odkarmiony” przez panią Krystynę).

Czekałam cierpliwie. Następnie zaparzyłam wielki dzbanek herbaty i wtedy nadeszła moja kolej. Rozmawialiśmy chyba do drugiej nad ranem. W międzyczasie szczeniak zaczął okropnie skomleć, więc nakarmiliśmy go ponownie, ale tym razem dostał tylko parę plasterków wędliny i odrobinę śmietany (nie wiedzieliśmy, co jedzą szczeniaki, ale uznaliśmy, że sernik się nie nadaje, a robienie mu kanapki wydawało nam się idiotyczne). Tak czy owak, po paru minutach znowu zwymiotował, więc na nic się to zdało.

Olgierd postanowił, że w niedzielę rano poszuka jakiegoś weterynarza, a tymczasem ponownie zajął się mną. Słuchał, jak to tylko on potrafi, po czym zadał mi kilka fundamentalnych pytań, na które nie potrafiłam odpowiedzieć, więc tylko beczałam coraz bardziej.

– Jak sobie poradzisz z samotnym macierzyństwem? – zapytał na przykład. Oraz: – Czy w ogóle kiedykolwiek myślałaś o tym, jak to jest być matką?

Właściwie potrafiłam odpowiedzieć jedynie na dwa pytania. Pierwsze z nich brzmiało: „Czy jesteś pewna, że to dziecko Henryka?”. Oczywiście, że byłam pewna. Uraziło mnie, że Oluś w ogóle to pytanie zadał, w dodatku już po raz drugi tego dnia.

– Nie gniewaj się – wyjąkał niepewnie, kiedy powiedziałam mu o tym dość ostrym tonem. – Po prostu kiedy człowiek widzi... – Tu zaczerwienił się gwałtownie. – ...taką seksowną kobietę jak ty... Odnosi się wrażenie, że niewasz wiele przygód...

– Olgierd, czy ty mnie obrażasz?!

– Nie, absolutnie nie to mam na myśli! – Najwyraźniej nie wiedział, jak wybrnąć. – Przepraszam, chyba myślę stereotypami. Zawsze mi się wydawało, że się nie angażujesz, że się bawisz mężczyznami...

– A niby dlaczego tak ci się wydawało?

Umilkł i kręcił głową, czerwony jak burak. Co on sobie o mnie myślał? Że jestem z Henrykiem dla tych prezentów i wyjazdów do ekskluzywnych hoteli?!

– Oluś, przecież tyle razy zwierzałam ci się z moich kłopotów sercowych...

– Tak, ale nigdy nie padło słowo „miłość”. Mówiłaś raczej o tym, jak spędziliście czas i że wolałabyś, żeby on był bardziej romantyczny, i o sprawach łóżkowych... O uczuciach nie mówiłaś.

Może miał rację. Rzecz w tym, że sama chyba nie bardzo wiedziałam, jak nazwać uczucie, które żywiłam do Henryka. Czułam się przy nim bezpiecznie, w jego objęciach wypełniał mnie spokój. Czy to już miłość? Czy to wystarczy, aby użyć słowa „szczęście”?

Drugie pytanie, na które potrafiłam Olgierdowi odpowiedzieć, brzmiało: „Czy masz pewność, że jesteś w ciąży?”.

– Nie – odparłam stanowczo. – Nie byłam u lekarza i nie zrobiłam testu. Ale wierz mi, kobieta czuje takie rzeczy. Powiększyły mi się piersi, cała jestem jakaś nabrzmiąta, jakby wypełniało mnie więcej krwi, jakby było mnie więcej. Pewnie tego nie rozumiesz...

– Nie rozumiem – przyznał, a policzki mu płonęły, kiedy rzucał szybkie spojrzenia na mój biust, zapewne oceniając, czy rzeczywiście jest większy. – Ale niezależnie od kobiecej intuicji i większej zawartości ciebie w tobie, jutro zrobisz test, okej? Bo jednak lepiej mieć pewność, zanim człowiek wyleje morze łez i podejmie jakiegokolwiek decyzję.

*

Rano oboje obudziliśmy się zapuchnięci. Olgierd zabrał się do sprzątanía z posadzki siuszków i dwóch maleńkich bobków, które wyprodukował szczeniak, kiedy spaliśmy. Ja zaparzyłam kawę. Wypiliśmy ją w milczeniu. Olgierd wpadł na pomysł, aby dać szczeniakowi trochę twarożku z kleksem oliwy (zgodnie z zasadą, że tłuszcz jest najlepszym źródłem energii, a ten malec wyglądał, jakby miał za chwilę paść z głodu, chwiał się na łapkach i w ogóle był okropnie mizerny). Piesek oczywiście rzucił się na jedzenie, ale zwymiotował niemal natychmiast, co sprawiło, że Olgierd niezwłocznie zabrał się za wyszukiwanie w internecie weterynarzy, którzy przyjmują w niedzielę o tej porze.

Wreszcie pożegnaliśmy się, ja wróciłam do siebie, a po drodze wstąpiłam do apteki i kupiłam test ciążowy, Oluś zaś opatulił psa kocykiem i zawiózł go samochodem do jedynej otwartej o tej godzinie lecznicy, która jak na złość znajdowała się na drugim końcu miasta.

Resztę niedzieli spędziłam, kręcąc się bez celu po mieszkaniu i zerkając z ukosa to na telefon, to na pudełeczko z testem. Ze zdumieniem odkryłam, że nie mam ochoty ani zadzwonić do kochanka, ani wykonać testu. Co do telefonu, to Henryk powinien skontaktować się ze mną. Zareagował

emocjonalnie, zachował się paskudnie, ale był czas, aby ochłonąć. Może zamiast dzwonić, przyjdzie z bukietem kwiatów, pomyślałam, więc na wszelki wypadek zrobiłam sobie staranny makijaż i przebrałam się w jedwabny szlafroczek. Nadal wyglądałam na opuchniętą (nie miałam pewności: to przez te wszystkie wylane łzy i nieprzespaną noc czy raczej już objaw ciąży?!), ale przecież musi być widać, że sytuacja mną wstrząsnęła. Henryk nie może pomyśleć, że dla mnie to błahostka, niech widzi ogrom emocji, które mną targają.

Z kolei na wykonanie testu nie mogłam się zdecydować z powodu, który zaskoczył mnie samą. Nie miało to nic wspólnego z Henrykiem. Po prostu kiedy wyobraziłam sobie, jak siusiam na ten prostokąt plastiku, jak potem odmierzam czas i wreszcie sprawdzam wynik... uświadomiłam sobie, że bardziej boję się tego negatywnego. Obawiałam się, że w okienku pojawi się tylko jedna kresczka. I to odkrycie zupełnie zbiło mnie z tropu. Dotąd nie miałam pojęcia, że w gruncie rzeczy chciałabym być w ciąży.



Jak to możliwe, że w całym mieście jest tylko jedno pogotowie weterynaryjne, myślałem, jadąc niemal pustymi ulicami. I jak to możliwe, że psiak, który wygląda jak szkielet, nie może nic zjeść? Na początku myślałem, że to kwestia ilości – że się nachłęptał za dużo tego krupniku od mamy. Ale potem próbowaliśmy z Sarą dawać mu maleńkie ilości jedzenia. Wszystko na nic – cokolwiek zjadł, prędzej czy później lądowało na podłodze.

W lecznicy przywitał mnie nieco nieświeży facet w okularach lenonkach. Miał na sobie szlafrok, z czego wywnioskowałem, że mieszka w tym samym budynku i zasadniczo ma zamknięte w niedzielę, chyba że – tak jak dzisiaj – trafi się nagły przypadek.

– To pan dzwonił? – upewnił się. – Okej, zapraszam do środka. Nie zdążyłem się ubrać, przepraszam. Co my tu mamy?

– Znalazłem go w śmietniku – wyjaśniłem, ostrożnie odwijając szczeniaka ze starego koca. – Cały się trzęsie. Nie znam się na psach, ale chyba nie powinien być taki chudy, prawda?

– Zdecydowanie nie powinien – mruknął weterynarz przez zęby. – Gdybym dorwał tego sukinsyna, który doprowadził go do tego stanu...

– I który wyrzucił do śmieci jak rzecz – dodałem.

Pokiwał głową. Zajrzał psiakowi do pyszczka, obmacał całe jego trzęsące się ciało, po czym zmierzył temperaturę, wtykając cieniutki termometr w zadek.

– Próbowałem go nakarmić – wyjaśniłem. – Ale wszystko zwymiotował.

– Pewnie dał pan od razu dużą porcję, co?

– Nieszczególnie. Niestety nie było to typowo psie jedzenie, bo najpierw dostał trochę krupniku, a potem usiłowałem dać mu choć odrobinę twarożku z oliwą.

Czekałem, że mnie skrytykuje za dobór menu, ale milczał.

– Tak czy owak, wszystko wylądowało na podłodze.

Czułem się niekomfortowo, ponieważ weterynarz nic nie mówił, a ja poczułem się tak, jakby obwinił mnie za stan szczeniaka.

– To jest w ogóle jakaś rasa? – zapytałem, żeby zmusić go do odezwania się.

– Co? – Przez chwilę patrzył na mnie nieprzytomnie. – A, rasa. Nie, proszę pana, to z pewnością nie jest żadna rasa. Mały jest mieszańcem i w dodatku rodzicami były zapewne psy różniące się rozmiarami. Wygląda tak, jakby mama była duża, a ojciec malutki.

– Albo na odwrót.

– Teoretycznie tak – mruknął. – Ale wtedy matka mogłaby nie przeżyć porodu. No, mniejsza z tym. Tak czy owak, ten chudzielec nie jest ósmym cudem świata. Moja żona powiedziałaby, że ma tak zwaną „niebanalną urodę”. Ale dla mnie ważniejsze jest, dlaczego on tak wymiotuje...

– A to nie jest tak, że skoro długo nie jadł, to teraz żołądek nie potrafi trawić... Bo tak było w jednym filmie.

– W filmie sobie mogło być. I owszem, w sumie jest to możliwe. Ale wolę sprawdzić jego przełyk. Będziemy musieli podać kontrast.

Nie byłem obecny przy badaniu, ponieważ na wieść o tym, że trzeba będzie wpompować w małego ileś tam płynu i potem go przeświecić, zrobiło mi się słabo. Weterynarz kazał mi wyjść, usiąść w poczekalni, a najlepiej zdrzemnąć się trochę.

– Wygląda pan, jakby spał pan jeszcze mniej niż ja – orzekł. – Też się zabalowało?

– Nie. Tylko... najpierw ratowałem czyjeś złamane serce, a potem tego psiaka.

– Może pora nadać mu imię?

– Ale ja... Ja go sobie nie zostawię – wyjąkałem. – Zamierzam zawieźć go do schroniska, gdy tylko stanie na nogi. Ja nie mogę mieć psa, mieszkam sam. Kto by się nim zajmował, kiedy jestem w pracy? A zresztą nigdy nie chciałem. Ja nawet nie lubię psów. Chyba.

– Rozumiem – powiedział weterynarz i z miejsca stał się jakby mniej sympatyczny. – No tak. To i tak dobrze, że w ogóle pan do mnie przyjechał.

*

Nie miałem pojęcia, jak przebiegało badanie i ile trwało, bo rzeczywiście udało mi się przysnąć. W tle cichutko grało radio, nadawali akurat jakąś rzewną melodię. Zamknąłem oczy i odleciałem. Wreszcie facet uchylił drzwi i powiedział „zapraszam”. Zerwałem się na równe nogi i wszedłem do gabinetu z lekką obawą, ale też przekonaniem, że teraz już wszystko będzie dobrze.

– Przykro mi – brzmiały słowa, które rozwiały moją nadzieję na szczęśliwe zakończenie „psiej przygody”. – Nie mam dobrych wiadomości. Piesek ma achalazję. To jest taka wada przełyku... Najprościej mówiąc, przewężenie. Pokarm nie dociera do żołądka, zatrzymuje się, rozciągając ścianki przełyku nad tym wąskim odcinkiem. Powstaje tam coś w rodzaju kieszonki. Jedzenie zalega, psuje się, zaczyna śmierdzieć... I wreszcie wylewa się. To nie są wymioty, bardziej właśnie ulewanie.

- Rozumiem – wyjąkałem. – Czy to się leczy?
- Operuje. Ale nie każdy przypadek jest operowalny.
- A ten...? – Zawiesiłem głos.
- Ten nie jest – padła krótka odpowiedź.

Milczałem. Co to oznaczało? Że psiak skazany jest na śmierć głodową mimo pełnej miseczki, którą podsuwałem mu pod nos? Przecież to niehumanitarne.

– A nie można by go karmić jakoś... – wyjąkałem wreszcie – przez rurkę? Nie wiem, kroplówkami?

– Jak pan to sobie wyobraża? – zapytał sucho. – Że w schronisku zbudują dla niego specjalny boks? Przywiozą aparaturę? Nie, proszę pana. W schronisku wsadzą go do kojca wraz z innymi psami. Ponieważ jest słaby, nie ma szans wywalczyć sobie dobrej pozycji w stadzie. Pozostałe psy wcale nie dopuszczają go do miski. A nawet gdyby był karmiony oddzielnie, to przecież sam pan już wie, jak to się skończy. Wszystko się z niego wyleje.

– Więc co można zrobić? – zapytałem wstrząśnięty.

– Jeśli ma trafić do schroniska, to lepiej go uśpić od razu. Ale jeśli znajdzie mu pan dom, to cóż... Jakieś szanse są.

Milczałem, rozważając jego słowa. Co to znaczy, że miałbym mu znaleźć dom? Przecież nie znam nikogo, kto chciałby przygarnąć szczeniaka, nie mówiąc już o chorym szczeniaku.

– Po pierwsze on w tej chwili funkcjonuje na granicy wystarczalności energetycznej – odezwał się weterynarz, który zapewne uznał, że moje milczenie oznacza niezgodę na uśpienie psiaka. – Damy mu taką specjalną pastę, to powinno dodać mu sił. Po drugie można spróbować karmić go w pozycji pionowej. Rozumie pan, chodzi o to, aby nie schylał się do miski. Musiałby pan trzymać go tak... – Chwycił malca w taki sposób, że psi zadek znajdował się na jego kolanach, a głowa przy ramieniu. – ...i karmić, podając jedzenie z góry. Istnieje szansa, że wówczas karma przepchnie się przez to

zwężenie i dotrze do żołądka. Rozumie pan, pomoże w tym grawitacja.

– Rozumiem – mruknąłem. – Tylko przydałaby mi się dodatkowa para rąk.

– Są specjalne krzesła dla psów z achalazją. Wtedy karmienie staje się łatwiejsze. Na pewno uda się panu wyszukać w internecie... Wystarczy zamówić u stolarza...

– A w schronisku by nie mieli? – zapytałem, a on spojrzał na mnie jak na idiotę.

– Już panu mówiłem. Schronisko to dla niego wyrok śmierci. Równie dobrze możemy zabić go natychmiast. Usypiamy?

Jego oczy wydały mi się zimne jak oczy gada. Patrzył na mnie badawczo, a ja uciekłem wzrokiem i napotkałem spojrzenie szczeniaka. Weterynarz wciąż trzymał go na rękach. Nie miałem pojęcia, jak to możliwe, ale widząc, że na niego patrzę, psiak dwa razy machnął ogonkiem. Jakby rozumiał, skubaniec, że teraz wszystko zależy od mojej decyzji.

– Proszę mi dać tę pastę energetyczną – powiedziałem. – Ja naprawdę nie mogę mieć psa. Nie mam warunków. Ale może jak go odkarmię, łatwiej będzie znaleźć mu opiekuna. Albo może wtedy przyjmą go do tego schroniska.

Odpowiedzi nie było. Weterynarz postawił szczeniaka na podłodze, umył ręce i zajął się wpisywaniem jakichś informacji do komputera, a ja patrzyłem bezradnie na chude, trzęsące się ciało, które słaniało się na nóżkach. Nie lubię psów, powtarzałem sobie w duszy. Nie lubię nawet myśli, że mógłbym mieć psa. Jak ktoś ma dom z ogrodem, to jeszcze rozumiem, potrzebuje stróża. Taki pies potrafi zapewne także zapolować na jakieś gryzonie, czy ja wiem, myszy, nornice albo inne dziadostwo. Ale w bloku? Na co komu pies?

– Na razie nie może pan wychodzić z nim na dwór. Nie powinien bywać w miejscach, gdzie załatwiają się inne psy, bo zapewne nie był szczepiony. A zaszczepić go na razie nie mogę, jest za słaby – powiedział. – To

niedobrze, bo w tym wieku bardzo ważna jest socjalizacja. Ale z drugiej strony zdrowie ważniejsze. Umówmy się, że dajemy małemu tydzień. Jeśli nie zacznie choć trochę przybierać na wadze, trzeba będzie skrócić jego cierpienia. Zapisałem tu jego dzisiejszą wagę, pobrałem też krew i za tydzień zrobimy to samo, porównamy wyniki.

– A oprócz tej pasty co mam mu dawać?

– Ma pan dwa wyjścia. Albo gotowane mięso z ryżem i marchewką, zmiksowane z wodą, taka gęsta papka. Z góry do pyska, pozycja pionowa, pamięta pan? Malutkie porcje.

Pokiwałem głową.

– Albo gotowa karma, też namoczona i zmiksowana z wodą. On raczej nie powinien pić, choć na pewno będzie mu się chciało, ale płyn zalegający w przełyku to niemal murowane zachłystowe zapalenie płuc.

Milczałem, bo ogrom problemów związanych z tym, aby utrzymać tego kundelka przy życiu, zupełnie mnie przytłoczył.

– Dam panu karmę dla szczeniąt – mruknął weterynarz, widząc moją minę. – Bo coś mi mówi, że kompletnie by pan nie wiedział, jaką wybrać. Tylko proszę jej nie zmieniać. Nawet zdrowe psy źle reagują na zmianę pokarmu.

Pokiwałem głową, zapłaciłem, wziąłem szczeniaka pod pachę i pożegnałem się, myśląc o tym, jak będę się czuł, jeśli za tydzień okaże się, że mały nie przybrał ani grama.

– Jeszcze jedno! – zawołał doktor, wychodząc za mną do poczekalni. – Muszę wpisać w komputerze jakieś imię. Pimpek, Kapsel, cokolwiek.

W tle rozległ się głos spikera radiowego.

– A teraz coś na rozruszanie w ten pochmurny niedzielny poranek... – usłyszeliśmy. – *Magiczne słowa* zaśpiewa zespół Ziyo.

– Ziyo – powtórzyłem. – Niech będzie Ziyo.

– Bardzo dobrze. Dwusylabowe są najlepsze.

Po czym zniknął za drzwiami gabinetu, a ja i Ziyo wyszliśmy z lecznicy.

– No, maluchu – powiedziałem, układając psiaka na przednim siedzeniu i okrywając go kocem. – Masz tydzień, rozumiesz? Teraz wszystko zależy od ciebie.



Torebka bardzo się Julci podobała. Oczywiście wiedziałam doskonale, że zestaw kreatywny ucieszyłby ją znacznie bardziej, ale przecież co się odwlecze, to nie uciecze. Wyobraziłam sobie, jak znajdzie go pod choinką, jak będzie odwijać pudełko z kolorowego papieru... Uwielbiałam takie chwile.

Marcinek podarował kuzynce jedną ze swoich ulubionych książek – *Dachołazy*. Taki zwyczaj wprowadziliśmy z moim bratem Grześkiem kilka lat wcześniej. Nasze dzieci rosły, chciały sobie nawzajem robić prezenty, a z pieniędzmi zawsze było u nas krucho. Teraz Grześ radził sobie jako tako, był stolarzem i rozkręcił własny zakład, ale wtedy dopiero zaczynał i musiał oszczędzać każdy grosz. Zaproponowałam wówczas, aby dzieciaki zamiast kupować prezenty, po prostu obdarowywały się czymś własnym. W ten sposób na przykład mój Marcin dostał od kuzyna zestaw „Mały astronom”, kiedy Patrykowi przeszło zainteresowanie niebem i gwiazdami, od Julki zaś granatową bluzę z kapturem, którą wygrała na szkolnej loterii i uznała, że jest „chłopska”, a na jej brata okazała się za mała.

Cóż, był to system pozwalający sprawiać sobie nawzajem przyjemności mimo ograniczeń finansowych. Dzieci zaś uczyły się, że najważniejsza nie jest wartość prezentu, lecz pamięć o kimś bliskim i chęć obdarowania go.

Przynajmniej taką miałam nadzieję.

Niedziela upłynęła nam pod znakiem nauki. Musiałam przepytąć syna z niemieckich liczebników oraz poćwiczyć z nim przeliczanie skali mapy, bo takie dwie kartkówki miał w poniedziałek. Z kolei we wtorek szykowałą się praca klasowa z języka polskiego, a to oznaczało długą rozmowę o tym, jakie tematy z *Pinokia* wymyśli najlepszy polonista pod słońcem.

– Jak myślisz, mamu, będzie opis? – zapytał Marcin podczas obiadu.

– Na wszelki wypadek zrób sobie notatki – odparłam, bo wiedziałam, że mój syn dokładnie tego oczekuje. Gdybym powiedziała, że nie, opisu na pewno nie będzie, zacząłby mnie przekonywać, że lepiej wynotować sobie szczegóły wyglądu pajacyka i jego ubranka. Taki już był Marcin: mały dorosły.

– A inne tematy? Jakie byś wymyśliła?

Taka rozmowa powtarzała się przed każdą pracą klasową z lektury. Oczywiście nie pamiętałam dokładnie treści książek, musiałam więc wysłuchiwać streszczenia w wykonaniu mojego kochającego literaturę syna. Musiałam także wyrażać swoją opinię na temat tego, czy dana książka powinna, czy też nie powinna znajdować się w spisie lektur. Czasem myślałam, że niezwykle umysł Marcina był rekompensatą za jego ułomność fizyczną. Oczywiście cieszyłam się, że przynosił szóstki, brał udział w konkursach i miał najwyższą średnią ocen w klasie. Ale po tysiącokroć wolałabym, żeby dostawał trójki, a w zamian był w pełni sprawny i mógł ganiać za piłką jak inni chłopcy.

– Może na przykład list do przyjaciela – odpowiedziałam, bo Marcin wciąż czekał. – A w tym liście masz polecić *Pinokia* jako lekturę wartą przeczytania.

– O nie! Pan od polskiego nigdy nam nie narzuca swojego zdania, tylko pyta o nasze.

– Więc dobrze: „W liście do kolegi wyraż swoją opinię na temat książki

pt. *Pinokio*. W swojej pracy musisz udowodnić, że dobrze znasz treść lektury”. Teraz lepiej?

– Napisałbym tak: „Drogi Patryku!”. Wcale nie trzeba do kolegi, można do kuzyna, pan Zawada mówił, żeby nie przywiązywać wagi do takich rzeczy, bo tylko tracimy czas, a to jest najmniej ważne. No więc: „Drogi Patryku! Co u ciebie? Czy już wyzdrowiałeś?”. Pan Zawada nas uczy, że takie rzeczy się pisze we wstępie, nie można pisać od razu o książce, bo to by było sztuczne. Najpierw się pyta o zdrowie albo można wymyślić coś ciekawego, na przykład czy udała się wycieczka, czy podoba mu się w nowej szkole...

Westchnęłam. Marcin najwyraźniej zamierzał ułożyć sobie ustnie cały list, a ja zdałam sobie sprawę, że będę musiała tego wysłuchać. Czekala na mnie sterta prasowania, a przy prasowaniu lubiłam obejrzeć jakiś ciekawy film. Pozostawało mieć nadzieję, że mój synek przestanie trajkotać, zanim uporamy się z kotлетem i surówką.

*

Wieczorem, kiedy mały już spał, a ja poukładałam wyprasowaną pościel w szafce, zaparzyłam sobie melisę i usiadłam w dużym pokoju. Wyłączyłam telewizor, żeby побыć trochę z własnymi myślami. Lubiałam takie momenty wyciszenia, choć często kończyły się łzami. Tym razem nie miałam zamiaru się roztkliwiać, bo byłam w znakomitym nastroju po obejrzeniu francuskiej komedii *Jeszcze dalej niż północ*. Rzadko mi się zdarzało tak szczerze śmiać przy oglądaniu filmu. Zwykle większość gagów komediowych wydawała mi się prymitywna, choć czasem zastanawiałam się, czy problem nie tkwi raczej we mnie, w tym smutku, który towarzyszył mi od śmierci Martusi.

Mój brat powtarzał, że powinnam sobie znaleźć mężczyznę.

– Życie w pojedynkę każdego doprowadziłoby do depresji – mawiał. – Przecież w samotności nawet takie głupstwa jak ból głowy czy niestrawność urastają do rangi problemu... Człowiek potrzebuje kogoś, kto by mu podał proszki przeciwbólowe albo zaparzył herbatę.

– Proszki podaje mi Marcin – odpowiadałam. – A niedługo będzie już na tyle duży, że i herbaty zrobi, i w razie potrzeby ugotuje obiad.

Oboje wiedzieliśmy, że tak się nie stanie. Nie dlatego, że Marcin by nie potrafił. Nie wątpiłam w to, że mimo częściowej niesprawności ręki dałby sobie radę z większością kuchennych czynności. Problem tkwił we mnie: chciałam go chronić przed każdym, nawet najdrobniejszym niepowodzeniem. Pragnęłam usunąć z jego drogi wszelkie przeszkody, nawet te, z którymi doskonale by sobie poradził. Wiedziałam, że to głupie, i doskonale rozumiałam, że muszę przestać. Że nadejdzie taki dzień, w którym mój syn sam zacznie się buntować przeciw mojej nadopiekuńczości.

Dopiłam melisę i poszłam przygotować kąpiel. Na co dzień pozwalałam sobie jedynie na szybki prysznic, bo rachunki za wodę były i tak spore, ale w niedzielny wieczór potrzebowałam odrobiny luksusu. Nigdy w życiu nie byłam w spa, ale potrafiłam sobie to wyobrazić. Smarowałam twarz olejem kokosowym, zanurzałam ciało w gorącej wodzie, opierałam głowę na wałku z ręcznika, zamykałam oczy i rozmyślałam. W tych rzadkich chwilach nie pozwalałam sobie na gonitwę myśli o rachunkach do zapłacenia, o szkolnych sprawach Marcina czy złośliwej szefowej. Zamiast tego próbowałam marzyć. Kiedyś wyczytałam w jakimś poradniku, że marzenie też jest sztuką. Że nie należy tego robić byle jak. Trzeba się odprężyć, wprowadzić swój umysł w ten specyficzny stan na pograniczu jawy i snu – i dopiero wtedy zacząć. Ale nie tak zwyczajnie. Nie powtarzać jak mantrę: chcę, aby Marcin poradził sobie w dorosłym życiu. Chcę, aby ktoś go pokochał, kiedy stanie się mężczyzną. Nie. Marzyć należy obrazami. Trzeba sobie wyobrazić scenę, którą chcemy przeżyć. Trzeba odegrać w umyśle wszystkie szczegóły, a zwłaszcza emocje. Poczuć je. Doznać ich.

Tyle poradnik. Rzeczywistość była nieco inna. Ilekroć usiłowałam się odprężyć i wyświetlić sobie wizję, w której nasze życie staje się spokojne i pozbawione wszelkich problemów, w mojej głowie pojawiała się szalona mieszanka obrazów, które nagromadziły się tam w ciągu ostatnich kilku godzin. Tak stało się również tym razem. Ledwie zamknęłam oczy

i pozwoliłam gorącej wodzie, by rozluźniła moje ciało, pod powiekami pojawiły się strzępki przeżytych w tym dniu sytuacji. Marcin z kawałkiem kotleta nadzianym na widelec, zabawny listonosz z obejrzanego filmu i... scena miłosna. Również filmowa.

Otworzyłam oczy i potrząsnęłam głową. Nie, nie chciałam scen miłosnych. Nie chciałam pocałunków, wyznań, oświadczeń wśród kwiatów ani czułych słówek. Byłam już dużą dziewczynką, nie wierzyłam w bajki o miłości. Złościło mnie to, że niemal każdy obejrzany przeze mnie film i każda przeczytana książka miały bardziej lub mniej rozwinięty wątek romantyczny. Co to miało wspólnego z realizmem? W prawdziwym życiu mijał rok za rokiem i nic się nie zmieniało. Dzieci rosły, na twarzy przybywało zmarszczek, a rycerz na białym koniu jakoś nie pojawiał się na horyzoncie. Zresztą nie pojawiał się w ogóle nikt: ani na koniu, ani pieszo, ani rycerz, ani giermek.

W świecie filmowym lub książkowym jeśli nawet bohaterka nie znajdowała miłości, to mogła przynajmniej cieszyć się radosnym seksem bez zobowiązań. Nie wiem, skąd pisarze czerpali inspiracje, może były to po prostu ich pobożne życzenia, niespełnione fantazje. Od rozstania z Darkiem minęło osiem lat. Nie byłam szczególnie brzydka, choć pewnie również niespecjalnie piękna. Miałam sylwetkę nastolatki. Ubrania leżały na mnie nawet lepiej niż na modelkach, bo w przeciwieństwie do nich miałam biust. I co? I nic. Chętnych na związek albo chociaż seks bez zobowiązań jakoś nie było. Nie żebym o tym marzyła. Po prostu traktowałam to jako obserwację socjologiczną. Moje życie zupełnie nie przystawało do tego, co tworzyli autorzy poczytnych powieści albo wzięci scenarzyści. I tylko pytanie brzmiało: czy oni robią coś nie tak, czy jednak ja?



Olgierd nie wyglądał dobrze. W poniedziałek spotkałam go na parterze, bo miał tam dyżur. Był blady i jakiś wymięty.

– Co powiedział weterynarz? – zapytałam, po czym szybko się poprawiłam, bo przyszło mi do głowy, że należało jednak najpierw spytać o coś innego. – I kiedy wypuszczą mamę?

– Zrobiłaś test? – zadał pytanie dokładnie w tym samym momencie. – Miałaś zadzwonić.

Przez chwilę patrzeliśmy na siebie, nie wiedząc, które najpierw ma odpowiedzieć. W końcu podjęłam decyzję, że będę to ja.

– Nie zadzwoniłam... ponieważ stchórzyłam – wyjaśniłam.

– Ale że co? Czego się bałaś? Powiedzieć, że wyszedł wynik pozytywny?

– Nie o to chodzi. Bałam się... Oluś, wiem, że ty mnie zrozumiesz. – Złapałam go za rękę i ścisnęłam mocno. – Nie zrobiłam testu, bo bałam się, że wyjdzie negatywny.

Patrzył na mnie z wyrazem twarzy, którego nie dałoby się określić żadnym kulturalnym przymiotnikiem. W każdym razie wbrew temu, co właśnie powiedziałam, z jego oczu wyczytałam kompletny brak zrozumienia.

– Czekaj... Ustalmy coś – odezwał się po chwili. – Sądziłem, że płakałaś, ponieważ...

Umilkł i przez chwilę wyglądał, jakby dobierał słowa.

– To ty chcesz czy nie chcesz być w ciąży?! – wybuchnął.

Przechodzące obok uczennice zerknęły na mnie z ukosa. A niech mnie, to Julka i Nikola z siódmej klasy. Czyli plotki murowane. Zapewne przez najbliższe kilka dni każdy będzie mnie taksował wzrokiem, aby ocenić, czy już widać brzuszek.

– Widzisz... problem w tym, że sama nie wiem – odpowiedziałam. – Sądziłam, że nie. A tymczasem chyba chcę.

– *Cognosce te ipsum*, jak mawiali starożytni – mruknął Olgierd pod nosem. – Co znaczy: poznaj samego siebie. Oto recepta na udane życie.

Rozdrażnił mnie jego przemądrzały ton oraz to, że rzuca mi tu łacińskimi sentencjami.

– Dopiero kiedy kupiłam test, uświadomiłam sobie, że tym, co tak naprawdę mnie zraniło, była reakcja Henryka. Nie płakałam z powodu dziecka, tylko... Bo miałam nadzieję, że on się ucieszy. Że przyjedzie z bukietem kwiatów, weźmie mnie na ręce, kupi maleńkie buciki...

– Żyjesz w świecie obrazków z reklam i komedii romantycznych – zgasił mnie Oluś.

– Może masz rację.

Staliśmy naprzeciwko siebie, mierząc się wzrokiem w taki sposób, jakbyśmy mieli za chwilę przystąpić do walki.

– W każdym razie testu nie zrobiłam – dodałam najbardziej pojednawczym tonem, na jaki było mnie stać.

– Zrobisz dzisiaj? Przecież musisz mieć pewność.

– Tak, zrobię, obiecuję. I natychmiast zadzwonię.

Chciałam ponowić pytanie o zdrowie mamy i o tego nieszczęsnego psa, ale zadzwonił dzwonek, więc ja udałam się do kantorka przy sali gimnastycznej, mój przyjaciel zaś poszedł do pokoju nauczycielskiego po klucz od klasy. Wiedziałam, że tego dnia nie uda nam się już porozmawiać, bo na następnej przerwie także i ja zaczynałam dyżur.

Wróciliśmy do naszej rozmowy dopiero po południu, kiedy z wielką determinacją nasiusiłam na test i odłożyłam go do umywalki, sama zaś wyszłam, żeby nie oszaleć od czekania. Chwyciłam słuchawkę i wybrałam numer Olgierda.

– I co? – powitał mnie krótkim pytaniem.

– Jeszcze nie wiem. Zrobiłam, ale jeszcze nie odczytałam wyniku.

– Idź i odczytaj.

– Zaraz to zrobię. Dlaczego sapiesz? Biegłeś?

– Nie, usiłowałam nakarmić Ziyo.

– Co?

– Kogo. Ziyo to ten pies. Cholera jasna, że też ja musiałem zajrzeć akurat do tego śmietnika... Nie, przepraszam, to nie tak. Nie chciałem tego powiedzieć. Wcale tak nie myślę. Przecież gdybym tam nie wszedł, biedak udusiłby się w tym worku foliowym.

– No ale jaki to ma związek z sapaniem? Przecież to nie jest męczące. Sypiesz karmy do miski i już. Przynajmniej tak robią w reklamach.

– Jasne! – mruknął z przekąsem. – Tyle że nikt nie reklamuje psów z achalazją.

– Z czym?

– Nieważne. Idź odczytać wynik.

– Dobrze. Odłożę teraz słuchawkę, okej? Rozłączę się i za chwilę oddzwonię.

– W porządku.

Rozłączyłam się. Poszłam do kuchni i nalałam sobie wody. Potem stanęłam przed lustrem w moim maleńkim przedpokoju i podniosłam bluzkę. Albo mi się wydawało, albo brzuszek już zaczynał być widoczny. Chociaż na tym etapie to chyba niemożliwe? Wypchnęłam przeponę z całej siły, żeby zobaczyć, jak to będzie, kiedy naprawdę się zaokrąglimi. Ładnie. Mogłabym nosić kwieciste koszule, legginsy i długie dzianinowe swetry. I koniecznie kupię sobie taką czarną sukienkę, jaką miała Kirstie Alley w *I kto to mówi*. Czarne nieprzezroczyste rajstopy, czarna trapezowa sukienka i biały kołnierzyk. Wyglądała obłędnie.

Nie mogłam się doczekać, aż wyszukam sobie specjalne sklepy internetowe z odzieżą ciążową. Przeglądając ciuchy na Zalando, czasem natykałam się na jakieś spodnie z wszytą szeroką gumą albo bluzkę o dziwnym kroju. Nigdy jednak nie poświęcałam im uwagi. Teraz wyobraziłam sobie, jak będę kompletować garderobę. Pewnie nie ma sensu kupować zbyt wielu rzeczy, trzeba natomiast zrobić to z głową, aby można było stworzyć kilka zestawów.

Wreszcie zebrałam się na odwagę i poszłam do łazienki. Weszłam po omacku, bo w progu zamknęłam oczy.

– Jeden, dwa, trzy – szepnęłam, po czym rozchyliłam powieki i chwyciłam w dwa palce biały plastikowy prostokąt.

Przez chwilę patrzyłam na okienko z wynikiem, mrugając bezradnie. Widniała tam jedna różowa kreseczka.

– Musieli się pomylić – szepnęłam, choć nie miałam pojęcia, kto miałby się pomylić i w czym.

Na wszelki wypadek wygrzebałam z kosza na śmieci pudełko i jeszcze raz przeczytałam zamieszczoną na nim instrukcję. „Jedna kreska oznacza, że nie jesteś w ciąży”. Czyli jednak się pomylili. Czytałam dalej. „Test można wykonać już dzień po terminie spodziewanej miesiączki”. A więc może ja zrobiłam za późno? U mnie było już kilkanaście dni po terminie... Musieli

coś źle zrobić. Albo może każda ciąża jest inna. A jeszcze to zdanie: „Odłóż test i odczekaj pięć minut”. A ja przecież sporo zwlekałam z odczytaniem... Czy to możliwe, że wynik był poprawny, ale potem ta druga kreseczka znikła?

Nie wiem, jak długo jeszcze rozmyślałabym nad możliwymi scenariuszami, gdyby nie dzwonek telefonu.

– No i co? – zapytał Olgierd niecierpliwie. – Zaraz muszę znowu karmić Ziyo, a ty nie dzwonisz...

– Bo ten test jest chyba jakiś wadliwy – odparłam ostrożnie. – Albo może za późno odczytałam. Zapewne trzeba dokładnie po pięciu minutach.

– Ale co się okazało?

– No mówię ci, jest wadliwy. Może przeterminowany... Ale nie będę już drugi raz grzebać w śmieciach...

– Sara! Jesteś w ciąży czy nie jesteś?!

– Czuję, że jestem! – zawołałam płaczliwie. – Ale tu wyszła jedna kreseczka, więc albo jest przeterminowany, albo po prostu te testy są zawodne! Na pewno są!

– Tak, właśnie o tym czytałem. Wyguglałem sobie „czy test ciążowy może się mylić”. Ale powiem ci, że tu piszą wyłącznie o przypadkach odwrotnych. Czyli może być tak, że test pokaże dwie kreski, a ciąży nie ma. Natomiast raczej się nie zdarza...

– Jeśli może się mylić w jedną stronę, to może też w drugą!

– Sara, uspokój się. Może wpadnij na wino, obgadamy całą sprawę i...

– Nie mogę pić wina, zapomniałeś?

Zamilkł, najwyraźniej zbity z tropu.

– Muszę mieć pewność – wyjaśniłam, starając się zapanować nad nerwami. – Za tydzień zrobię jeszcze jeden test i jeśli nie wyjdzie, to sprawa będzie oczywista. Ale tymczasem, z łaski swojej, traktuj mnie tak, jakbym

była w ciąży.



Dziwne rzeczy robił ze mną ten Oluś. Co jakiś czas wkładał mi do pyska coś metalowego i wyciskał trochę tłustej papki. Czasem brał mnie na ręce i trzymał z całej siły, ale nie tak, jakby chciał przytulić i pogłaskać, tylko raczej skrzywdzić. Chciałem siedzieć grzecznie, ale wpadałem w panikę, kiedy mnie tak unieruchamiał, a wtedy jak na ironię on próbował mi wcisnąć do pyska jedzenie i choć byłem bardzo głodny, nie mogłem tego przełknąć. Za to zbierało mi się bardzo dużo śliny i trochę wypływało, a trochę zostawało w przełyku.

Oluś zrobił tak kilka razy. Poza tym bardzo chciało mi się pić. Wcześniej w miseczce cały czas była zimna woda, a teraz miska była pusta i choć stałem przed nią, machając ogonem i popiskując, Oluś nie nalał mi ani kropli.

Kiedy brał mnie na ręce, sztywniałem ze strachu, nie bez powodu, bo za każdym razem znów zaczynał mnie ścisnąć i wpychać mi jedzenie do pyska. Wreszcie działało się tak jak zwykle: w moim gardle rosło i rosło to nieprzyjemne uczucie, aż wreszcie wszystko mi się wylewało, a wtedy Oluś wołał:

– Jasna cholera, Ziyo!

Albo:

– Do diabła z tym!

Potem sprzątał podłogę, rozwijając takie białe, długie coś, czym bardzo chciałem się pobawić, ale byłem osłabiony i tylko raz czy dwa chwyciłem to coś w zęby i potrząsałem głową, udając, że jestem dorosłym, groźnym psem i rozprawiam się z przeciwnikiem. Podczas sprząwania Oluś mówił do mnie, a choć nic nie rozumiałem, merdałem i nadstawiałem uszu, aby mu pokazać, że słucham.

– Masz tydzień, rozumiesz to, głupi kundlu, czy nie rozumiesz? Jeżeli za siedem dni, słownie: siedem, do cholery, waga nie pokaże, że trochę przytyłeś, to dostaniesz zastrzyk! Umrzesz. Zabiją cię. Czy ty w ogóle, psi mózdzku, rozumiesz, że ja to robię dla ciebie?!

Zamerdałem jeszcze raz, a potem położyłem się na tkaninie, którą Oluś nazywał kocykiem, i zamknąłem oczy. Trząsałem się trochę i sam już nie wiedziałem, czy to z zimna, czy z głodu.

– No już, przepraszam – powiedział jeszcze. – Ziyo. Ziyo? Ziyo! Nie umieraj, Ziyo!

Wziął mnie na ręce, a ja w pierwszej chwili zesztyniałem ze strachu, że znów zacznie grzebać mi w pysku, ale na szczęście przytulił mnie tylko i pogłaskał. Zrobiło mi się ciepło i błogo. Zasnąłem z myślą, że to nawet lepsze niż mięsko.

*

Rano znowu bawiliśmy się w rozwijanie papieru – Oluś powiedział, że to papier. Następnie niestety po raz kolejny zostałem unieruchomiony w ramionach mojego pana i dostałem porcję czegoś mokrego wprost do gardła. Bardzo się śliniłem, trochę z głodu, bo to mokre smakowało jak jedzenie, tylko nie rozumiałem, dlaczego nie mogę tego zjeść normalnym sposobem. Oczywiście wszystko wyleciało mi z przełyku po jakimś czasie. Oluś przez chwilę mówił do mnie podniesionym tonem, ale opadłem z sił i nawet nie miałem tyle energii, aby pomerdać na znak, że i tak mi się u niego podoba. Zasnąłem.

Niestety, kiedy się obudziłem, przekonałem się, że mnie porzucił. Nie miałem pojęcia, gdzie może być – obszukałem całe mieszkanie, zajrzałem w każdy kąt. Niektóre miejsca pachniały nim bardziej niż inne, więc wwąchałem się w nie, bo wtedy trochę mniej się bałem. Zacząłem piszczeć i poszczekiwać, ale się nie zjawiał. Wreszcie znalazłem kapeć, który miał wyrazisty zapach jego nóg, i chociaż doskonale wiedziałem, że nie jest do jedzenia, nie mogłem się powstrzymać i zacząłem go gryźć. Kiedy gryzłem, zapominałem o strachu, że już zawsze będę sam. Uporawszy się z jednym kapciem, znalazłem drugi, taki sam, i także go pogryzłem. Zajęło mi to sporo czasu. Następnie nasikałem na podłogę w miejscu, gdzie leżało coś miękkiego – tam było fajniej, bo łapy mi się tak nie rozjeżdżały. Na koniec z trudem wdrapałem się na kanapę i wyszukałem miejsce, na którym wcześniej musiał leżeć Oluś, bo wyczułem tam bardzo wyraźnie jego zapach. Po jednej stronie pachniało tak jak te kapcie, które wcześniej pogryzłem, a po drugiej wyczułem wyraźny zapach włosów i twarzy. Podobał mi się ten zapach. Tak samo pachniało, kiedy Oluś wziął mnie na ręce i wtulił nos w moje ucho. Chciałem znowu poczuć się tak jak wtedy. Poskomlałem trochę, bo było mi okropnie smutno, że mnie porzucił, a potem zacząłem skubać zębami tkaninę, która tak wyraźnie pachniała moim panem. Spod spodu wylazło coś miękkiego, więc to też poskubałem. Wreszcie zmęczyłem się i zasnąłem z pyskiem w strzępach tego miękkiego czegoś.

*

Obudził mnie przeraźliwy krzyk.

– Jasna cholera, Ziyó, coś ty narobił?! – brzmiały słowa Olusia, bo to był on.

Nie miałem pojęcia, o co mu chodzi, ale tak się ucieszyłem, że się odnalazł, że usiłowałem zeskoczyć z miejsca, na którym spałem. Niestety byłem zbyt słaby, aby utrzymać się na łapach, i zaryłem nosem w podłogę. Pisałem z bólu i przestachu, a wtedy Oluś wziął mnie na ręce.

– Nic ci się nie stało? – zapytał z troską, ale już po chwili, widząc, że

z radości liżę go po brodzie, odsunął mnie i postawił na podłodze. – Ty draniu – powiedział. – Co ci przyszło do głowy?! Zdemolowałeś mi mieszkanie. Do diabła, przecież to jest niemożliwe, żeby taki mały szczeniak narobił tyle szkód.

Potem zostawił mnie, poszedł po mój ulubiony papier i sprzątnął kałuże moich siuszków. Niestety zabrał te miękkie kawałki, które wcześniej udało mi się wyskubać.

– Teraz dostaniesz pasty energetycznej – oznajmił.

Wsadził mi do pyska metalowy przedmiot, który już znałem, i wcisnął na język coś tłustego. Pomlaskałem i jakoś udało mi się połknąć.

– Słuchaj, Adam, gdybym kiedykolwiek jeszcze chciał uratować jakiegoś kundla, kopnij mnie w tyłek, okej? – powiedział Oluś do przedmiotu, który trzymał przy uchu. – Co takiego? Nie, nie o to chodzi. Po prostu właśnie wróciłem do domu i po pierwsze miałem skórzane kapcie, rozumiesz? Miałem. Bo zostały z nich tylko podeszwy, a zresztą nawet podeszwy są ponadgryzane. Po drugie wyobraź sobie, miałem kanapę. Fajna była ta kanapa. Lubiłem sobie na niej poleżeć, książkę poczytać, film obejrzeć... Taaa. Za to teraz mam dużo gąbki. Bo w środku, jak się okazuje, była gąbka. Mnóstwo gąbki. Pierdyliard drobinek gąbki. A po trzecie gnojek nasikał mi na dywan.

Nie rozumiałem, dlaczego zamiast wziąć mnie na ręce, wciąż mówi do tego przedmiotu. Podszedłem i chwyciłem w zęby jego nogawkę, po czym leciutko pociągnąłem. Pomyślałem, że mógłby się ze mną pobawić.

– Spadaj, szkodniku – mruknął i odepchnął mnie ręką. – Nie, nie do ciebie, do tego łobuza mówię. Do kundla, który zeżarł mi meble. No dobra, słuchaj, ja tu walczę z bałaganem, ale tymczasem opowiadaj, co się stało. Twoja wiadomość brzmiała... co najmniej niepokojąco.

Nacisnął coś na przedmiocie trzymanym przy uchu i odłożył go na stolik, a wtedy przedmiot odezwał się, a ja aż odskoczyłem z przestachu. Oluś wrócił do sprzątania, podczas gdy przedmiot mówił głosem, którego nie

znałem.

– ...więc chyba wracam. Sam nie wiem, stary. Siobhan miała być tą jedyną, tą prawdziwą, na całe życie. Nie mam pojęcia, czy ja mam takiego pecha, czy to baby są jakieś inne. Przecież powinno być na odwrót, co? To ja powinienem uciekać przed związkiem, a ona powinna chcieć założyć rodzinę. Olgierd, powiedz: czy ja jestem nieżyciowy? Niedzisiejszy? Naiwny?

– Nie znam się – mruknął Oluś, który akurat wypychał to, co przedtem nazwał gąbką, do worka foliowego. – Wiesz, co myślę o miłości. Jest przereklamowana.

– Taaa, tylko dlatego, że tobie się nie przytrafiła?

– Przytrafiła mi się. Miałem swoją Milenkę, pamiętasz? Nic spektakularnego.

– Co ty w ogóle porównujesz? Młodzieńcze zauroczenie z czasów liceum nazywasz miłością? Olgierd, miłość to żywioł! Ja dla Siobhan zrobiłbym wszystko. Wydawało mi się, że ona czuje to samo.

– Ale co ci dokładnie powiedziała? Że już cię nie kocha? Tak zwyczajnie zerwała? Po czterech latach związku?

– Nie, na to nie miała odwagi! – Z przedmiotu leżącego na stoliku dobiegło gniewne prychnięcie. – Bredziła coś o odpoczynku, że wiesz, powinniśmy spędzić święta osobno, ona pojedzie na tę swoją irlandzką wieś, a ja powinienem wybrać się do Polski, pomieszkać trochę u ciebie, zabalować w sylwestra. Musimy nabrać dystansu, bo z daleka widać lepiej, takie tam dyrdymały. Że za bardzo naciskam, że ona nie jest gotowa...

– Nie ma sprawy, święta i sylwester u mnie to niezły pomysł, ale jednego nie rozumiem. Na co nie jest gotowa? – dopytywał Oluś, szeleszcząc folią tak okropnie, że musiałem stulić uszy. – I na co naciskałeś? Oświadczyłeś się jej czy jak?

– Można to tak nazwać. Właściwie nawet nie tyle się oświadczyłem, co... zacząłem mówić o dziecku. Wiesz, ja po prostu czuję, że to już pora. Kurczę,

Olgierd, nie stajemy się coraz młodszy. Chciałbym być tatą.

– Co was wszystkich wzięło na rodzicielstwo?!

– Wszystkich? – zapytał czujnie przedmiot leżący na stole. – Czyli kogo jeszcze?

– Sarę. Ubzduriała sobie, że jest w ciąży, a kiedy wynik testu okazał się negatywny...

– Rany, chłopie, dopiero teraz mi mówisz, że wreszcie uwiodłeś Sarę?!

– Nikogo nie uwiodłem – mruknął Oluś. – Ona nie jest w ciąży ze mną. To znaczy wcale nie jest. Ale nawet gdyby, to ojcem byłby jej podstarzały, obrzydliwie bogaty kochanek. Żonaty.

Zawiązał worek foliowy i udał się do tego pomieszczenia, gdzie kiedyś strasznie się nade mną znęcał, polewając wodą. Umył ręce, nie zważając na to, że ze stołu w pokoju wciąż dobiega potok słów. Co do mnie, oczywiście dreptałem krok w krok za nim, ponieważ bałem się, że znów mnie zostawi.

– ...że to jest toksyczne! Nie możesz pozwolić się tak traktować. Zawalcz o siebie, Olgierd, bo nigdy...

– Sorry, połączenie się rwie – przerwał Oluś. – Jakieś problemy z zasięgiem. No nic, trzymaj się. Zadzwonię za parę dni. Daj znać, kiedy przyjeżdżasz.

Po czym wziął w rękę ten nieszczęsny mówiący przedmiot, nacisnął coś i schował go sobie do kieszeni. Potem popatrzył na mnie i westchnął.

– Widzisz, mały – powiedział, siadając obok miejsca, z którego wcześniej wygryzałem to fajne, miękkie coś zwane gąbką. – Tak to jest. Nawet najlepszy przyjaciel czasem po prostu... za dużo mówi. Gdybyś nie był takim obrzydliwym zarzygańcem i gdybyś nie zeżarł mi kapci oraz kawałka kanapy, uznałbym, że pod pewnymi względami przewyższasz Adama. Można ci powiedzieć wszystko, a ty nikomu nie piśniesz ani słówka, co? I nie krytykujesz. Nie dziamgasz bez przerwy, jaka to Sara jest pusta i jak destrukcyjnie wpływa na mnie ta dziwna fascynacja. Nie pouczasz, że mam

się szanować, znaleźć sobie kobietę, która będzie we mnie zapatrzona i o którą nie będę musiał z nikim rywalizować.

Zamilkł i przez chwilę siedział nieruchomo, po prostu patrząc przed siebie. Potem niespodziewanie zsunął się na podłogę i usiadł obok mnie. Bałem się, że weźmie mnie na ręce i znów zacznie coś wciskać do gardła, ale zamiast tego pozwolił mi wdrapać się na swoje kolana i mnie przytulił.

– I wiesz, co jest najdziwniejsze? – szepnął, aż zadrgały mi uszy. – Że to wszystko stało się w sumie nieistotne. Gdyby ktoś mnie teraz zapytał, czego najbardziej pragnę, to zażyczyłbym sobie... – Potar mosił mnie po głowie, aż troszkę zabol ało, ale oczywiście nie pisnąłem, bo nie chciałem, żeby przestał mnie tulić. – Nie, wcale nie seksu z Sarą. Życzyłbym sobie, żebyś przybrał na wadze choć dwadzieścia deka.

A potem długo siedział na podłodze, trzymając mnie w objęciach i kiwając się leciutko.



Po raz pierwszy od kilku tygodni – a konkretnie odkąd zostawiła mnie żona – po przebudzeniu nie myślałem o tym, że dobrze byłoby zasnąć ponownie i już nigdy się nie obudzić. Co więcej, przez myśl mi nawet nie przeszło, że jestem samotny czy nieszczęśliwy. Zamiast tego moje myśli zaprzętały następujące sprawy: czy powinienem zamknąć sklep z torbami na czas nieobecności pani Krystyny (czy raczej przekierować tam tymczasowo panią Janeczkę z butik), jak też może się dziś czuć pani Krystyna i czy wypada, abym ją odwiedził (bo może tak dzień po dniu to nie bardzo wypada...), oraz czy skoro Bożena odeszła, to mógłbym sobie sprawić wymarzonego psa. Bo przecież, jak by nie patrzeć, dotąd właśnie żona stanowiła jedyną przeszkodę, aby to marzenie zrealizować. A teraz jej nie było.

Przez moment czułem się z tymi myślami niekomfortowo, zupełnie jakbym ją zdradzał. Potem jednak przypominałem sobie, kto tu kogo zdradził. Boże mój, naprawdę miałem jeszcze jakieś skrupuły? Ta kobieta odeszła do jakiegoś lowelasa, a ja miałbym potulnie czekać, aż znudzi jej się przygoda miłosna i zechce wrócić do nudnego małżonka? Co to, to nie!

Wygramoliłem się z łóżka i podszedłem do wiszącego w holu ogromnego lustra. Bożena zawsze lubiła się przed nim stroić, bo odrobinę wyszczuplało. Stałem przodem, potem bokiem. No cóż, mimo tego efektu

wyszczuplającego widać było już rysujący się brzuszec. Nigdy dotąd nie zwracałem na to uwagi. Zbliżyłem się i zapaliłem kinkiet. Zmarszczki na mojej twarzy stały się nieco bardziej widoczne. A gdyby tak zapuścić kilkudniowy zarost? Mógłbym także zmienić fryzurę. Ponownie stanąłem bokiem, wypiąłem pierś i wciągnąłem brzuch.

– No, Staszek, pora spojrzeć prawdzie w oczy – powiedziałem do swojego odbicia. – Masz sześćdziesiątkę, a nosisz się jak stetryczały staruszek. Sting ma sześćdziesiąt siedem lat, lecz nie przeszkadza mu to chodzić w dżinsach i uprawiać seksu przez kilka godzin z rzędu. A taki Mick Jagger? Rocznik czterdziesty trzeci, a szczupły i sprawny jak nastolatek. Więc może pora zabrać się za siebie, dziadku.

Westchnąłem. Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać. Bo niby co by to miało znaczyć, że mam się za siebie zabrać? Sport uprawiać? Do sanatorium pojechać? Jak? Kiedy? Kto się zajmie domem, kto będzie prowadził interesy? Szara rzeczywistość znów przygwoździła mnie do ziemi. Nic z tego nie będzie, pomyślałem. Będę spędzał czas w zupełnej samotności, popijając wieczorami nalewki i wyjadając z piwniczki powidła oraz inne słodkości, a gdy zapasy się skończą, zacznę kupować sobie na pocieszenie pączki i eklery. Roztyję się, zdziadzieję do reszty, zachoruję na setkę chorób cywilizacyjnych i wreszcie któregoś wieczora umrę w pustym domu, ale nie będzie nikogo, kto by mnie odwiedzał, toteż wieść o tym, że nie żyję, gruchnie dopiero przed Bożym Narodzeniem, bo wtedy syn zadzwoni z życzeniami i zaniepokoi go fakt, że nie odbieram.

Tak mnie poruszyła ta zbudowana w wyobraźni wizja, że przez dłuższą chwilę nie mogłem dojść do siebie. Żeby otrząsnąć się z ponurego nastroju, wykonałem parę energicznych ćwiczeń i wziąłem chłodny prysznic. Od razu poczułem się lepiej. Tylko praca może mnie uratować, pomyślałem. Pora zająć się interesami. Kiedy człowiek myśli o dostawie towaru, sprzedaży, rozliczeniach i wystroju witryn, nie ma czasu na użalanie się nad sobą.

Zjadłem śniadanie i pojechałem do butiku na Królewską, aby poinformować panią Jankę, że będzie musiała zastępować panią Krystynę

przez kilka dni. Zgodziła się bez szemrania – gorzej było z tą drugą, młodą Joasią, której mina wskazywała, że po prostu zaharuje się na śmierć, jeśli przez kilka dni zostanie sama w sklepie. Trudno, niech sobie popsiochy, uznałem, że tego wymaga interes firmy.

Po załatwieniu tej sprawy próbowałem dodzwonić się do pani Krystyny, aby upewnić się, że do końca tygodnia wydobrzeje. Jej komórka jednak milczała. Były dwie możliwości: albo telefon się rozładował, a ładowarki nie wzięła ze sobą do szpitala, albo czuła się gorzej i nie była w stanie odebrać. Ta druga myśl zaniepokoiła mnie bardzo i w pierwszym odruchu chciałem gnać do szpitala, aby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Po chwili jednak oprzytomniałem na tyle, by stwierdzić, że wciąż jeszcze pozostają dwa inne wyjścia. Pierwsze – dzwonię do szpitala. Drugie – wybieram numer jej syna. Uznałem, że to drugie jest lepsze. Gdyby pani Krysia rzeczywiście źle się czuła, to przecież nie podejdzie do aparatu w szpitalu. Nie chciałem sprawiać kłopotów.

Przez ostatnią dobę nikt do mnie nie telefonował, wystarczyło więc wyszukać ostatnie odebrane połączenie i oddzwonić. Musiałem poczekać kilkanaście sekund, zanim syn pani Krysi wreszcie odebrał. Wystraszyłem się, bo w tle słychać było wycie i piski. Byłem pewien, że to odgłosy ze szpitala, i omal nie upuściłem telefonu.

– Halo! – odezwał się młody Zawada.

Przedstawiłem się i zamierzałem zapytać o zdrowie mamy, ale przerwał mi niecierpliwie.

– Przepraszam, proszę mówić głośniej, bo niewiele słychać! Właśnie zaczęła się przerwa!

– Więc może zadzwonię za kilkanaście minut? – zaproponowałem najdonośniejszym głosem, na jaki było mnie stać.

– Nie, wtedy będzie lekcja, nie mogę odbierać w czasie lekcji! Coś się stało?!

– Nic się nie stało! – zawołałem.

Czułem się jak głupek, krzycząc do słuchawki.

– Chciałem tylko zapytać o zdrowie mamy. Nadal jest na oddziale?!

– Tak, tak. Dzisiaj ją odwiedzę i dowiem się wszystkiego. Oddzwonię.

*

Nie mogłem sobie znaleźć miejsca po tej rozmowie. Z jednej strony bardzo chciałem wpaść w odwiedziny do szpitala, z drugiej – nie byłem pewien, czy to wypada. Jak by nie patrzeć, byłem mężczyzną starej daty. Nawiązywanie znajomości nie przychodziło mi łatwo, zresztą w pewnym wieku człowiek się trochę zbroi w nieufność i nie odsłania zbyt wiele. Pewnie dlatego starałem się ukryć fakt, że pani Krystyna stała mi się dziwnie bliska. Oczywiście rozumiałem, dlaczego tak było. Żyłem na tym świecie już wystarczająco długo, by rozumieć, że kiedy człowiek ma kłopoty, natychmiast lgnie do każdego, kto okaże mu współczucie. Zapewne jest to nic innego jak mieszanka wdzięczności z pragnieniem, aby ktoś się nami zaopiekował. Łatwo pomylić to z prawdziwą bliskością, myślałem. Łatwo zobaczyć początek przyjaźni w czymś, co jest tylko elementarną ludzką życzliwością.

A więc nie, jednak nie wypada, uznałem. Nie odwiedzę pani Krystyny, bo mogłaby to źle zinterpretować. I nie zatelefonuję do niej. Z tego samego powodu. Oraz z jeszcze jednego: ponieważ nade wszystko obawiałem się, że dla niej nasza znajomość nie była tym, czym zaczęła stawać się dla mnie.



Oczywiście już w poniedziałek rano czułam się doskonale, ale powiedziano mi, że skoro wymiotowałam, powinnam zostać na obserwacji. Miałam zamiar wypisać się na własne żądanie, tylko nie bardzo wiedziałam, z kim powinnam porozmawiać na ten temat. Postanowiłam poczekać na odwiedziny Olgierda i polecić, aby on się tym zajął.

Ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu przyszedł dopiero wieczorem. W zasadzie miałam się do niego nie odzywać, a w dodatku czułam się urażona tym, że przez cały dzień do mnie nie zajrzał, ale nie wytrzymałam, bo wyglądał na bardzo zmęczonego. Miał jakieś zapadnięte oczy.

– Co z Sarą? – zapytałam. – Doszliście do porozumienia?

– Porozumienia? – powtórzył nieco nieprzytomnie. – A, tak. To znaczy ona zrobiła test. Wyszedł negatywny, ale chce go jeszcze powtórzyć za kilka dni.

Byłam zdziwiona, że mówi o tym tak beznamiętnie. W jego głosie nie zabrzmiała ani jedna nutka ulgi, radości czy też rozczarowania. Zupełnie jakby było mu wszystko jedno, czy zostanie ojcem i czy fakt ten wiąże go z Sarą do końca życia. Mój Boże, młodzi są teraz tacy nieodpowiedzialni, tak lekko traktują najważniejsze sprawy w życiu!

Co do mnie, odczułam ogromną ulgę. Wprawdzie bardzo chciałam zostać babcią, ale pragnęłam, aby moje wnuki przyszły na świat w wyniku dobrze przemyślanej decyzji, a nie czyjegóż błędu.

– Nie wyglądasz dobrze – zagaiłam, bo naprawdę miał sińce pod oczami.

Na pewno nie przespał nocy, bo martwił się o mnie. To jednak okropny kłopot, kiedy ktoś bliski znajdzie się w szpitalu. Zapewne nie chciał niepokoić Judytki, bo nie dzwoniła do mnie; widocznie jej nie zawiadomił. Może to lepiej. Zamierzałam go uspokoić, że czuję się dobrze, i poprosić, aby załatwił mój wcześniejszy powrót do domu, a tymczasem on schował twarz w dłoniach i zaczął mówić:

– Z Ziyo nie jest dobrze, mamó. Boję się, że on nie przeżyje. Dosłownie umiera z głodu na moich rękach, choć wpycham mu jedzenie wprost do pyska. Jak to może być?!

Milczałam, zszokowana. Czy dobrze zrozumiałam, że Ziyo to było imię psa? I czy naprawdę mój syn martwił się bardziej o tego wyciągniętego ze śmietnika kundelka niż o własną matkę?!

– Na wypadek, gdybyś się niepokoił, ja czuję się już dobrze – odezwałam się po chwili najzimniejszym tonem, na jaki było mnie stać. – Ale cieszę się, że tak się o mnie troszczysz.

Rzucił mi nieprzytomne spojrzenie. Dopiero po chwili dostrzegłam w nim błysk zrozumienia.

– Boże drogi, przepraszam, mamó. Oczywiście, że się martwię. Tylko wiesz, ty jesteś pod dobrą opieką, zresztą pielęgniarka zapewniła mnie, że to nic groźnego, że zemdląłeś pod wpływem emocji, to się zdarza, a wymioty mogły być związane właśnie z omdleniem, podobno tuż przed utratą świadomości wielu ludzi ma nudności i potem zwracają.

– Tak, tak. Nic mi nie jest.

Nie rozpłaczę się, nie rozpłaczę, powtarzałam sobie w duszy jak mantrę.

– Ale widzisz, problem w tym, że z Ziyo jest naprawdę źle. Weterynarz

powiedział, że ma wadę przełyku. To się nazywa achalazja. Całą noc spędziłem przy komputerze, szukałem informacji, no i niestety nie znalazłem zbyt wielu pocieszających wiadomości. Oczywiście są psy, które z tym żyją, ale są i takie, które gasną, umierają z głodu po prostu. No i ten mój mały szkielecik... – Olgierd zaszlochał nagle, a moje matczyne serce skurczyło się z bólu. – ...on tak strasznie chce się wreszcie najeść. Taki jest głodny, taki chudy... Jak mu nałożę do miski, to po minucie wszystko jest na podłodze. Weterynarz kazał karmić go w pozycji pionowej, wkładać mu wprost do gardła, ale to nie jest łatwe, bo on się wyrywa, boi się tego, nie rozumie, że próbuję go ratować...

Płakał. Mój dorosły syn płakał jak wtedy, gdy przed laty zgubił ulubionego ludzika Lego, takiego z brązowym kapeluszem.

– Synku – odezwałam się łagodnie. – A może jednak trzeba skrócić jego cierpienia i zwyczajnie uśpić?

Spojrzał na mnie załzawionymi oczyma.

– „Zwyczajnie uśpić” – powtórzył. – To taki zgrabny eufemizm. To nie uśpienie, mamó. To jest zastrzyk śmierci. Taki sam, jak dostają skazańcy. On nie uśnie, tylko umrze. Dlaczego nie nazwiesz rzeczy po imieniu? Powiedz, że trzeba go „zwyczajnie zabić”.

– Wolisz, żeby umierał powoli? – zapytałam. – Żeby ci, jak to określiłeś, umarł z głodu na rękach, mając pod nosem miskę z karmą?

– Nie. Wolę, żeby żył.

Przez kilka minut siedzieliśmy w ciężkim, pełnym urazy milczeniu.

– Weterynarz dał mu tydzień, licząc od soboty – odezwał się w końcu Olgierd. – Jeśli nie przybierze choć trochę, trzeba będzie zrobić to... o czym mówiłaś.

– Skrócić jego cierpienie – odpowiedziałam. – To jest humanitarne, Oluś. Nie okrutne, tylko humanitarne.

– A gdyby to był człowiek? – zapytał smutno. – Gdybym to był ja? Albo

gdybyś to była ty? Dlaczego ludzie są przeciwni eutanazji, jeśli chodzi o nasz gatunek, a tak łatwo skazują na śmierć inne stworzenia?!

– Nie czuję się teraz na siłach, aby o tym dyskutować. – Poczułam się nagle bardzo stara i zmęczona. – Wiem jedno: skoro podjąłeś się próby uratowania tego zwierzaka, to zrób wszystko, aby się udało. Jeśli jednak się nie uda, to pamiętaj, że nie ty wyrzuciłeś go do śmietnika. I nie ty jesteś odpowiedzialny za jego chorobę. Takie rzeczy się zdarzają, synku. Po prostu się zdarzają.

Spojrzał na mnie przeciągle. Byłam ciekawa, czy podobnie jak ja pomyślał o nagłej śmierci ojca. Czy przez moment wspominał tamten mroczny czas, kiedy zostaliśmy sami: przerażona matka i dwoje jeszcze bardziej przerażonych dzieci, i wydawało się nam, że już nigdy nie będziemy umieli się uśmiechać.

– Tak czy owak – dorzuciłam, ze wszystkich sił starając się odpędzić niechciane wspomnienia – potrzebuję teraz twojej pomocy. Nie chcę tu być. Czuję się już dobrze i tylko marnuję czas. Załatw mi wyjście na własne żądanie, czy jak to się tam nazywa.



Odwiozłem mamę do domu, upewniłem się, że czuje się dobrze i że ma w lodówce zapas jedzenia. Kazała mi usiąść i zaparzyła herbatę.

– A teraz wyjaśnię ci, dlaczego tak bardzo boję się psów – oznajmiła. – Dlaczego ich nie lubię. Nie chcę, żebyś sądził, że twoja matka jest jakimś nieczułym potworem.

Opowiedziała mi o pewnym zdarzeniu z dzieciństwa. O małym kundelku imieniem Psotka, który wczepił się zębami w jej łydkę. O martwym ciele tego pieska i rozpaczliwym krzyku jego właścicielki. Oraz o zastrzykach przeciwko wściekliznie, które mama musiała przyjmować, kiedy okazało się, że Psotka nie była szczepiona.

Rozumiałem. Naprawdę rozumiałem już wszystko i nie dziwiło mnie, że nigdy nie mieliśmy psa. Jednak to nie zmieniało faktu, że ja sam nie czułem lęku przed tymi zwierzętami. Od dwóch dni miałem w domu takiego jednego i choć poniszczył mi meble, dokumentnie zasikał podłogę i zezarł kapcie, czułem do niego coś więcej niż sympatię. Czułem...

Nie wiedziałem, co czułem. Cały ogrom zmartwienia, troski i lęku o tego malca ponownie zwałił się na moją głowę. Może porobiło się ze mną to samo co z Adamem, pomyślałem. Może z facetami w pewnym wieku dzieje się tak,

że bardzo chcą się kimś opiekować. U mnie ta potrzeba w przedziwny sposób przeniosła się na kundelka znalezione w śmieciach. Psycholog nazwałby to jakoś fachowo, mnie wystarczyła świadomość, że natychmiast powinienem wracać do domu i zająć się Ziyo.

– Muszę już iść, mam – powiedziałem, dopijając herbatę. – Rozumiem cię i naprawdę nie mam pretensji, że nie chciałaś przygarnąć tego zarzygacza. Ale ty spróbuj zrozumieć mnie. Ja muszę go uratować. Nie wiem dlaczego, ale muszę. Nigdy nie planowałem, nie chciałem mieć psa. Nadal chyba nie chcę. Tyle że oddać go teraz do schroniska oznaczałoby to samo, co dać mu ten cholerny zastrzyk.

– Rozumiem.

– Gdybyś się źle poczuła, natychmiast dzwoń. Po prostu nie mogę dłużej zostać.

Mama patrzyła na mnie smutno, kiedy wychodziłem, ale po raz pierwszy od dawna miałem wrażenie, że naprawdę mnie rozumie.

*

Można było się spodziewać kolejnych szkód – ale i tak byłem zaskoczony, gdy zastałem mieszkanie w stanie... Nie, nawet ja, polonista i człowiek, jak by nie patrzeć, dość odcytany i językowo rozwinięty, nie znalazłbym na to określenia. Musiałem zostawić uchylone drzwi do łazienki, bo przecież Ziyo sam by sobie ich nie otworzył. Wszędzie (a nawet bardziej niż wszędzie) znajdowały się kawałeczki papieru toaletowego, posiekane małymi ząbkami na kaszkę. Nie miałem pojęcia, że tak się da. Przez ułamek sekundy widziałem oczyma wyobraźni, jak zatrudniam Ziyo w jakiejś fabryce, gdzie coś się szatkuje lub tnie w drobny mak. Zarobiłby dla nas fortunę.

Cudownie miękki ręcznik frotté, który zostawiłem na obudowie wanny, został rozczłonkowany i był teraz czterema małymi ręczniczkami. Z zębów Ziyo zwisały jeszcze nitki w bordowym kolorze. Pudełko proszku do prania leżało przewrócone, a jego zawartość wysypała się i została następnie rozniesiona małymi łapkami po całym mieszkaniu. Miałem jedynie nadzieję,

że Ziyó nie polizał tego dziadostwa, bo przecież mógłby się otruć. Na wszelki wypadek obejrzałem wewnątrz jego pyszczka. Przecież gdyby trochę zjadł, puszczałby teraz bańki. Baniek nie było.

Stałem z opuszczonymi rękami niczym zepsuta kukielka z teatru lalek. Jakby mi pozrywało wszystkie ścięgna. Choć bardzo chciałem zabrać się do roboty i uprzątnąć to pobojuwisko, zupełnie opuściła mnie energia.

– Napsociłeś coś jeszcze? – zapytałem psa, który nadal obtańcowywał mnie radośnie. – Pokaż mi od razu. Jakoś w ostatnich dniach przestałem lubić niespodzianki.

Zupełnie jakby zrozumiał, Ziyó pobiegł do pokoju i przyniósł w pysku pogryzioną skarpetkę, merdając radośnie. Jęknąłem. Musiał dobrać się także do kosza z praniem. Zajrzałem za wannę, gdzie zwykle stał ażurowy pojemnik z Ikei. A jakże, został przewrócony. Ziyó z podziwu godną konsekwencją wybrał jedynie skarpetki i slipy, po czym wygryzł w nich imponujące dziury. Miałem ochotę zamordować go gołymi rękami.

– Ty szujo! – zawyłem. – Sześć par gaci?! Skarpet nawet nie liczę! Przecież to cały mój zapas! Nie wstawiłem prania, cholero jedna, bo zająłem się mamą i tobą, niewdzięczniku! A teraz co? Zostanę z gołym tyłkiem i boso?!

Do późna w nocy sprzątałem, myłem podłogę, która wciąż się pienila, usiłowałem nakarmić psa, zbierałem z podłogi jego wymiociny... Jednym słowem: kiedy we wtorkowy poranek zerknąłem w lustro, zobaczyłem twarz starca. W dodatku uświadomiłem sobie, że jestem kompletnie nieprzygotowany do lekcji i że – o zgrozo! – zaczął się grudzień, co oznaczało, że będę w pracy do wieczora, bo mam wywiadówkę, jak w każdy pierwszy wtorek miesiąca.

*

Przed wyjściem do szkoły starannie pozamykałem drzwi i uprzątnąłem wszystko, co mogło paść ofiarą ostrych ząbków Ziyó. Na kanapie położyłem deskę do prasowania, żeby zniechęcić małego do wdrapywania się na nią

i zjedzenia ocalałej połowy. Fotele zsunąłem razem tak, aby nie mógł na nie wleźć. Schowałem do garderoby rower stacjonarny w obawie o pokryte gumą pedały. I tak nie miałem czasu na nim jeździć.

Wcisnąłem Ziyu do pyszczka trochę energetycznej pasty. Odnosiłem wrażenie, że dzięki niej ma nieco więcej wigoru, tylko chwilowo nie byłem pewien, czy mi to na rękę, bo rozrabiał jak pijany zając. Niestety, próba karmienia znów skończyła się wymiotami. Wszystko wskazywało na to, że mimo najszczerzej chęci nie zdołam uratować tego psiaka.

Po czwartej lekcji miałem okienko. Zamierzałem podjechać do domu i sprawdzić, czy wszystko w porządku, ale jak na złość dyrektorka przydzieliła mi zastępstwo. Siedziałem więc bite osiem godzin jak na szpilkach, mając nadzieję, że po powrocie do mieszkania nie zastanę pobojowiska. Niestety, nadzieja okazała się płonna.

Małemu najwyraźniej spodobało się wyjadanie gąbki. Ponieważ na sofie leżała deska, dobrał się do mebla z drugiej strony. Wygryzł sporą dziurę i przez nią powyciągał wypełnienie, po czym – swoim zwyczajem – posiekał je na kaszkę. To samo zrobił z jednym z foteli. Ponadto brzeg dywanu został przerobiony na malownicze frędzle. Najgorsze znalezisko czekało mnie jednak pod biurkiem. Była to nadgryziona izolacja kabli. Strach zjeżył mi włosy na karku, kiedy sobie wyobraziłem, co będzie, jeśli któregoś dnia ten drań rzeczywiście przegryzie instalację!

Nie mogłem zostawić go samego na następne kilka godzin! Zajrzałem do łazienki – czy było to na tyle bezpieczne miejsce, aby zamknąć tu zjadającego wszystko potwora? Nie byłem pewien. Mógł przecież dobrać się do szafki pod umywalką, w której trzymałem chemię gospodarczą. Jego pomysłowość przewyższała moją. Zerknąłem na zegarek – nie było czasu na oczyszczenie terenu z potencjalnych niebezpieczeństw. Ba, nie było czasu nawet na zjedzenie kanapki. Z burczeniem w brzuchu i obawami w sercu chwyciłem psiaka i włożyłem go do sportowej torby, z którą kiedyś chodziłem na siłownię. Trudno, najwyżej dyrektorka się na mnie wścieknie. Uznałem, że to stan wyższej konieczności: postanowiłem zabrać Ziyu na wywiadówkę. Nie

mogłem ryzykować całkowitej utraty mienia.



Nie znosiłam tych wtorków, kiedy odbywały się wywiadówki. Moja szefowa zdawała się nie pamiętać, jak to jest, kiedy ma się małe dziecko. Nie rozumiała, że Marcin ma specjalne potrzeby edukacyjne, że muszę czuwać, trzymać rękę na pulsie, na bieżąco sprawdzać jego postępy, bo tylko dzięki temu będę w stanie mu pomóc, jeśli z czymś nie będzie dawał sobie rady.

Na szczęście wychowawca, pan Zawada, był cudownie cierpliwym człowiekiem i zwykle czekał, aż dotrę. We wrześniu byłam na czas, ale w październiku i listopadzie wpadłam do szkoły dopiero po osiemnastej. Czułam wtedy wyrzuty sumienia, że ten człowiek siedzi sam w pustej klasie i czeka na mnie. Za drugim razem w ramach przeprosin kupiłam mu czekoladki. Roześmiał się wtedy i oznajmił, że mam je zabrać i poczęstować Marcina, a gdy się upierałam, zagotował wodę w śmiesznym plastikowym czajniczku i zmusił mnie do wypicia z nim kawy oraz zjedzenia połowy słodkości.

– Kiedy to miało być dla pana – powiedziałam wówczas, zła na siebie. – Pan już dawno powinien być w domu.

– Proszę pani. – Uśmiechnął się, przekrzywiając głowę w zabawny sposób. – Ja i tak mam co robić, wszystko mi jedno, czy sprawdzę testy tutaj,

czy w domowym zaciszu. Poza tym jestem sam, nikt na mnie nie czeka, mogę sobie balować w szkole do nocy.

Zabrzmiało to żartobliwie, ale dla mnie było smutne. Doskonale wiedziałam, co znaczy samotność. Tyle że ja miałam przynajmniej Marcinka.

*

Ten wtorek różnił się od poprzednich. Po pierwsze Olgierd Zawada był wyraźnie zdenerwowany. Nigdy nie widziałam tego spokojnego, czasem wręcz flegmatycznego człowieka w takim stanie. Po drugie wyglądał na niewyspanego albo nawet chorego. Po trzecie wreszcie, przede mną było jeszcze troje innych rodziców, którzy podpisywali oceny przewidywane na półrocze, więc musiałam trochę poczekać.

Siedziałam w ostatniej ławce, przeglądając testy i kartkówki, które nauczyciel dał mi do wglądu. Kiedy nadeszła moja kolej i pozostali rodzice wyszli z klasy, ku mojemu zdumieniu nauczyciel podniósł się i szepnął konspiracyjnie:

– Czy mogłaby pani troszeczkę na mnie poczekać? Wiem, że jest późno, ale ja muszę wyjść... Dosłownie na moment...

Pokiwałam głową. Tyle razy on czekał na mnie, mogłam ten jeden raz zaczekać i ja. Dziwiła mnie tylko sytuacja. Dokąd się wybierał? Umówił się z kimś? A może zamierzał pojechać po coś do domu i wrócić? Powinnam wyjść z klasy czy mogę tu zostać? Patrzyłam na niego ze zdumieniem, kiedy podnosił z podłogi torbę sportową.

– O, już za późno – powiedział przeproszającym tonem. – Chciałem iść do łazienki, ale już nie trzeba. Mam tu gdzieś ręczniki papierowe...

Dopiero wówczas zauważyłam, że z torby coś kapie. Wstałam i podeszłam do biurka. Zamek torby był rozpięty, a ze środka wystawały jedwabiste brązowe uszka. Po chwili wyjrzał cały psi pyszczek z nieco przestraszonymi oczkami koloru ciemnego miodu. Był prześliczny.

– Przepraszam – powiedział pan Zawada. – Pani na pewno zrozumie...

Musiałem go ze sobą zabrać, bo zdemolował mi już mieszkanie, był sam osiem godzin, wszystko pogryzione i zasikane, może to sobie pani wyobrazić... To jeszcze dzieciak. Gdybym teraz zostawił go na całe popołudnie, to już naprawdę nie wiem... Pewnie z dywanu nic by nie zostało. Zresztą i tak go jutro zje.

Wyglądał na załamanego. Znalazł w szafce za biurkiem rolkę ręczników papierowych i zaczął ścierać siuśki z podłogi, a następnie wyciągnął psa, postawił go na podłodze i zabrał się za osuszanie wnętrza torby.

– Jest śliczny – powiedziałam, żeby dodać mu otuchy. Zresztą była to prawda. Uwielbiałam kundelki. W zasadzie uwielbiałam wszystkie psy. – A te brązowe oczy ma zupełnie jak wyżeł czeski. Mój wujek hodował tę rasę. Jeździłam do niego do leśniczówki jako dziecko. Uwielbiałam bawić się ze szczeniakami. Marzyłam, że gdy dorosnę, także zostanę hodowcą psów. Jeszcze na studiach czytałam sobie opisy ras... Chodziłam na wystawy i obstawiałam zwycięzców. Będzie się pan śmiał, ale nawet założyłam notes z imionami dla szceniąt. Bo nie wiem, czy pan wie, że każdy miot musi być na inną literę...

Wyglądał, jakby nie słuchał. Wytarł starannie torbę, wyjął z niej zasikany ręcznik, włożył go do worka, który także znalazł w szafce, po czym spakował z powrotem.

– Jeszcze niedawno bez namysłu wyrzuciłbym taką śmierdzącą szmatę – mruknął. – Ale teraz zaczyna do mnie docierać, że wkrótce może mi zabraknąć ręczników i w ogóle wszystkiego. Kapci już nie mam, bielizny też niewiele, dywan i sofę jedynie w trzech czwartych... Strach się bać. Nie miałem pojęcia, że ze szczeniętami jest tyle problemów. Brudzą, niszczą, rozrabiają... Jakim cudem ludzie w ogóle to wytrzymują?

Psiak, zupełnie jakby chciał zilustrować kilka ostatnich zdań, podreptał kilka kroków, po czym zwymiotował.

– No i jeszcze to – westchnął nauczyciel. – Bo ja go znalazłem na śmietniku. Sama pani widzi, jaki jest chudy. Nie wiedziałem, czym toto

odkarmić, więc pojechałem do weterynarza...

*

Rozmawialiśmy dobre półtorej godziny. Opowiedział mi o chorobie psiaka i rokowaniach, w związku z czym oboje musieliśmy kilka razy wycierać oczy ręcznikami papierowymi, bo żadne z nas nie mogło znaleźć chusteczek. Kiedy wychodziliśmy ze szkoły, dyskutowaliśmy o tym, jakie życie jest niesprawiedliwe i czym można by nakarmić Ziyó, aby nie zwymiotował.

Wieczorem, kiedy Marcin już zasnął, a ja wstawiłam kapuśniak na następny dzień, zadzwonił telefon.

– Dobry wieczór, Olgierd Zawada – odezwał się głos w słuchawce. – Pani Małgorzato, ja panią najmocniej przepraszam, ale zapomnieliśmy o ocenach. Nie podpisała mi pani w dzienniku wychowawcy, a dyrekcja nas z tego rozlicza...

– Ojej – zmartwiłam się. – Teraz nieprędko uda mi się urwać wcześniej z pracy...

– Nie, ja przecież o to nie proszę, absolutnie! To moja wina. W ogóle byłem rozkojarzony, szczerze mówiąc, było to skrajnie nieprofesjonalne, przez cały czas myślałem tylko o Ziyó...

– Ależ ja to rozumiem!

– ...Więc może, pani Małgosiu, podjechałbym jutro po lekcjach do pani do sklepu?

Zamilkłam. Szefowa była tak złośliwą osobą, że z pewnością miałaby pretensje, gdybym choć przez chwilę zajmowała się czymś związanym z życiem prywatnym.

– To już lepiej ja któregoś dnia podjadę do pana przed pracą – odparłam. – Właścicielka sklepu...

– A tak, mama mi mówiła, że ma pani wyjątkowo niesympatyczną szefową.

– Mama zna się na ludziach.

Jakimś cudem przez telefon wyczułam, że się uśmiechnął. Złapałam się na tym, że chciałabym to zobaczyć. Miał bardzo sympatyczny uśmiech, w jednym policzku robił mu się dołek, nadając jego twarzy nieco łobuzerski wygląd.

– W takim razie gdyby pani trafiła akurat na przerwę, to zwykle jestem na trzecim piętrze, bo tam dyżuruję. A gdyby wypadło podczas lekcji...

– Sala numer 45? – zapytałam domyślnie. – Nasza klasa?

– Tak. Będę miał dziennik wychowawcy przy sobie. Gdybym zaczął mówić o psie, proszę mnie szturchnąć i przypomnieć o ocenach...

– Dobrze, będę szturchać. A tak swoją drogą, myślałam o Ziyu, dlaczego tak niszczy. To musi być lęk separacyjny. Nie ma pan nikogo, kto mógłby zostawać z psem podczas pana nieobecności?

Zarumieniłam się nieco, zadając to pytanie, ale przecież on tego nie widział. Pamiętałam, że kiedyś powiedział „jestem sam”. Jednak po pierwsze od tego czasu minęły dwa miesiące, mógł sobie kogoś znaleźć. Po drugie może tamto „jestem sam” znaczyło jedynie „mieszkam sam”. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu chciałam to wiedzieć.

– Tylko mama – odpowiedział Olgierd Zawada.

Podobało mi się jego imię. Olgierd. Takie męskie, miało w sobie odrobinę twardości, ale też to miękkie gie. Ciekawe, czy jego przyjaciele zdrabniali je na „Olek”. Chociaż nie, Olek to przecież Aleksander.

– Ale mama nie znosi psów – dokończył po chwili. – Boi się ich. Trauma z dzieciństwa. Zresztą dużo by opowiadać, nie chcę pani zawracać głowy. I tak czuję się paskudnie, że zadzwoniłem o tej porze. Jeszcze raz przepraszam.

– Nie ma za co. Postaram się podjechać jak najprędzej, żeby podpisać te oceny.

– Pani Małgosiu...

– Tak?

– Dziękuję. Bardzo potrzebowałem się komuś wyżalić. No wie pani, dzisiejsza wywiadówka była raczej czymś w rodzaju sesji terapeutycznej. Tyle że to pani była terapeutą.

Roześmiałam się. Zrobiło mi się bardzo przyjemnie.

– Nie ma za co dziękować – odparłam. – O psach mogę rozmawiać godzinami. Już panu mówiłam, że hodowla to jedno z moich niespełnionych marzeń. No, teraz ja zaczynam przedłużać, a pan pewnie zmęczony... Do widzenia wkrótce.

– Do zobaczenia.

Nic nie mogłam poradzić na to, że zasypiając, miałam pod powiekami jego uśmiechniętą twarz. Miał niesforne włosy, niedokładnie ogolone policzki i ten swój dołek od uśmiechu.



W środę rano miałam okropne mdłości, ale udało mi się nie zwymiotować. Wyczytałam gdzieś, że warto mieć przy łóżku lekko osłodzoną wodę i ciasteczko pełnoziarniste. Rano, tuż po przebudzeniu, ale jeszcze zanim się wstanie, należy włożyć sobie do ust ciastko i powoli je ssać, a potem popić wodą. Dzięki temu uda się uniknąć wahania cukru we krwi i idących za tym nudności.

Nie byłam pewna, jak to wpłynie na moją wagę, ale na żołądek i w ogóle na samopoczucie działało znakomicie. Leżałam z ciasteczkiem między językiem a podniebieniem i czułam się jak królowa, której wolno wszystko. Do tej pory ograniczałam węglowodany, teraz mogłam zaczynać od nich dzień. Zaokrąglę się? Boże mój, jeśli jestem w ciąży, to i tak się stanie, nie zdołam uniknąć kilku nadprogramowych kilogramów. A jeśli nie jestem, to chociaż się w tę ciążę pobawię. Była to bardzo przyjemna zabawa.

W środy miałam na dziesiątą, więc poranek upłynął mi na powolnych przygotowaniach do pracy. Zjadłam zdrowe śniadanie, wypiliśmy słabą kawę z mlekiem kokosowym, przygotowałam sobie sałatkę do szkoły i zapakowałam ją do silikonowego pudełeczka. Jednym słowem: starałam się być pogodna i spokojna. Nie byłam pewna, czy nie jest to wyłącznie przesąd, ale kiedyś słyszałam, że jeśli ciężarna kobieta jest nazbyt płaczliwa, to urodzi

takie samo dziecko. Nawet jeśli była to niczym nieuzasadniona bzdura, to przecież zawsze lepiej być pogodną, niż mazać się, prawda? Uznałam więc, że na wszelki wypadek lepiej będzie cieszyć się każdą chwilą i celebrować drobne przyjemności. Kiedy zadałam sobie pytanie, jakie dziecko chciałabym mieć – jakiego człowieka mam nadzieję wychować – odpowiedź brzmiała: szczęśliwego. Tak, uważałam, że to najważniejsze. Ale zaraz potem powiedziałam: dobrego. Czyli pragnęłam, aby moje dziecko było szczęśliwe, ale nie kosztem innych ludzi.

Dochodziła dziewiąta, kiedy mój spokój został zburzony przez dzwonek telefonu. Najpierw myślałam, że to Olgierd dzwoni, aby opowiedzieć o kolejnych zniszczeniach spowodowanych przez tego psiaka z piekła rodem – ale nie. To był Henryk.

Serce zaczęło mi walić w piersi niczym wielki dzwon. Niemal czułam je w całym ciele, w koniuszkach palców, w skroniach i w okolicy żołądka.

– Halo – powiedziałam ostrożnie, bo nie byłam pewna, jak powinnam się zachować.

Wybaczyć mu tak od razu? Zgodzić się na spotkanie i z wyniosłą miną wysłuchać jego przeprosin? Potem wiele razy miałam wracać myślami do początku tej rozmowy i wyobrażać sobie, jak inaczej mogłam to rozegrać. Może na przykład zamiast grzecznego „halo” należało rzucić mięsem. Albo zapytać, czy ma pełne gacie ze strachu, że żona dowie się wszystkiego. Zamiast tego usłyszał mój miękki, spragniony miłości głos. Nic dziwnego, że od razu przystąpił do ataku.

– Słuchaj, mała cwaniaro – zaczął. – Przyczaiłaś się, więc pewnie coś knujesz. Bo nie wyglądasz mi na taką, co by od razu odpuściła. Rozmawiałem z moim prawnikiem, moglibyśmy cię zgnieść jak pluskwę, ale żal mi się ciebie zrobiło. Nie wiem, kto ci zrobił tego dzieciaka, pewnie jakiś młodziak, na którego nie możesz liczyć. Na mnie też nie lic, alimentów za nie swojego bachora płacić nie będę, ale gdybyś potrzebowała pomocy... No wiesz. Mam trochę znajomości tu i tam. Gdybyś zdecydowała się usunąć, to mogę ci

pomóc.

Milczałam, ponieważ znów nie byłam w stanie wydusić z siebie nawet pojedynczego dźwięku. Henryk najwyraźniej niewłaściwie zinterpretował tę ciszę.

– Nie zrozum mnie źle – dodał czym prędzej. – Nie żywię urazy. Chętnie pomogę ci się urządzić... Rozumiesz, przysługa za przysługę. Moja żona trochę choruje, tarczyca i serce, nie chcemy jej mieć na sumieniu, prawda? Więc jeśli zgodzisz się po prostu... zapomnieć o naszej znajomości, ja mógłbym wysupłać...

Jakimś cudem zdołałam trafić rozedrganym palcem w czerwoną ikonkę przekreślonej słuchawki. Wyciszyłam telefon, ponieważ spodziewałam się, że Henryk zadzwoni znowu. A potem pobiegłam do łazienki i wymiotowałam przez dobre pół godziny.

*

Ten dzień w pracy był dla mnie koszmarem. Dwie małe plotkary z siódmej klasy najwyraźniej spisały się na medal, bo zewsząd muskały mnie ciekawskie spojrzenia. Odnosiłam wrażenie, że nawet nauczyciele taksują moją sylwetkę badawczym wzrokiem. Miałam ochotę celowo wypinać brzuch, żeby im wszystkim pokazać, że owszem, jestem w ciąży i wcale się tego nie wstydzę.

Rzecz w tym, cholera jasna, że chyba jednak w tej ciąży nie byłam. Jak to mówił Kochanowski o zdrowiu? Że dopiero wtedy wiemy, jak smakowało, gdy się zepsuje? Czy to jednak był Mickiewicz? Ale nie, Mickiewicz to raczej o ojczyźnie. Tak czy owak, ja czułam coś takiego w związku z macierzyństwem. Nie straciłam go, Boże broń, ale w gruncie rzeczy sytuacja była podobna. Uwierzyłam, że noszę pod sercem dziecko, oswoiłam się z tą myślą, zaakceptowałam ten stan i odkryłam, że od dawna tego pragnęłam – i właśnie wtedy niczym grom z jasnego nieba spadła na mnie informacja, że nie. Jednak nie. Dziecka nie ma. Ja się przecież tylko bawiłam w ciążę.

A jeśli jednak test się mylił? Przecież miałam powiększone, bolesne piersi i poranne mdłości. Więc czy istniała jakaś niewielka, taka zupełnie malutka szansa, że jednak...

Dajmy temu spokój! Całe życie byłam realistką i doskonale wiedziałam, że to mało prawdopodobne. Poza tym zbyt dobrze znałam się na układzie pokarmowym, aby nie wiedzieć, że nudności i wymioty są bardzo mocno powiązane z układem nerwowym. Że jeśli bardzo chcę odczuwać objawy ciąży, to one się mogą pojawić. I że wymiotować można z wielu przyczyn, od wysiłku przez wielką ekscytację aż po stres – a żadna z tych rzeczy nie ma związku ze stanem błogosławionym.

Po lekcjach poszłam do klasy Olgierda, bo przez cały dzień mijaliśmy się tylko w pokoju nauczycielskim. Nigdy jeszcze tak bardzo nie potrzebowałam rozmowy z przyjacielem.

– Wyglądasz strasznie! – zagaiłam, choć miałam zamiar powiedzieć coś zupełnie innego.

Naprawdę prezentował się jak siedem nieszczęść. Miał sine obwódki wokół oczu i zapadnięte policzki.

– Nie spałem ostatnio za dużo – oznajmił, upychając w teczkę zeszyty. – Prace klasowe – wyjaśnił, widząc moje spojrzenie.

– Obiecowałeś sobie, że nie będziesz tego tachał do domu – przypomniałam mu tonem starszej siostry. – Pamiętasz? Miałeś wszystko sprawdzać w szkole.

– Taaaa, ciekawe, gdzie miałbym to robić. Tu zaraz wchodzi pani Jadzia z miotłą i mopem.

– W czwartki kończysz wcześniej. Mógłbyś zostać po lekcjach.

– Nie ma żadnego wolnego gabinetu, sprawdzałem.

– Pokój nauczycielski.

– Taaaa... w tym samym czasie okienko ma jeszcze dwóch innych

nauczycieli. Wyobrażasz sobie sprawdzanie w takich warunkach?

Nie, nie wyobrażałam sobie. Dlatego zostałam wuefistką, a nie polonistką, pomyślałam. Za żadne skarby nie zgodziłabym się zabierać do domu prac do sprawdzenia. Doskonale wiedziałam, ile czasu zabiera Olusiowi analizowanie każdego zdania i nanoszenie poprawek. Nie miałam serca mu tego powiedzieć, ale niejedną raz widziałam, że uczniowie starszych klas wyrzucają potem do kosza kartki, na których wysmarował elaboraty na temat tego, jak można było inaczej podejść do zagadnienia, jakie inne argumenty albo lektury wykorzystać... Bywało, że przychodziłam do niego z winem, a on sadzał mnie na sofie i mówił: „jeszcze tylko trzy opowiadania, bo muszę skończyć kupkę”. Zawsze miał prace podzielone na takie małe porcje. Twierdził, że gdyby sprawdzał je bez przerwy, niechybnie by zwariował.

– Twoje życie, twój wolny czas – powiedziałam teraz, wzruszając ramionami. – Ale w ten sposób raczej nie nadrobisz braku snu. A właściwie dlaczego nie spałeś? Bo nie wygląda mi to na zmęczenie spowodowane radosnym seksem.

Zarumienił się jak panienka. Czyżby kogoś miał? I ja nic o tym nie wiedziałam? Zapewne byłam ostatnio zbyt skupiona na sobie.

– Nie, to nie to – odpowiedział.

– Coś nie tak z mamą? Jak ona się czuje?

Spojrzał na mnie z wdzięcznością.

– Mama w porządku, dzięki, że pytasz. Kazała się wypisać na własne żądanie, jest już w domu i zdaje się, że o niczym innym nie marzy jak tylko o powrocie do pracy. Na szczęście ten jej szef to niegłupi człowiek. Zadzwoniłem do niego i powiedziałem, że już wyszła i chce wrócić do sklepu, a on na to, że mowy nie ma, ma odpocząć, dojść do siebie i nie pojawiać się w pracy aż do przyszłego poniedziałku.

– Więc czym się tak martwisz?

Olgierd zapakował wreszcie do teczki ostatnie zeszyty i wziął ją pod

pachę, zapewne w obawie, że rączka może się urwać. Westchnął ciężko i omiótł spojrzeniem klasę, jakby sprawdzał, czy wszystko jest na swoim miejscu. Potem ruszyliśmy w stronę wyjścia.

– Chyba porwałem się z motyką na słońce – powiedział takim tonem, jakby miał sto lat i wielkie brzemię doświadczeń na karku. – Ziyo mi umiera z głodu. Nie przeszkadza mu to jednak zamienić mi chałupy w pobojewisko. Miałem kapcie, nie mam kapci. Miałem sofę, nie mam sofę. I tak dalej, dużo by wymieniać.

– W sensie... że poniszczył ci wszystko? – upewniłam się. – No tak, z psami tak bywa. – Nie miałam ochoty rozmawiać dłużej o tym kundelku. – A ja, wyobraź sobie, wymiotowałam dziś cały poranek.

– Czyli jednak jesteś w ciąży? – Oluś aż się zatrzymał w progu klasy. – Ale test...?

– Nie wiem. – Wzruszyłam ramionami. – Nie kupiłam drugiego. Pewnie jednak nie jestem, skoro tamten pierwszy nie wyszedł, ale wciąż trzymam się myśli, że jakaś szansa istnieje. Jednak nie to jest najważniejsze. Najważniejsze, że na dobre rozstałam się z Henrykiem. Wyobraź sobie: chciał mi zaproponować pieniądze, żebym milczała. Żebym nic nie powiedziała jego żonie.

– Dupek.

– O, tak. Dupek okropny.

– Płakałaś?

Usiłowałam sobie przypomnieć. Nie, chyba nie. Aż samą mnie to teraz dziwiło. Pokręciłam głową.

– Tylko wymiotowałam. Chyba byłam w jakimś szoku czy coś w tym rodzaju. Kto by pomyślał, prawda?! Jeszcze niedawno miałam absolutną pewność, że kocham go taką prawdziwą, dojrzałą miłością, a tu co się okazuje? Nic z tych rzeczy! Nie tęsknię za nim, jego ramionami i pocałunkami, lecz za stabilizacją, poczuciem bezpieczeństwa... Chyba po

prostu marzy mi się rodzina.

– No to powiem ci, że zabrałaś się za jej zakładanie, że tak się brzydko wyrażę, od dupy strony. Chyba najpierw należało znaleźć faceta, który pragnie tego samego co ty. A nie żonatego, dla którego jesteś tylko urozmaicheniem małżeńskiej rutyny.

Weszliśmy do pokoju nauczycielskiego, Oluś powiesił klucz w gablotce i włożył kurtkę, a potem ruszyliśmy na parking.

– Może skoczmy gdzieś na obiad? – zaproponowałam. – Albo kupimy coś gotowego i pojedziemy do mnie odgrzać...

– Nie gniewaj się, ale muszę wracać – odparł ze smutkiem. – Ziyó jest sam. Wolę sobie nie wyobrażać, co napsocił tym razem. No i trzeba spróbować go nakarmić. Może tym razem się uda.

Nie rozumiałam, po co tak się szarpie z tym kundelkiem, ale w gruncie rzeczy imponowała mi jego troskliwość. Jaka szkoda, że heteroseksualni mężczyźni rzadko są tacy, pomyślałam. Podeszłam do niego, kiedy otwierał swoje auto, i cmoknęłam go w policzek.

– Miałeś chodzić pieszo, pamiętasz? – zapytałam. – Kiedyś wspominałeś, że masz takie postanowienie.

– Taaa – mruknął. – Bo rzeczywiście miałem. A tymczasem wszystko się pozmieniało. Kto by pomyślał, że w ciągu zaledwie paru dni...

– ...Świat może stanąć na głowie – dokończyłam. – Tak, masz rację. Dziękuję ci, Olgierd. Gdybyś nie był... To nie znaczy, że tego nie akceptuję. Ale gdybyś nie był... No wiesz... To chciałabym mieć takiego faceta jak ty. Uwielbiam cię.

Po czym odwróciłam się i poszłam do swojego samochodu, sama nieco zawstydzona tym niespodziewanym wyznaniem.



Jechałem do domu i analizowałem scenę, która miała miejsce na parkingu przed szkołą. Pocałunek? „Uwielbiam cię”? „Chciałabym mieć takiego faceta”? Owszem, lubiliśmy się, łączyła nas przyjaźń, ale nigdy dotąd Sara nie mówiła mi takich rzeczy. I nie miałem zielonego pojęcia, co miało znaczyć to „gdybyś nie był...”. Może ona sądzi, że kogoś mam? Że jestem w związku? Tylko dlaczego miałyby tak sądzić? Przecież bywała u mnie często, czasem nawet po kilka razy w tygodniu, i nigdy nie natknęła się na żadną dziewczynę. Poza tym zawsze mówiliśmy sobie o takich rzeczach. Chyba nie sądzi, że ukrywam przed nią swoje życie osobiste? Nie, to się zupełnie nie trzyma kupy.

Tymczasem jednak musiałem odsunąć na bok te rozważania, bo zaparkowałem pod blokiem i z bijącym sercem wszedłem do mieszkania. Poprzedniego wieczoru zadałem sobie sporo trudu, aby przygotować łazienkę – uprzątnąłem wszelkie zagrożenia, papier toaletowy umieściłem wysoko na szafce, ręczniki zapobiegawczo zdjąłem i położyłem na pralce. Wymościłem małemu posłanie z koca obok wanny, a przy drzwiach rozłożyłem grubą warstwę gazet, aby miał gdzie się załatwiać. Miałem paskudne wyrzuty sumienia, że zostawiam Ziyo w tak niewielkim pomieszczeniu – spotęgował je dodatkowo fakt, że mały strasznie pisał,

kiedy wychodziłem. Jednak nie miałem wyboru. Nie stać mnie było na zakup nowego kompletu wypoczynkowego. Jak na razie straciłem kanapę i bok jednego fotela, ale wciąż jeszcze miałem drugi, nienaruszony. Gdyby zniszczył także ten ostatni mebel, to byłaby już kompletna katastrofa.

Ostrożnie otworzyłem drzwi do łazienki. Gazety były rozszarpane na kawałeczki, ale tego mogłem się spodziewać – skoro Ziyó potrafił posiekać gąbkę, to dlaczego nie miałby spróbować z papierem? Szerzej uchyliłem drzwi i od razu wdepnąłem w niewielką kałużę. Znalazłem też mały bobek i to odkrycie ucieszyło mnie niewymownie. Skoro jest kupka, to odrobina jedzenia jednak trafiła do układu pokarmowego, pomyślałem. Zaraz potem przyszła refleksja, że coś się we mnie nieodwracalnie zmieniło. Gdyby tydzień wcześniej ktoś mi powiedział, że ucieszę się z obecności psiej kupy w mojej łazience, umarłbym ze śmiechu.

Ziyó leżał na szczątkach legowiska, które mu przygotowałem. Ujrawszy mnie, zerwał się na łapki i podbiegł, merdając ogonkiem. Wśród kawałeczków koca ujrzałem coś niepokojącego. Miało szarobłękitny kolor i przez dłuższą chwilę nie mogłem zrozumieć, co to jest. Przykucnąłem, a wtedy mały wspiął się łapkami na moje kolana i polizał mnie w brodę, jakby przeproszał. Ciągle jeszcze nie rozumiałem za co. Wziąłem w palce to niebieskawe coś. Guma. Kawałeczki gumy. Tysiąc kawałeczków gumy! Rozejrzałem się uważnie i zamarłem. Pralka. Ten mały skunks zniszczył mi pralkę! Drzwiczki były uchylone, więc bez trudu mógł zabrać się za wyciąganie gumowego kołnierza!

Zacząłem krzyczeć. Nie na niego, tylko tak ogólnie, bez słów. Był to bardziej krzyk rozpacz niż złości, ale malec i tak przypadł do ziemi i rozpląszczył się, jakby chciał zniknąć. To sprawiło, że uspokoiłem się natychmiast. Jak to określiła pani Małgosia Bereza? Lęk separacyjny? Czy to przypadkiem nie oznacza, że mam tu psie dziecko, które umiera ze strachu za każdym razem, kiedy zostaje samo? Więc jeśli niszczy wszystko, co wpadnie mu w ręce, tfu, w zęby – to przecież nie ze złośliwości, tylko ze strachu właśnie.

Miałem ochotę zadzwonić do pani Berezy i zapytać, jak sobie z tym lękiem separacyjnym poradzić, ale przypomniałem sobie o jej nieprzyjemnej szefowej, która mogłaby mieć pretensje o rozmowy prywatne w czasie pracy. Mama odpadała, Sara także, bo wyraźnie wyczuwałem, że kwestia psa nie zajmuje jej w najmniejszym stopniu. Pozostał Adam. Chwyciłem telefon i wybrałem jego numer.

– No co tam, stary? – zapytał zamiast przywitania.

Wcisnąłem tryb głośnomówiący, położyłem telefon na obudowie wanny i zabrałem się za sprzątanie resztek legowiska oraz gazet.

– Cześć. Znowu mam kataklizm w domu – odparłem. – Dziś mój pies zezarł kocyk, gumowy kołnierz z pralki oraz kilkanaście gazet.

– Przestraszyłem się, że coś nie tak z mamą.

– Mama okej, już w domu, wydobrzała. Pies jest problemem.

– Mówiłeś, zdaje się, że on nic nie może jeść. Że wymiotuje. To w końcu je czy nie je? Może on ma takie nietypowe upodobania i jada tylko rzeczy niejadalne.

– Nie, właściwie nie je. Tylko gryzie.

– Czyli potem wypluwa?

– Tak jakby. W każdym razie wierz mi, mam co robić. Dziś i tak sprzątania jest niewiele, bo zamknąłem go w łazience, więc miał ograniczone pole działania. Znajoma twierdzi, że to lęk separacyjny. Nie wiem, co mam z tym zrobić.

– Ale ty zamierzasz sobie tego kundelka zostawić na stałe? – zdumiał się Adam. – Nigdy nie lubiłeś psów.

– Nie lubiłem. I chyba nadal nie lubię. W sumie trudno, żebym lubił, skoro zostałem wychowany przez osobę z psią fobią. Mama zawsze odsuwała mnie od psów, ostrzegała przed nimi, nie pozwalała dotykać.

– A teraz coś się zmieniło?

– Nie wiem. Ten mały... On jest jakiś inny. Może dlatego, że taki chory. W tych jego oczkach... Nie masz pojęcia, jak bardzo chce żyć. To jest tak, jakbym miał pod opieką śmiertelnie chorego dzieciaka, który chce raz w życiu beztrudnie się pobawić.

– Nie przesadzaj. Chyba trochę go uczłowieczasz.

– Pewnie tak. Ale wiesz co? Nawet jeśli ma umrzeć, to chciałbym, żeby umierał syty. On jest po prostu jednym wielkim głodem.

– Ale zaraz, wytłumacz mi: ty go normalnie karmisz?

– Nie, weterynarz zabronił „normalnie” – wyjaśniłem. – Muszę go trzymać pionowo i podawać mu jedzenie w tej pozycji, ale on się tego boi, wrywa się i całe karmienie zamienia się w walkę.

– A gdyby ktoś ci pomógł? Gdyby ktoś go przytrzymał?

– Tylko kto? – zapytałem ponuro. – Mama się psów boi, Sara nie przejawia chęci...

– Właśnie! Co z Sarą? W końcu jest w ciąży czy nie jest? Bo się pogubiłem.

– Nie, chyba nie jest.

– Mówisz o tym jakoś obojętnie – zauważył Adam. – Wydawało mi się, że marzysz o tej dziewczynie, że to twoja obsesja. A teraz...

– Teraz wszystko się zmieniło – przerwałem mu. – Lubię ją, jesteśmy przyjaciółmi, to pozostało bez zmian. Ale reszta stała się dla mnie... Nie wiem, jak to określić. Neutralna, o, chyba to jest właściwe słowo.

– Ale co się stało? Kobita ci zbrzydła? Przytyła? Czy to może przez tę jej domniemaną ciążę? Nie rozumiem tego. Przez pięć lat mówiłeś tylko o niej, a teraz...

– Sam mi zawsze powtarzałeś, żebym sobie dał spokój, że mam znaleźć inny obiekt zainteresowań. Więc powinien się cieszyć...

– Znalazłeś? – W jego głosie zabrzmiała czujna ciekawość. – Jest jakaś

inna kobieta na horyzoncie?

– Nie ma – uciałem. – Na horyzoncie mam psią mordkę, a na podłodze masę śmieci do sprzątnięcia. Słuchaj, kończę, bo on mi to wszystko zaraz rozniesie i będę zmiatał od nowa. Jeśli znasz kogoś, kto wie, co robić z lękiem separacyjnym u psów, to daj znać. Pilnie potrzebuję porady. A ty w końcu przyjeżdżasz do Polski?

– Tak, na święta będę.

– Siobhan nie zmieniła zdania?

– Nie. I już jej o to nie proszę. Odpuszczam sobie, stary. Ona twierdzi, że nasz związek stał się toksyczny. Więc nie zdziw się, jeśli lada dzień zwalę ci się na głowę.

– Zwalaj się – powiedziałem, myśląc, że to byłoby w sumie niezłe rozwiązanie problemu samotności Ziyó podczas mojego pobytu w szkole. Ale nie ujawniłem tych myśli, aby nie spłoszyć Adama. – Czekamy na ciebie. Ja i mama – dodałem szybko.



Czas na to, aby podjechać rano do szkoły i podpisać nieszczęsne oceny proponowane, znalazłam niestety dopiero w piątek. Dzień umykał mi za dniem, wszystkie tak samo wypełnione zajęciami, których z jakiegoś powodu nie można odłożyć na inny termin. Kiedy się pracuje w sklepie, z doby zostają tylko poranek i wieczór. Jedynie wtedy można zrobić zakupy, ugotować obiad na następny dzień, nie mówiąc już o obowiązkach domowych: sprzątaniu, praniu i tych wszystkich drobiazgach, które muszą być wykonane, aby dom funkcjonował jak należy. Kiedy w tym wszystkim znaleźć czas na sprawy związane z dzieckiem? Szczególnie z dzieckiem niepełnosprawnym, które wymaga pomocy w tym, co jego rówieśnikom przychodzi łatwiej?

Tak więc ugrzęzłam w natłoku obowiązków i dlatego – choć pamiętałam o prośbie Olgierda Zawady – dopiero w piątek wybrałam się do szkoły. Myślałam o tej wizycie niemal całą noc, budziłam się co kilkanaście minut, a serce tłukło mi się w piersi jak przed maturą. Wreszcie wstałam i postanowiłam wykorzystać wczesny poranek po pierwsze na wsunięcie Marcinowi prezentu pod poduszkę (bo były mikołajki), a po drugie na wyszykowanie się. Ładny wygląd zawsze dodaje człowiekowi pewności siebie, a z jakiegoś powodu bardzo tej ostatniej potrzebowałam.

Czułam się idiotycznie, robiąc makijaż. W zasadzie na co dzień się nie malowałam, miałam zestaw kosmetyków, który kupiłam sobie kiedyś jako lekarstwo na chandrę – lecz używałam ich jedynie w święta. Do teatru ani do filharmonii nie chadzałam, nie mówiąc już o restauracjach czy balach karnawałowych. Tymczasem teraz maluję się na zwyczajne spotkanie z wychowawcą syna! Które w dodatku potrwa zapewne minutę!

Było to głupie i nieracjonalne, ale i tak uległam tej zachciance. Podkreśliłam oczy kreską i mocno wytuszowałam rzęsy. Na policzki nałożyłam troszkę różu, przyszło mi bowiem do głowy, że wyglądam bardzo blado. Rozpuściłam włosy, choć w pracy zawsze musiałam mieć spięte – uznałam, że zaplotę warkocz po wizycie w szkole. Teraz strój. Tak długo przymierzałam różne zestawy, że zmarnowałam mnóstwo czasu i o mały włos musiałabym zrezygnować z wizyty w szkole, aby nie spóźnić się do pracy. Postukałam się w czoło. Na stare lata zachciewa mi się strojenia, powiedziałam sobie w duchu. Ostatecznie włożyłam błękitne džinsy i byle jaki sweter, trochę zmechacony, ale za to ciepły, ponieważ uświadomiłam sobie, że i tak nie zdejmę kurtki w szkole. Wejdę tam przecież tylko po to, by podpisać oceny w dzienniku.

*

Przy śniadaniu musiałam wysłuchać zachwyty Marcinka na temat nowej koszulki z wizerunkiem jakiejś postaci z gry, której nazwa kompletnie nic mi nie mówiła. Potem nastąpiły peany na cześć książeczek o Kajku i Kokoszu, które również dostał na mikołajki. Następnie wreszcie wyszliśmy z domu i pojechaliśmy do szkoły. Marcin miał lekcję wuefu, poszedł więc do szatni przy sali gimnastycznej, aby się przebrać. Chciałam cmoknąć go w czoło, ale spojrzał na mnie z wyrzutem. No tak, zapomniałam, że to straszny wstyd przed kolegami przyjąć od matki całusa albo, nie daj Boże, okazać jej miłość! Próbowałam sobie przypomnieć, czy w jego wieku byłam taka sama, ale chyba nie miałam podobnych wspomnień.

Tak jak się umawialiśmy, znalazłam Olgierda Zawadę na korytarzu pełnym dzieci. Z ożywieniem tłumaczył coś jakiemuś starszemu uczniowi.

Hałas panował niemożliwy, więc musiał krzyczeć. Kiedy podeszłam bliżej, do moich uszu doszły strzępki zdań:

– ...dlatego skup się na opowieści. Nie przejmuj się tymi wszystkimi terminami związanymi ze starożytnym Rzymem. To tylko kostium. Tak naprawdę liczy się człowiek. Dlaczego Chilon był taki? Czym kierował się Petroniusz? Albo Neron. To są najciekawsze postacie w tej powieści.

Uczeń mruknął coś w rodzaju podziękowania i odszedł w stronę grupki kolegów, a wtedy pan Zawada odwrócił się do mnie. Przez chwilę wydawało się, że mnie nie poznaje, ale już po kilku sekundach jego twarz rozjaśnił uśmiech. Wyglądał, jakby autentycznie ucieszył się na mój widok. Chyba się zarumieniłam, choć zapewne nie miało to nic wspólnego ze mną – po prostu cieszył się, że wreszcie będzie miał porządek w dokumentacji.

– Dzień dobry – powiedział. – Dziękuję, że pani przyszła. Pójdziemy do klasy, dobrze? Nie mogę zejść z dyżuru, ale stanę w progu i pani mi tylko podpisze te oceny.

Pokiwałam głową. Chciałam zapytać o psiaka, lecz słowa uwięzły mi w gardle. Na szczęście on sam zaczął mówić.

– Miałem do pani zadzwonić któregoś dnia, bo zupełnie opadłem z sił, a pani jest dla mnie kimś w rodzaju eksperta od psów – wyznał. – Ale ostatecznie się nie odważyłem. To były godziny pani pracy, a ta szefowa...

– Och, ona nie zawsze jest w sklepie – powiedziałam. – Na przykład w porze obiadowej jedzie do domu, je posiłek i nawet ucina sobie drzemkę. Słyszałam, jak mówiła jakiejś zaprzyjaźnionej klientce, że zawsze przestrzega sjesty.

– Czyli w porze obiadowej można zadryndać – ucieszył się. – A nawet wpaść w odwiedziny. A macie tam jakieś porządne męskie obuwie?

Mrugnął zawadiacko, a mnie serce zabiło szybciej na myśl o tym, że zechciałby zajrzeć do mnie do sklepu. Tylko nie dziś! Włożyłam przecież zmechacony sweter.

– Obuwie mamy bardzo porządne – odparłam. – A poprzymierzać można nawet wtedy, kiedy jest szefowa.

– O, widzi pani, to jest dobry pomysł. Zajrzę... że niby po buty na zimę albo, dajmy na to, trekkingowe... A pani mi da jakiś umówiony znak i wtedy będę wiedział, że ta paskudna baba jest na posterunku i mamy rozmawiać tylko o obuwiu. Jeśli zaś znaku nie będzie, będę mógł mówić o Marcinie, psie albo czymkolwiek innym.

Wyczułam, że żartuje, więc śmiałam się wraz z nim, choć w gruncie rzeczy wciąż byłam bardzo spięta.

– Doskonały pomysł. A ten znak to...

– Na przykład założy pani włosy za ucho, takim ruchem jak przed chwilą – powiedział miękko i wykonał taki gest, jakby chciał zademonstrować. Jego ręka zawisła na chwilę w pół drogi, gdzieś między nim a mną, a ja spiekłam raka. Czy on ze mną flirtuje? Czy tylko ja nadaję zupełnie zwyczajnym gestom szczególne znaczenie?

– To rozwiązanie ma dwie poważne wady – rzuciłam, udając, że poważnieję. – Po pierwsze taki ruch mogę wykonać zupełnie nieświadomie, tak jak robiłam to przed chwilą.

– No tak. Racja.

– A po drugie w pracy muszę mieć spięte włosy. Szefowa uważa, że rozpuszczone są niehigieniczne i oznaczają brak szacunku dla klienta. Kiedy się dotyka włosów, tak powiedziała, ma się na rękach tysiące bakterii, a potem te bakterie znajdują się na butach dotykanych przez kupujących.

– Ach tak, rozumiem. Bo kupujący mają sterylne ręce i w związku z tym dotykane przez nich buty także są sterylne, i dlatego pani pełne bakterii włosy mogą stanowić potworne niebezpieczeństwo dla ich zdrowia i życia – rzekł pan Zawada równie poważnie jak ja, choć oczy mu się śmiały. – Już lubię tę pani szefową.

W tym momencie zadzwonił dzwonek na lekcję, przerywając nam, a ja

wpadłam w popłoch. Wciąż staliśmy w progu klasy, on z długopisem i dziennikiem wychowawcy gotowym do podpisu.

– Jak to się stało? – zapytał ze szczerym zdumieniem. – Przecież miałem tylko podsunąć pani te oceny do wglądu i zapytać o psa. A tymczasem... No nie wiem, chyba naprawdę będę musiał zajrzeć do pani do pracy, bo nie zdążyliśmy porozmawiać. I jeszcze chciałbym zapytać o coś związanego z Marcinem.

Czekałam, że może zaproponuje wyjście na kawę, i czułam się tak, jakby moje serce wykonało coś w rodzaju przewrotu w przód. Olgierd Zawada jednak milczał przez chwilę, po czym podsunął mi ten nieszczęsny dziennik, ja podpisałam, choć nawet nie widziałam, co właściwie, a potem podniosłam wzrok i spojrzeliśmy sobie w oczy. Za moimi plecami do klasy wchodziły dzieci, rozmawiając – o ile zdołałam wychwycić – o imiesłowach.

– To może ja zadzwonię? – zapytał wreszcie Zawada, jakby z wysiłkiem odwracając wzrok. – Na przykład wieczorem? O której ma pani czas na pogawędkę?

– Około dwudziestej drugiej. Marcin jest już w łóżku, a ja przeważnie mam za sobą wszystkie domowe obowiązki.

Popatrzył na mnie dziwnie, ale pokiwał głową. Byłam bardzo ciekawa, o czym pomyślał.

– I naprawdę mogę zatelefonować tak późno? Nikogo... Nikomu to nie będzie przeszkadzało?

– Naprawdę.

– W takim razie do usłyszenia, pani Małgosiu. Dziękuję, że pani przyszła.

Rzucił mi ostatnie ciepłe spojrzenie, a ja odwróciłam się i zesłam z tego trzeciego piętra na zupełnie miękkich nogach, po czym wsiadłam do auta i siedziałam tak dobre piętnaście minut, próbując uspokoić walące serce. „Pani Małgosiu”. Jakie ja mam śliczne imię. Albo może on potrafi je tak ładnie wymawiać.



Może istnieją ludzie, którzy lubią beczynność, ale ja do nich z pewnością nie należę – myślałam, lepiąc kolejną porcję uszek na wigilię, choć do świąt były jeszcze ponad dwa tygodnie, a poza tym doskonale wiedziałam, że Olgierd i Adam nie zjedzą takich ilości. Nawet gdyby jakimś cudem mój syn przyprowadził na święta także tę swoją dziewczynę, Sarę. O ile się jeszcze nie rozstali.

Sama nie wiedziałam, czy życzylabym sobie takiej synowej. Z jednej strony była ładna i wyglądała na zdrową. Wiele razy wcześniej o niej słyszałam (choć nigdy nie w kontekście związku), więc pewnie przyjaźnili się od dawna, a to zawsze dobrze rokuje. Z drugiej jednak strony płakała na wieść o ciąży, to jeden minus. Olgierd nie był pewien jej wierności – to minus drugi i najważniejszy.

Postanowiłam przestać się nad tym zastanawiać, ponieważ od takich myśli miałam kołatanie serca. Uznałam, że w ramach uspokojenia mogę nastawić zakwas z buraków, bo choć miałam jeszcze w lodówce całą butelkę, to przecież świeży zawsze jest najlepszy. Barszcz z uszkami był moją chlubą, a skoro przy stole pojawi się wierny wielbiciel mojej kuchni – Adaś – to naprawdę warto się postarać.

Adam był w naszym życiu niemal od zawsze. Najpierw jako kolega z przedszkola, potem – szkoły podstawowej. Jego rodzina mieszkała w sąsiednim bloku, toteż chłopcy chodzili wszędzie razem. Zachowałam w pamięci taki uroczy obrazek: Oluś umawia się z Adasiem, że pójdą na karuzelę, którą rozłożono na placu (teraz stały tam dwa dyskonty spożywcze). Biorą się za rączki i idą po pieniądze najpierw do domu Adama, a potem do mnie. Obserwowałam tę scenę przez okno. Mieli wtedy po osiem lat, a jednak wciąż – jak w przedszkolu – trzymali się za ręce, przechodząc przez jezdnię.

Ku mojej wielkiej radości ta przyjaźń przetrwała wszystkie zawirowania, jakie przyniosło im życie. Śmierć mojego męża, rozwód rodziców Adama, a potem chorobę i śmierć jego mamy. Ojciec wyjechał za granicę i właściwie zniknął, nie utrzymywał z synem kontaktów, ale i tak, kiedy przyszła wiadomość o jego pobycie w więzieniu i samobójstwie, opłakaliśmy go wszyscy, jakby był kimś bliskim. Adam formalnie był wtedy pod opieką babci, jednak w gruncie rzeczy stanowił część naszej rodziny, stołował się u nas i czasem nawet sypiał na materacu w pokoju Olgierda.

Podczas studiów ich drogi rozeszły się, bo Adaś wybrał studia informatyczne, podczas gdy Olgierd pozostał wierny fascynacji literaturą. Dodam, że ku mojemu ubolewaniu – bo doskonale wiedziałam, że zawód nauczyciela nie przyniesie mu dostatniego życia, a kim innym można być po filologii polskiej? Teoretycznie dziennikarzem, jednak oboje doskonale zdawaliśmy sobie sprawę, że Olgierd, ze swoją miękkością i delikatnością, nie nadaje się do takiej pracy.

Tak czy inaczej, mimo różnicy zainteresowań i wybranej drogi życiowej chłopcy przyjaźnili się nadal. Kiedy Adam wyjechał do Irlandii, urządziliśmy mu huczne pożegnanie. Ku mojej wielkiej radości nie zapomniał o nas. Przyjeżdżał podczas każdego urlopu, czasem w święta, raz nawet zjawił się w Dzień Matki z wielkim bukietem piwonii. Martwiłam się tylko, że ta Irlandka, w której się zakochał, zabierze nam go w końcu i zatrzyma dla siebie. Na szczęście Olgierd wspomniał ostatnio, że chyba się rozstali i że Adam spędzi z nami Boże Narodzenie oraz Nowy Rok. To dobrze. Ta

dziewczyna na niego nie zasługiwała. On potrzebował rodziny, stabilizacji – ponad wszystko pragnął dotrzeć wreszcie do własnego portu, założyć dom taki jak sprzed rozvodu rodziców. Ona zaś wciąż (tak przynajmniej wynikało z jego opowieści) nie była pewna swoich uczuć, nie chciała się wiązać, pragnęła się bawić. Nie, Adam powinien znaleźć sobie kogoś dojrzałego.

Westchnęłam i ułożyłam na blaszce ostatnią porcję uszek do zamrożenia, po czym ostrożnie wsunęłam ją do zamrażarki. Moje matczyne serce pełne było niepokoju i troski, której źródło stanowiły dzieci. Judyta znalazła miłość, ale cóż z tego, skoro jej życie było puste, pozbawione radości płynącej z posiadania potomstwa. Olgierd zamiast szukać dziewczyny, zajmował się jakimś nieszczęsnym kundelkiem. A Adam właśnie wracał do Polski ze złamanym sercem.

*

Po obiedzie wybrałam się na zakupy. Naszła mnie ochota na sałatkę jarzynową, a na kolację wymyśliłam tatara. Rzadko tak sobie dogadzałam, jednak uznałam, że raz na jakiś czas można zadbać o swoje podniebienie. Ugotowałam warzywa i odłożyłam, aby wystygły, następnie zmieliłam mięso, odstawiłam je do lodówki, a tymczasem zabrałam się za sprzątanie. Kiedy skończyłam w kuchni, niejako z rozpędu wypucowałam także łazienkę i sypialnię. Lubiłam sterylny porządek, sprzątanie mnie nie męczyło – mogłabym myć okna choćby co drugi dzień. Judyta powiedziała kiedyś, że to czynności zastępcze i że człowiek powinien w wolnych chwilach kogoś przytulać, a nie miętosić ściereczkę z mikrofibry. Proszę bardzo, niech mi urodzi wnuki, to będę je przytulać, odparłam wtedy. Nie miałam na myśli wnuków, odparowała. Miałam na myśli mężczyznę.

Też coś, mężczyznę. Dla mnie pora godowa minęła bardzo dawno temu. Właściwie zaraz po tym, jak umarł mój mąż i wykaraskałam się z depresji, w którą wówczas wpadłam – nawet wtedy, choć byłam jeszcze młoda, ani przez chwilę nie myślałam o kolejnym związku. Całym moim światem były dzieci i to im poświęcałam każdą myśl. Problem w tym, że one chciały wyfrunąć z gniazda tak prędko, jak tylko się dało, choć w mojej opinii nie

były jeszcze na to gotowe. Czy Olgierd nie rozumiał, że nigdzie nie będzie mu tak dobrze jak u mamy?

Stop!, upomniałam sama siebie. Takie rozmyślenia niechybnie doprowadzą mnie do płaczu. Potem, rozklejona do imentu, zadzwonię do syna i zacznę się żalić, a to z pewnością stanie się przyczyną kłótni. Nie chciałam się kłócić i nie chciałam prosić o to, aby dzieci o mnie pamiętały. Pragnęłam być matką, do której chętnie wpada się na kawę. Tylko wciąż mi to jakoś nie wychodziło.

*

Bezczynność zaczynała mi wyraźnie szkodzić. Dzień bez chodzenia do pracy wydawał się koszmarnie długi. Nigdy nie brałam zwolnień lekarskich, dotychczas nawet z przeziębieniem stałam za ladą, więc ta sytuacja była dla mnie nowa. Uświadomiłam sobie, że za dziesięć lat czeka mnie właśnie coś takiego – gdy pójdę na emeryturę, zacznę umierać z nudów. Może dlatego mówi się, że praca utrzymuje ludzi w formie, pomyślałam. Czytałam kiedyś taki artykuł o Australijczykach: że odchodzą na emeryturę najpóźniej, jak się da. Coś w tym musi być, uznałam. W każdym razie ja, kiedy przestanę pracować, mogę równie dobrze zacząć kopać sobie grób.

Te niewesołe rozmyślenia sprawiły, że poczułam się bardzo stara. Zaparzyłam herbatę i zamierzałam ściągnąć z szafy pudło ze zdjęciami, aby poszukać tych, na których moje dzieci są malutkie, i pozwolić sobie na kilka łez wzruszenia. Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Dość nerwowe, o ile mogłam ocenić.

W progu stał Olgierd. W jednej ręce trzymał wielką torbę, a w drugiej – niejako pod pachą – dzierżył znanego mi już psa.

– Cześć, mamuś – powiedział, wchodząc i od razu stawiając szczeniaka na podłodze. – Przepraszam za najście. Zamierzałem pojechać do Sary, ale chyba wybrała się na weekend do rodziców, bo nikt nie otwiera, a komórka nie ma zasięgu. Musi być na tej ich sielskiej wsi.

Patrzyłam na niego pytająco. Wstęp nie bardzo mi się podobał: „chciałem

pojechać do Sary, ale skoro jej nie ma, możesz być i ty. Z braku laku dobry kit”. Czy takie rzeczy mówi się matce?

– Widzisz, problem w tym, że Ziyo wyżarł mi kołnierz z pralki, no po prostu doszczętnie go pogryzł. A mnie się trochę prania nazbierało... Mógłbym przeprać to u ciebie?

– Oczywiście – powiedziałam mechanicznie, zanim jeszcze do mnie dotarło, co właściwie powiedział. – Co takiego?! Kołnierz z pralki? Jakim cudem?!

– A, bo zacząłem go zamykać w łazience. Nie miałem innego wyjścia – dodał natychmiast, jakby spodziewał się, że będzie musiał się przede mną tłumaczyć. – Wszystko mi niszczył. Wypatroszył kanapę, zjadł kapcie... Chciałem zachować chociaż fotele. No, jeden, bo drugi też jest trochę nadgryziony.

Milczałam, kompletnie wstrząśnięta. Jak to „wypatroszył kanapę”?! Co to w ogóle znaczy?! Przeniosłam spojrzenie na małego szkodnika. Pies stał i patrzył na mnie zaleknionym wzrokiem. Wydawało mi się, że odrobinę chwieje się na łapkach. Chyba nie robi mi krzywdy, uznałam.

– Miałem wyrzuty sumienia, że tam są tylko twarde kafelki, ale zrobiłem mu legowisko z kocyka – mówił dalej mój syn, który tymczasem poszedł do łazienki i ładował brudne ubrania do pralki. – Schowałem papier toaletowy, chemię gospodarczą i tak dalej. Niestety nie przyszło mi do głowy, żeby zamknąć drzwiczki pralki. No i ten cwaniak wyciągnął sobie gumowy kołnierz, poszatkował go na kawałki i tyle. Chwilowo nie mam pralki.

– Mój Boże! – westchnęłam. – I po co ci to było? Mówiłam, żeby oddać go do schroniska. Tam mają kojce, bezpieczne klatki...

– Tak. Tyle że już by nie żył, mamó. Co do tego nie mam żadnych wątpliwości.

Olgierd umył ręce i poszedł do dużego pokoju. Usiadł na wersalce z ciężkim westchnieniem, a mnie zrobiło się go żal, bo miał zupełnie

poszarzałą twarz. Jakby w ciągu ostatniego tygodnia zestarzał się o dziesięć lat.

– Strasznie ciężko jest patrzeć na kogoś, kto cierpi z głodu – powiedział. – Nie masz pojęcia.

Usiadłam naprzeciwnie. Nie mogłam znieść tego, że moje dziecko jest nieszczęśliwe. Psiak nadal stał w progu pokoju i przyglądał się nam niepewnie.

– Dostał czas do niedzieli – podjął Olgierd. – Mamy piątkowe popołudnie, a tymczasem on nic a nic nie przybrał na wadze. Do jego żołądka trafiają jedynie jakieś maleńkie kąski z tego, co mu wkładam do pyska. Przez ostatni tydzień zrobił tylko jedną maleńką kupkę.

To było zaskoczenie, nie powiem. Mój syn mówiący o psiej fizjologii z taką naturalnością, z taką troską, jakby mówił o... dziecku. Może to jakiś etap rozwoju, pomyślałam. Może tak się objawia dojrzałość, gotowość do bycia ojcem?

– A co mu dajesz do jedzenia? – zapytałam, starając się skupić na psie, nie na Olusiu.

– Namaczam karmę, którą dał mi weterynarz. Potem biorę go na ręce i próbuję karmić w tej pozycji, no wiesz, żeby przełyk był wyprostowany jak prosta rurka. Lekarz powiedział, że grawitacja ma pomóc psu przełknąć. Mam podawać małe porcje. Tylko że Ziyó się wyrywa i nic z tego nie wychodzi. Wkrótce po tym, jak skończę mu to pakować do pyszczka, wymiotuje. I tyle jest z tego karmienia.

– A gdybyś pozwolił mu zjeść samodzielnie?

– Nie rozumiesz. Wtedy przełyk układa się poziomo i tworzy się w nim taka jakby kieszonka. Na tym właśnie polega ta wada. Jedzenie nie dociera do żołądka, zostaje w tym rozszerzeniu przełyku, zalega tam, czasem nawet zaczyna fermentować, a potem... wypada. Wylewa się właściwie, bo mnóstwo w tym śliny, więc to taka obrzydliwa papka.

– No, ale kieszonka czy jak to tam nazywasz... chyba i tak się tworzy – zauważyłam. – Nawet kiedy karmisz w pozycji pionowej. Skoro pies zwraca pokarm.

Olgierd zamilkł na kilka sekund. Wyglądał na bardzo nieszczęśliwego. Takie duże bezradne dziecko. Musiałam przynajmniej spróbować jakoś pomóc.

– Nie wiem dlaczego, ale cały czas prześladowuje mnie myśl, że Ziyó odejdzie z tego świata, nie znając uczucia sytości – odezwał się po chwili płaczliwym głosem. – Całe to jego króciutkie życie wypełnione jest cierpieniem. Pomyśl, mamó, wkładasz jedzenie do ust, a wciąż umierasz z głodu. Jaka to wymyślna tortura.

– Wiesz co? – rzuciłam bez namysłu. – A może po prostu raz pozwólmy mu najeść się do woli, tak jak chce natura, nie żadne małe porcje, nie żadna namoczona karma. Kupiłam wołowinę na tatar, może dołożę do tego na przykład gotowaną marchewkę, bo akurat zamierzałam zrobić sałatkę. Dodamy smalcu, żeby było sycące, i niech mały je, ile zechce. Raz w życiu pozwól mu się najeść do syta.

– Ale nie wolno dużych porcji... Do żołądka i tak nic nie trafi...

– Postawimy miseczkę gdzieś wysoko, żeby musiał być w pozycji pionowej. Ale żadnego karmienia, żadnego wkładania do pyska. Rozumiesz? Może jeśli będzie jadł spokojnie, bez tego wyrywania się...

Widziałam, że Olgierdowi zaświeciły się oczy.

– Naprawdę poświęcisz wołowinę? Przecież musi być bardzo droga.

– Och, daj spokój! – prychnęłam. – Jeśli ten piesek ma przed sobą ostatnie dwa dni życia, to niech przynajmniej przed śmiercią skosztuje królewskiego dania. A jeśli okaże się, że to działa, i wreszcie coś wpadnie do jego brzucha, to już będziesz mu kupował tańsze mięso. Twoja w tym głowa.

Syn spojrzał na mnie z wdzięcznością. Poszliśmy do kuchni i błyskawicznie przygotowaliśmy jedzenie dla Ziyó. Olgierd mieszał

wołowinę ze smalcem z jakimś dziwnym zacietrzewieniem. Pomyślałam, że nigdy na niczym nie zależało mu tak, jak na uratowaniu tego kundelka od śmierci głodowej. Zresztą jego zapach udzielił się także mnie. Mogłam nie lubić psów, ale musiałam przyznać: patrzenie na to wychudzone ciało było wręcz bolesne.

Wreszcie psie delicje były gotowe. Nałożyliśmy mięsną papkę do najbrzydszej miseczki, jaką posiadałam (bo przyszło mi do głowy, że potem trzeba będzie ją wyrzucić), i postaviliśmy na podłokietniku fotela.

W pieska jakby wstąpiło nowe życie. Zamerdał ogonkiem i zaczął się kręcić w poszukiwaniu źródła zapachu. Wreszcie wywęszył odpowiednie miejsce. Spojrzał na Olusia pytająco. Mój syn usiadł w fotelu i trzymał miskę obiema dłońmi.

– No śmiało – zachęcił kundelka. – Tym razem nie będę ci nic wypychał do pyszczka. Radź sobie sam.

Ziyo jakby nie dowierzał, że karmienie odbędzie się w ten sposób. Wspiął się przednimi łapkami na fotel i usiłował dosięgnąć miseczki.

– Musi być tak wysoko – powiedziałam, choć przecież doskonale wiedziałam, że malec mnie nie rozumie. Zawsze śmieszyli mnie ludzie mówiący do zwierząt, a teraz robiłam to samo. – Próbuje, próbuje.

Tylne łapki Ziyo postąpiły jeszcze kroczonek i malec wreszcie zdołał dosięgnąć mordką jedzenia. Z rozkoszą chapsnął spory kęs, po czym niemal nie gryząc, zaczął jeść. Łapczywie połykał mięso, przymykając przy tym oczka.

– Chyba mu smakuje – zauważył Olgierd, mrugając podejrzenie często. – Wciąga jak odkurzacz.

– Wiadomo. To była naprawdę dobra wołowina – odparłam z cichą satysfakcją.



– Dobry wieczór. Na pewno nie jest za późno? – upewniłem się, usłyszawszy w słuchawce ciepły głos mamy Marcina.

– Nie, nie jest. Wszystko w porządku. Właśnie skończyłam swoje sprawy i zamierzałam trochę odpocząć – odparła, a ja mimo woli wyobraziłem ją sobie w bieliźnie. Była taka drobna, musiała mieć sylwetkę nastolatki.

– Więc może jednak jutro...

– Panie Olgierdzie, odpoczynek obejmuje także rozmowy ze znajomymi. Proszę po prostu powiedzieć, o co chodzi – zaprotestowała, a ja w pierwszej chwili zdziwiłem się, że pamięta moje imię, choć po namyśle musiałem przyznać, że to przecież oczywiste, skoro byłem wychowawcą jej syna.

Inne matki nie zwracały się do mnie w ten sposób, uznałem jednak, że skoro dzwonię w prywatnej sprawie, to jest to jak najbardziej zrozumiałe. Zresztą, o ile mogłem sobie przypomnieć, w szkole ja sam powiedziałem do niej „pani Małgosiu”.

– Po pierwsze, jak już wspominałem, chciałbym podpytać o psa.

– A po drugie coś z Marcinkiem – odpowiedziała.

Wyczułem w jej głosie niepokój, więc od razu dopowiedziałem:

– Ale to nie jest nic złego. Nic, co by mogło panią zaniepokoić. Po prostu jako wychowawca chciałbym dobrze poznać dzieci, dlatego chcę o coś zapytać.

– Więc może niech pan zacznie właśnie od tego – zaproponowała. – Inaczej przez cały czas będę się martwić.

– Oczywiście, ma pani rację. A zatem, pani Małgorzato... Chodzi o wypracowanie, które napisał Marcin. Właściwie o dwa wypracowania.

Milczała, czekając na ciąg dalszy, ale w tej ciszy słyszałem wyraźnie, że się niepokoi. Pewnie sądzi, że jej synek narobił okropnych błędów albo napisał głupstwa.

– Pierwsze z nich dzieci pisały we wrześniu. Chciałem lepiej poznać moich wychowanków, zadałem więc pracę na temat „Taki właśnie jestem”. Dzieci w czwartej klasie nie znają jeszcze formy charakterystyki, ale umieją już opisywać postać, więc całkiem nieźle sobie poradziły. Prosiłem, aby nie zmyślały, bo chciałem uzyskać prawdziwy obraz klasy. Rozumie pani, co lubią, a czego nie znoszą, jakie są ich zainteresowania, pasje, marzenia. Nie ukrywam, że chciałem poznać też ich sytuację rodzinną, bo to pomaga zrozumieć niektóre zachowania uczniów.

– No i...?

– No i Marcin napisał bardzo dobrą pracę, jak to on. Rzecz w tym, że parę dni temu była praca klasowa z lektury. Marcin wybrał: „Czy jest we mnie coś z Pinokia”, bardzo ambitnie. Nikt poza nim nie zdecydował się na ten temat. Napisał mądrze, bardzo dojrzałe, wie pani, aż mi się łza w oku zakręciła... Na przykład o tym, że czasem czuje się, jakby także był z drewna, bo ciało nie chce go słuchać.

– Tak, wiem. Rozmawialiśmy o tym, opowiadał mi.

– Wspomniał też o swoim ojcu. Napisał, że w przeciwieństwie do Pinokia on szanuje swojego tatę i nigdy nie zrobiłby mu na złość. Że tata jest nauczycielem, że jest bardzo mądry... Takie tam.

Pani Bereza milczała.

– Pytam o to dlatego, że w poprzednim wypracowaniu Marcinek napisał coś innego. Wówczas wspomniał, że tata jest stolarzem i mieszka za granicą. Stąd moja ciekawość...

– Naprawdę tak napisał? – W głosie pani Małgorzaty wyczułem ogromne napięcie.

– Tak. Byłem pewien, że pani mąż pracuje gdzieś na Wyspach albo...

– Nie. To znaczy... Ja nie wiem, gdzie on teraz pracuje. Mąż mnie zostawił po śmierci córeczki. No, nie od razu. Może raczej powinien powiedzieć, że zaczął odchodzić po jej śmierci, a na dobre odszedł, kiedy stało się jasne, że Marcin nie rozwija się w normalnym tempie. Że będzie niepełnosprawny. Wie pan, wtedy nam się wydawało, że także umysłowo...

– Ale przecież pod względem intelektualnym Marcin wręcz przewyższa rówieśników.

– Tyle że mąż tego nie wiedział – dopowiedziała niespodziewanie twardym tonem. – Mój synek nie siadał, nie przekręcał się na bok... Wyglądało na to, że będzie upośledzony. Gdyby nie ciężka praca terapeutów...

Urwała. Wyczułem, że przełyka łzy i próbuje nad sobą zapanować.

– Przepraszam, że wywołałem ten temat – odezwałem się po chwili. – Zamierzałem tylko ustalić... Byłem ciekaw, która wersja jest prawdziwa. Stolarz czy nauczyciel.

– Stolarzem jest jego wujek Grzesiek, mój brat – odparła pani Małgosia już spokojniej. – Do tej pory był to jedyny mężczyzna, z którym Marcin miał bliższy kontakt. Spędzali razem sporo czasu, robili razem karmniki, jakieś szkatułki z drewna. Teraz najwyraźniej jego miejsce zajął... pan.

– Słucham? – Prawie się zakrztusiłem.

– Pan mu bardzo imponuje, co do tego nie mam wątpliwości. Jest pan dla

Marcina prawdziwym autorytetem. Nie ma pan pojęcia, ile muszę codziennie wysłuchać: nasz pan polecił taką a taką książkę, nasz pan zbeształ Jarka za plucie i nazwał takie zachowanie prostackim, więc ja nigdy nie będę pluł, nasz pan opowiedział dowcip...

– Mój Boże, nie byłem świadom... Chyba powinienem bardziej uważać na słowa!

– Ależ nie wątpię, że pan uważa! Jak dotąd mój synek mówił o panu w samych superlatywach.

– Dziękuję.

Poczułem się idiotycznie. Gdybym wiedział, w jakim kierunku pójdzie ta rozmowa, nigdy bym nie zapytał pani Małgorzaty o męża. Nie dość, że poruszyłem bolesne struny, to jeszcze wyszło trochę tak, jakbym dopominał się o komplementy.

– Chciał pan jeszcze zapytać o coś w związku z psem – odpowiedziała mama Marcina, która zapewne także czuła się niezręcznie.

– Tak, o ten lęk separacyjny. Czy są na to jakieś sposoby? Nie mam nikogo, z kim mógłbym zostawiać małego, w każdym razie przez najbliższe kilkanaście dni, bo potem będą ferie świąteczne... Zamknąłem go w łazience, żeby nie poniszczył mi foteli, ale skutek był taki, że zjadł kołnierz od pralki.

– O rany – odezwała się pani Bereza współczująco. – Nieciekawie.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

– Wspominał pan, że to właściwie nie jest pański pies, tylko znajda. Może spróbowałby pan znaleźć mu dom, w którym ktoś jest stale obecny? Może jakiś emeryt czuje się samotny i zechciałby...

– Tak, tak. Już o tym myślałem. Mógłbym przecież dać ogłoszenie w internecie. Ale najpierw muszę wyprowadzić go na prostą. Widziała pani, jaki to chudzielec. Dziś po raz pierwszy udało mi się go nakarmić!

Nie mogłem opanować ekscytacji. Na myśl o tym, że Ziyó do tej pory nie

zwymiotował, chciało mi się śpiewać.

– Właściwie wymyśliła to moja mama – podjąłem. – Jadł w pozycji pionowej, ale nie trzymałem go tak, jak kazał weterynarz, tylko po prostu postawiłem miseczkę wysoko. Podobno są takie specjalne krzesła...

Urwałem, bo coś przyszło mi do głowy.

– Wspomniała pani, że ma pani brata stolarza? – upewniłem się. – A czy on ma może własny zakład? Przyjąłby zamówienie na krzesło dla psa z achalazją?

– Nie wiem, nie mam pojęcia, o jakim krześle mowa. Ale jeśli pan chce, możemy do niego podjechać. Ja właśnie pomyślałam, w związku z tym lękiem przed rozstaniem... Że można by zrobić kojec. Ale to chyba nie może być drewniane, bo szczeniak by gryzł, jeszcze by się jakichś drzazg nałykał. To trzeba by jednak kupić metalową klatkę.

– Psa mam trzymać w klatce? – obruszyłem się. – Nie, pani Małgosiu, to mi się jakoś w głowie nie mieści.

– Już panu tłumaczę. Mój wujek leśniczy tak wyszkolił swoją wyzlicę. Miała swoją klatkę, taką do transportu, bo często jeździli razem w pole, to był pies myśliwski. I Kora po prostu na określony sygnał wchodziła do klatki. To był jej azyl, takie miejsce, gdzie czuła się bezpiecznie. To nie brzmi dobrze, ale gdyby pan zobaczył... Zawsze miała tam swoje gryzaki, wodę w takiej podczepianej miseczce... Nie traktowała tego jako zamknięcie. To była raczej... trochę jakby „kraina świętego spokoju”.

Nie chciałem nawet myśleć o klatce dla psa. Czym prędzej zmieniłem temat.

– A kiedy moglibyśmy wybrać się do pani brata? Czy jutro to nie byłby kłopot?

– Nie, żaden kłopot. W soboty kończę pracę o czternastej. Uprzedzę brata. Tylko dobrze by było, gdyby pan wcześniej wyszukał w internecie, jakie to ma być krzesło, bo Grzesiek z pewnością nigdy nie słyszał o ala... Jak to się

nazywało?

– Achalazja. Oczywiście, że wyszukam, wydrukuję jakiś schemat czy rysunek. Będę przygotowany, obiecuję. Dziękuję pani stokrotnie, pani Małgosiu.

– Nie ma za co.

– I przepraszam, że zawracam pani głowę tak późno.

– A pan znowu swoje. – Roześmiała się, a ja wyobraziłem sobie, jak jej ciemne oczy zwężają się w kreseczki. – Dla mnie to nie jest późno. Dobranoc, panie Olgierdzie.

– Dobranoc.



Ta kobieta najpierw mnie nie lubiła. Wiedziałem o tym, takie rzeczy się wyczuwa. Patrzyła na mnie tak, jak ja patrzyłbym na obce zwierzę, gdyby chciało mi zjeść mięsko albo włożyło Olusiowi na kolana.

Na szczęście potem przestała tak patrzeć, w ogóle więcej uwagi poświęcała Olusiowi niż mnie. Nie miałem za bardzo siły myszkować w jej domu, ale trochę się rozejrzałem, zostawiłem nawet malutką kałużę w pomieszczeniu, w którym dziwnie pachniało. Od tego zapachu bardzo kręciło mnie w nosie. Poszedłem tam za Olusiem i obserwowałem, jak włożył dużo miękkiej tkaniny do głębokiej dziury, zamknął ją i coś przycisnął, a wtedy dziura zaczęła buczeć i kręcić się w kółko. Na wszelki wypadek uciekłem.

Potem stało się coś bardzo dziwnego. Kobieta, do której Oluś mówił „mamo”, przyniosła dużo mięska i marchewki, i czegoś jeszcze, czego nie znałem, ale co pachniało tak dobrze, że żołądek skręcał mi się z bólu. Bardzo się bałem, że Oluś weźmie mnie na ręce, będzie trzymał za pysk i wkładał do niego jedzenie, ale nic takiego nie zrobił.

Zamiast tego po prostu postawił miseczkę z jedzeniem wysoko, tak że musiałem się bardzo mocno wspiąć, aby dosięgnąć. Spojrzałem niepewnie na

Olusia, raz i drugi, ale nie zabrał miski ani nie wkładał mi niczego do gardła. To było coś nowego i cudownie nieoczekiwanego. Ostrożnie polizałem mięsko. Było jeszcze smaczniejsze, niż zapamiętałem! Wspiąłem się na łapki najwyżej, jak umiałem, i zacząłem jeść, póki nikt mi nie zabierał. Przedtem zawsze Oluś dawał mi bardzo mało jedzenia, a teraz wreszcie mogłem jeść i jeść, aż w misce nie zostało już nic!

Kiedy skończyłem i wylizałem dokładnie zarówno denko miski, jak i własny nos i fafle, zrobiłem się nieco senny. Oluś niespodziewanie wziął mnie na ręce i trzymał tak bardzo długo, choć mówiąc szczerze, miałem nadzieję, że po prostu pozwoli mi się położyć. Początkowo towarzyszyło mi to dziwne uczucie w gardle, jak zwykle po jedzeniu, ale potem nagle coś się zmieniło – zupełnie jakby z mojego przełyku zniknął wielki ciężar. Poczułem jakiś rodzaj ciepła w żołądku, a po chwili po moim ciele rozlało się błogie zmęczenie. Oparłem głowę o ramię Olusia i sam nie wiedząc kiedy, zasnąłem.

*

Rano, gdy się obudziłem, czułem wielki niepokój w brzuchu. Na szczęście znajdowałem się na podłodze, mogłem więc po cichu wstać, pokręcić się trochę pod drzwiami, a potem się załatwić. Gdy Oluś wstał, zobaczył to i narobił takiego krzyku, jakby stało się coś strasznego.

– Zobacz, mam, zobacz! – wołał. – Załatwił się! Pierwszy raz, odkąd u mnie jest, zrobił porządną kupę!

– Doprawdy, synku – odparła kobieta, która natychmiast przybiegła. – Przestraszyłeś mnie. Myślałam, że stało się coś złego. Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę.

– Tak, wiem – przerwał jej, ale w jego głosie wyczuwałem wielką radość. – To nie jest normalne. Faceta w moim wieku i w mojej sytuacji powinny raczej cieszyć inne rzeczy, prawda? Podwyżka, nowe auto, lepszy telewizor. A ja się ekscytuję psimi odchodami. Ale naprawdę, mam... Nie widzisz, że to jest wreszcie coś, co się liczy?! Coś wartościowego,

prawdziwego!

– Tak, widzę – odpowiedziała jakoś smętnie, podczas gdy ja kręciłem się w poszukiwaniu wody, bo bardzo chciało mi się pić. – Ale prawdziwe i wartościowe są też inne rzeczy.

– Na przykład jakie? – chciał wiedzieć Oluś.

– Na przykład rodzina. Ukochana kobieta. Dzieci.

– Mamo, znowu zaczynasz...

Dalszej części rozmowy nie słyszałem, ponieważ udałem się na spacer po mieszkaniu. Nie znalazłem jednak nic ciekawego – jak na mój gust panował tu nadmierny porządek, przez co miejsce to było znacznie nudniejsze niż mieszkanie Olusia. Zresztą szybko poczułem się zmęczony, toteż zwinąłem się w kłębek i znów zasnąłem.

*

Tego dnia także dostałem mięsko z marchewką, tym razem w mieszkaniu Olusia (niestety między jednym a drugim trzeba było przetrwać podróż w brzuchu warczącego potwora, którego Oluś nazywał autem).

Później dość długo byłem unieruchomiony na rękach mojego pana, ale nie protestowałem, bo to było w sumie całkiem miłe. Gdybym mógł zmienić tylko jedną rzecz, poprosiłbym, żeby Oluś nie głaskał mnie po gardle, bo to nie było przyjemne. Choć z drugiej strony może trochę pomogło, bo paskudne uczucie w przełyku minęło jeszcze szybciej niż poprzedniego dnia, a jedzenie wylądowało w moim brzuchu, wywołując znane już uczucie sytości i ciepła.

Myszkowałem w mieszkaniu w poszukiwaniu wody, ponieważ cierpiałem na nieustanne pragnienie. Niestety, nic z tego – nie znalazłem ani kropelki. Natomiast załatwiłem swoje sprawy na gazetach przy drzwiach, za co spotkały mnie pochwały i czułości.

– Dzielny piesek – powiedział Oluś, tarmosząc moje uszy. – Właśnie tak trzeba.

Potem zwinął gazety i rozłożył nowe, a ja pomyślałem, że gdybym tylko mógł, załatwiłbym się znowu, ponieważ chciałem, aby nadal mnie tarmosił. On jednak przestał zwracać na mnie uwagę. Udał się do pokoju, z którego przyniósł przedmiot do mówienia, i zaczął coś naciskać, wywołując zabawne dźwięki. Wiedziałem już, że przedmiot nazywa się telefon. W ogóle rozumiałem coraz więcej słów, ponieważ Oluś powtarzał je dość często. Najbardziej podobały mi się wyrazy „pomiziamy” (bo potem zwykle następowało leżenie do góry brzuchem i głaskanie) oraz „dobry piesek” (ponieważ zawsze towarzyszyło temu mnóstwo czułości, czasem nawet całusy w nos). No i oczywiście „mięsko”.

Oluś poczekał chwilę, a potem zaczął rozmawiać z telefonem, a ja nie rozumiałem ani słowa poza swoim imieniem.

– Zaraz podjedziemy – mówił. – Tak, wydrukowałem. Nie wiem, może pani brat uzna, że to nierealne, ale podpatrzyłem trochę w internecie, no i dołożyłem własne pomysły. Tak czy inaczej, jestem pełen nadziei, bo Ziyó zjadł już dwa posiłki i nie zwrócił, więc... – Tu urwał i przez dłuższą chwilę milczał. – Oczywiście, że może. Przy okazji Ziyó pozna dziecko... Bo czytałem, że szczeniak powinien poznawać różnych ludzi: dzieci, starszuchów, wysokich i niskich, w okularach, z brodą i tak dalej. Ja jestem zupełnie zielony, jak pani wie, i nie bardzo rozumiałem, na czym polega ta cała socjalizacja. No ale już się trochę zorientowałem.

Rozmowa trwała jeszcze przez jakiś czas, więc ziewnąłem raz i drugi, aby pokazać Olusiowi, że powinien zająć się mną, a nie mówieniem do telefonu. Nie zwrócił na mnie uwagi, dlatego powędrowałem do mojego ulubionego pomieszczenia, gdzie zawsze ładnie pachniało i gdzie zazwyczaj udawało mi się podwędzić jakąś zabawkę, na przykład apetycznie pachnącą tkaninę, którą Oluś nazywał ścierką. Tym razem także zdołałem chwycić ją w zęby, choć wisiła naprawdę wysoko. Jednak podskoczyłem kilkakrotnie i wreszcie mi się udało. Pobawiłem się przez chwilę, że to okropnie groźny przeciwnik, którego trzeba rozerwać na strzępy. Potrząsałem głową, warczałem i walczyłem naprawdę zaciekle. Oluś zastał mnie właśnie w chwili, gdy

z jednej ścierki zrobiły się dwie. Nigdy nie wiedziałem, jak to się dzieje (a nie był to pierwszy raz, że bawiłem się jedną rzeczą, a potem te rzeczy robiły się... jakby mniejsze. I było ich o wiele więcej).

– No ładnie – powiedział tylko. – To już trzecia ściereczka. Okej, przyjąłem do wiadomości. Nie wieszamy ścierek na drzwiczkach od szafki. W ogóle nic nie wieszamy. Nigdzie. Najlepiej byłoby mieć jakąś szafę pancerną. Ciekawe, czy ktoś produkuje takie antypsie meble. Bo chyba nie jesteś jedynym psim kryminalistą na świecie, co?

Jego głos brzmiał niby groźnie, ale wyczułem w nim nutki rozbawienia i sympatii. Położyłem uszy po sobie i leciutko zakołysałem ogonem. Jego spojrzenie złagodniało.

– No, pojedziemy teraz do jednego gościa, który umie zrobić z drewna specjalny tron dla takich jak ty. Zobaczysz, będzie pierwsza klasa! A przy okazji zabierzemy jedną... ładną panią i jej synka.

Po czym wziął mnie na rękę. Nie zważając na to, że absolutnie nie lubiłem tego głośnego stwora zwanego autem, wsadził mnie do niego i pojechaliśmy.



Oczywiście, że to było głupie, ale zwyczajnie nie wytrzymałem. Zdawałem sobie sprawę, że byłoby pewnym nadużyciem, gdyby szef zadzwonił do pracownicy tylko po to, żeby pogawędzić, zapytać, jak się czuje, i wyznać, że bez niej sklep wydaje się jakiś opuszczony, zaniedbany i niekompletny. Zamiast tego mogłem po prostu udawać, że troszczę się o interesy, ponieważ pani Janka musi wracać do butik. To nie była prawda, ale przecież drobne kłamstwo w słusznej sprawie jeszcze nikomu nie zaszkodziło. Tak więc w sobotę wieczorem wziąłem głęboki wdech i wybrałem numer pani Krystyny.

Odebrała telefon dopiero po dłuższej chwili, co sprawiło, że czułem się jak intruz, który przeszkodził jej w czymś szalenie istotnym albo przyjemnym. Chyba przez to początkowo rozmowa nam się nie kleiła.

– Od poniedziałku wracam, oczywiście – potwierdziła. – Czuję się zupełnie dobrze i gdyby mnie pan nie zmusił, wcale nie wzięłabym wolnego.

– Ale to było konieczne, pani Krysiu. – Odważnie zdecydowałem się na formę nieoficjalną. – Ja muszę mieć pewność, że wszystko jest w porządku. Nie darowałbym sobie, gdyby coś takiego się pani przytrafiło w pracy...

Chyba źle to ująłem, bo przerwała mi natychmiast i chłodnym tonem

oświadczyła, że z całą pewnością nie narazi klientów na podobną przykrość.

– Ależ nie o to mi chodzi – pospieszyłem z wyjaśnieniem. – Po prostu martwię się o panią. Pani jest w tej chwili... jedyną osobą, z którą mogę porozmawiać. Jak z dobrą znajomą. Nie mam przyjaciół. Przez te wszystkie lata byłem zbyt zajęty pracą, zarabianiem pieniędzy, które teraz na nic mi nie są potrzebne, bo okazuje się, że stan konta nijak się ma do poczucia opuszczenia, do tej okropnej pustki w domu... I do wrażenia, że przegrałem życie.

– Ale co też pan mówi! – skarciła mnie łagodnie. – Pan przegrał życie?! Ma pan syna, zbudował pan dom, stworzył firmę, prowadzi pan biznes! Ja wiem, że samotność jest dokuczliwa, przecież jestem wdową od tylu lat... Ale można sobie znaleźć coś, co to puste miejsce wypełni.

– Pani ma coś takiego?

Nie odzywała się przez chwilę. Przez głowę przemknęła mi nawet myśl, że odłożyła telefon, bo na przykład robi coś w kuchni albo może przerwałem jej oglądanie ulubionego serialu.

– Sama nie wiem – odparła jednak tonem, który wskazywał, że to jej milczenie było po prostu namysłem. – Do niedawna jedynym, co mnie zaprzętało i pozwalało trzymać fason, było myślenie o synu. Córka mieszka za granicą i siłą rzeczy nie mogę uczestniczyć w jej życiu, ale bardzo starałam się być obecna w codzienności Olgierda. Poza tym oczywiście marzę o wnukach, czekam na ten moment, w którym stanę się na powrót potrzebna i kochana.

– Ależ na pewno jest pani kochana – zapewniłem ją, bo zabrzmiało to bardzo gorzko. – Przecież syn...

– Tak, tak, wiem. Ale ja nie mówię o takiej miłości. Mówię o tym, żeby ktoś na mnie czekał, tęsknił za mną i chciał się przytulić. Wyobrażałam sobie taką malutką wnusieńkę, Zuzia by miała na imię... która na moje powitanie biegłaby z rozłożonymi rączkami i wołała: „Babciu, nareszcie jesteś!”.

– Ładny obrazek – przyznałem. – Ale czy nie uważa pani, że na to jeszcze trochę za wcześnie? Pani jest przecież wciąż młoda...

Urwałem. Poczułem, że na policzki wypełza mi zdradliwy rumieniec. Jak dobrze, że przez telefon pani Krystyna nie mogła wyczuć mojego zmieszania.

– Jaka tam młoda – wyszeptała i wtedy zdałem sobie sprawę, że ona także musiała się zarumienić.

– Jest pani młodsza od mojej żony – wyjaśniłem – która odeszła z kochankiem, bo uznała, że jedyną rzeczą, która naprawdę się w życiu liczy, jest miłość. Że tylko za nią warto pójść choćby na koniec świata.

– Toteż ja właśnie tęsknię za miłością – szepnęła pani Krystyna. – Tylko za inną jej odmianą. Miłość babci do wnuków i wnuków do babci może być przecież równie piękna. A w dodatku jest pewniejsza. Nie grozi nam odrzucenie, zdrada, nieszczerłość... Nigdy się nie skończy, jest zupełnie bezwarunkowa i bezinteresowna.

Nie odpowiedziałem, bo w gardle dławilo mnie wzruszenie. Pani Krysia umiała pięknie mówić, to pewne.

– A poza tym, skoro już mowa o wieku – dodała nagle innym tonem – to pan także nie jest jeszcze starcem. To, że żona odeszła, nie musi oznaczać końca pańskiego życia uczuciowego.

Chciałem odpowiedzieć, że chwilowo nie widzę siebie w roli amanta, ale gdzieś w tle rozległ się dźwięk dzwonka, a pani Krystyna wyraźnie się spłoszyła.

– Przepraszam – powiedziała – ale dzwoni u mnie telefon stacjonarny. To pewnie Oluś w sprawie Ziyó. Miał mi dać znać, czy udało się go nakarmić. W każdym razie dziękuję za telefon, za troskę i... Do zobaczenia w poniedziałek.

– Tak. Do zobaczenia.

*

Wziąłem kąpiel, nalałem sobie szklaneczkę whiskey i obejrzałem jakiś film, z którego nic nie zostało w mojej głowie, bo wciąż wracały do mnie strzępy rozmowy z panią Krystyną. Wreszcie położyłem się spać, ale nie mogłem zmrużyć oka. Jak ona to powiedziała? Moje życie uczuciowe jeszcze się nie skończyło? Nie jestem jeszcze starcem?

Oczywiście, że nie jestem. Sam niedawno myślałem, że mógłbym wziąć się za siebie, zacząć biegać, ćwiczyć, kupić jakieś nowe ubrania, zadbać o wygląd. Tyle że potem zapał minął, bo chyba nie bardzo wierzyłem, że to, jak wyglądam, ma jakiegokolwiek znaczenie.

A jeśli pani Krysia chciała mi dać coś do zrozumienia? Może delikatnie zasugerowała, że skoro tak doskonale nam się rozmawiało, kiedy odwiedziłem ją w szpitalu, i skoro oboje jesteśmy sami, to przecież moglibyśmy...

Właściwie co złego byłoby w tym, gdybym w poniedziałek kupił kwiaty i zaniósł je do sklepu? Gdybym przywitał ją po tym niespodziewanym urlopie tak, jak rzeczywiście czułem – jak kogoś bardzo oczekiwanego? Przecież szczerość jest godna pochwały. Jedynie fałszu należy się wstydzić.

A więc kwiaty. Może na przykład karminowe róże?



Powrót do pracy okazał się trudniejszy, niż się spodziewałam. Oczywiście nie dlatego, że się rozleniwiłam albo że w sklepie czekały mnie nowe wyzwania. Skądże. Może tylko Janeczka, która mnie zastępowała, zostawiła po sobie trochę bałaganu w portfelach i plecakach, ale uporałam się z tym w dwie godziny i znów wszystko było „po mojemu”.

Trudność polegała na czymś zupełnie innym i była raczej natury emocjonalnej. Otóż po raz pierwszy czułam się bardziej potrzebna w domu niż w pracy. Pies Olgierda zaczął jeść, zupełnie jakbyśmy mu „przepchali rurkę” (podobno tak to określił weterynarz). W niedzielę po powrocie z lecznicy mój syn zadzwonił i dziękował mi chyba z sześć razy za pomysł z mięsem, za każdym razem powtarzając, że uratowałam życie Ziyu. Udawałam, że nie robi to na mnie wrażenia, ale kiedy odłożyłam słuchawkę, rozplakałam się z radości.

Ku własnemu zdziwieniu zaczynałam lubić tego psiaka. Na swój sposób był nawet sympatyczny. Jak to mawiała moja mama: „tak brzydki, że aż ładny”. Chciało się dotknąć tych jego jedwabistych uszu i potarmosić. To była dla mnie zupełna nowość, nigdy dotąd nie miałam ochoty nawet przebywać w towarzystwie psa, a co dopiero go dotykać.

Jednak tym, co najważniejsze, był jego – jak to określił Olgierd – lęk separacyjny. Wyjaśnił mi, że szczeniak jest przerażony za każdym razem, kiedy jego pan wychodzi. Nie przyznałam się do tego przed synem, ale natychmiast wyszukałam w internecie artykuł na ten temat. Dowiedziałam się, że psy jako zwierzęta stadne czują się po prostu zupełnie zagubione, gdy tracą swoje stado. A Ziyó w swoim małym rozumku sądził, że traci je za każdym razem, gdy Olgierd wychodzi do pracy. Czuł się wtedy bezradny, wpadał w panikę i żeby się uspokoić, gryzł wszystko, co tylko wpadło w jego ząbki. Zupełnie jak ludzie, którzy z nerwów obgryzają paznokcie aż do krwi, wyjaśniał autor artykułu.

Doskonale wiedziałam, że gdybym była dłużej na zwolnieniu lekarskim, mogłabym pomóc. Ziyó zostawałby ze mną zupełnie tak samo, jak upragniony wnuczek kiedyś będzie zostawał z babcią Krysią. Rzecz w tym, że czułam się już dobrze, więc musiałabym kłamać na temat mojego zdrowia, a to nie wchodziło w grę. Brzydziłam się dawaniem lekarzom „kopert” i udawaniem, przez całe życie nie dałam nikomu łapówki i nigdy, przenigdy nie byłam na naciągany zwolnieniu.

Nie zmieniało to jednak faktu, że stojąc w sklepie i odpowiadając uprzejmie na pytania klientek, czułam się nie na miejscu. Powinnam być teraz w mieszkaniu Olgierda, myślałam; powinnam towarzyszyć pewnemu małemu, przestraszonemu pieskowi, który właśnie odzyskuje siły po kolejnym posiłku. Powinnam pomóc mojemu synowi, który po raz pierwszy przyznał, że tej pomocy potrzebuje.

A gdybym tak wzięła teraz urlop? Oczywiście był to najgorszy z możliwych terminów, bo właśnie w grudniu sprzedaż znacząco wzrastała i doskonale wiedziałam, że szef bardzo na mnie liczy w tym gorącym okresie przedświątecznym... Czy powinnam jednak przedkładać interes firmy, w której pracowałam, ponad sprawy mojego syna?

Te niewesołe rozmyślenia przerwał mi pan Stanisław, który zjawił się w sklepie koło południa. Ku mojemu nieopisanemu zdumieniu przyniósł bukiet ciemnoczerwonych róż. Spłoniałam się jak pensjonarka.

– Pani Krysiu – powiedział. – Żaden ze mnie mówca. Proszę więc tylko przyjąć zapewnienie, że brakowało tu pani okropnie... Że czekałem z niecierpliwością, kiedy pani wróci. A dzisiaj jestem naprawdę... naprawdę szczęśliwy.

Wręczył mi kwiaty, z kurtuazją pocałował w rękę, po czym zapytał jedynie, czy czuję się dobrze i czy niczego mi nie trzeba, a uzyskawszy odpowiedź, zwyczajnie uciekł. A przecież chciałam zaproponować mu herbatę na zapleczu.

Kiedy zostałam sama, kompletnie nie mogłam się skupić. Po pierwsze pomysł z urlopem odpadł definitywnie. Nie mogłam tego zrobić temu przemiłemu człowiekowi. On najwyraźniej na mnie liczył, byłam mu potrzebna. Po drugie – dlaczego kwiaty? Skąd te słowa „jestem szczęśliwy”? Czy to możliwe, że według pana Stanisława nasza znajomość zdecydowanie wykroczyła poza ramy służbowe i stała się przyjaźnią?

Albo czy to możliwe (choć nie, raczej absurdalne, jednak ta myśl wracała raz po raz), że podobam mu się... jako kobieta?

*

Tego wieczoru bardzo dotkliwie odczułam brak przyjaciółki, z którą mogłabym porozmawiać na tematy damsko-męskie. We wszystkich filmach i książkach główna bohaterka ma kogoś takiego – osobę, która wspiera i doradza, przytula, w razie potrzeby karki albo uświadamia, że się palnęło głupstwo. Ja nie miałam. Teraz, kiedy tak bardzo potrzebowałam czyjejś rady, zapytać, czy całe to zainteresowanie pana Stanisława moją osobą może być jedynie złudzeniem (albo – co gorsza – pobożnym życzeniem), odczułam ten brak dotkliwiej niż kiedykolwiek przedtem.

Właściwie dlaczego tak wyglądało moje życie? W którym momencie popełniłam błąd, co przegapiłam? Kiedy umarł mój mąż, byłam jeszcze młoda i chyba atrakcyjna. Oczywiście pierwsze miesiące były wypełnione wyłącznie żałobą – to chyba zrozumiałe. Jednak potem przyszedł dzień, w którym na swój sposób oswoiłam samotność, pogodziłam się z tym, że

jestem wdową. Czy mogłam wówczas coś zrobić, aby reszta życia wyglądała inaczej? I właściwie co by to miało być? Wyjazd do sanatorium w poszukiwaniu wrażeń? (O ile w opowieściach o sanatoriach tkwiło choć ziarenko prawdy). Zapisanie się do klubu korespondencyjnych przyjaciół? Ogłoszenie matrymonialne?

Osobie takiej jak ja, niemającej przyjaciół i samotnie wychowującej dzieci, nie było łatwo o nowe znajomości. Może gdybym pracowała w wielkim sklepie, gdzie załoga liczy kilka osób, znalazłabym sobie przynajmniej koleżanki. Ale ja byłam zawsze sama. W dodatku klientelę mojego sklepu stanowiły głównie kobiety. Zresztą nawet gdyby było inaczej, gdybym, dajmy na to, pracowała w sklepie z krawatami, czy to by coś zmieniło? Nie wierzyłam, że mogłoby mi się przytrafić *love story* w stylu *Pretty Woman*: on poszukuje krawatu na wielkie wyjście w interesach, ja mu doradzam, on mówi: „Niech mi pani towarzyszy, bo nie mam partnerki na ten wieczór”, ja się zgadzam i zakochujemy się w sobie... Oczywiście on jest bogaty, nieprzystojny przystojny, uwielbia dzieci i z miejsca staje się najlepszym przyjacielem Judyty i Olgierda...

A zatem nie. Nie wierzyłam już w bajki dla dużych dziewczynek. A nawet drażniły mnie takie bzdurne opowiadki. Prawdziwe życie wyglądało zupełnie inaczej: wokół mnie mnóstwo było ludzi samotnych, którzy nie mieskali romansów, ba, nie mieskali nawet okazji do romansów. Niby gdzie taka osoba jak ja miałaby tę okazję znaleźć? W dyskoncie spożywczym? Na przystanku autobusowym? Na wywiadówce u syna? Za ladą sklepu z torebkami?

Przez te wszystkie lata od śmierci męża nigdy nie zadawałam sobie takich pytań. Uwierzyłam, że cały mój świat to dzieci i ich sprawy. Pokornie przyjęłam do wiadomości, że jestem coraz mniej potrzebna i że to, co najlepsze w moim życiu, należy już do przeszłości. Mamiłam się wyobrażeniem siebie jako ukochanej babci, ponieważ to rozjaśniało choć trochę szarość, w której się znalazłam. Zrezygnowałam z marzeń o czymkolwiek innym. O drgnięciach serca, o wciąż drzemiącej we mnie

kobiecości, o bukietach czerwonych róż.

*

Nie planowałam tego. Po prostu rozmyślanie o tym, jak bardzo poddałam się nurtowi życia, jak bezwolnie z nim płynęłam, sprawiło, że poczułam coś w rodzaju cichego buntu. Bez namysłu chwyciłam telefon i wybrałam numer swojego szefa.

– Dobry wieczór – powiedziałam, usłyszawszy jego zdziwiony ton. – Mam nadzieję, że nie dzwonię za późno.

– Ależ skąd. Jest dopiero po siódmej.

– Ojej. Przez to, że tak szybko zapada zmrok...

– Tak. Człowiek ma wrażenie, że już środek nocy.

Zamilkliśmy oboje. Usiłowałam zebrać myśli, ponieważ sama nie wiedziałam, co we mnie wstąpiło, dlaczego do niego zadzwoniłam.

– Dziękuję za kwiaty – odezwałam się wreszcie. – Nie pamiętam już, kiedy dostałam taki piękny bukiet. Nie licząc oczywiście tych od syna na Dzień Matki. To było... To był bardzo miły gest.

– To ja chciałem pani podziękować – odpowiedział zduszonym głosem. – W ostatnich dniach... bardzo potrzebowałem życzliwej duszy. Pani nawet nie wie, jak bardzo mi pomogła. Czasem zwyczajna rozmowa, odrobina poświęconego czasu i uwagi... To znaczy więcej, niż można by sobie wyobrazić.

– Tak, wiem.

– Pani Krystyno...

Z jakiegoś irracjonalnego powodu przestraszyłam się tego, co mogłby jeszcze powiedzieć.

– Chciałabym zaprosić pana na podwieczorek – rzuciłam spontanicznie. – Parzę świetną herbatę i piekę doskonałą szarlotkę z cynamonem. Wiem, że to brzmi nieskromnie, ale...

– Wierzę pani – odparł szybko, jakby się bał, że rozmyślę się i zrezygnuję z tego pomysłu. – Nie wątpię, że szarlotka będzie mistrzowska. Bardzo chętnie skosztuję. I jeśli wolno, przyniosłbym nalewkę. Ostatnio znalazłem jeszcze jedną butelkę malinówki. Musi pani spróbować... Po prostu pachnie latem. Ciężkimi, nabrzmiętymi od soku malinami.

– Teraz ja z kolei muszę powiedzieć, że panu wierzę. – Roześmiałam się. – Ale proszę mi obiecać, że to będzie dosłownie naparsteczek. Ja w zasadzie nie piję alkoholu...

– Oczywiście. Naparsteczek – powtórzył, a barwa jego głosu upewniła mnie, że uśmiecha się szeroko. – A kiedy ta szarlotka? Bo brzmi tak apetycznie. Niemal poczułem zapach cynamonu. Nie mogę się doczekać.

– W środę – odpowiedziałam, ponieważ uznałam, że potrzebuję wtorkowego popołudnia na zakupy i wysprzątanie domu. – Zaraz, niech się zastanowię. Zamknę sklep o siedemnastej, o osiemnastej wsunę szarlotkę do piecyka, na dziewiętnastą będzie gotowa. Czy lubi pan do szarlotki lody śmietankowe?

W słuchawce usłyszałam jęk zachwytu.

– Pani Krystyno – szepnął mój szef. – Przecież to, co pani teraz robi, jest wyrafinowaną torturą. Nie wytrzymam do tej środy!



Poniedziałkowy wieczór zapowiadał się bardzo przyjemnie. Ziyó spał po posiłku, ja miałem posprawdzane opisy krajobrazu, a Sara postawiła na stole butelkę wina.

– Czyli jednak dziecka nie ma? – upewniłem się.

– No nie ma.

Nie płakała, czyli był pewien postęp.

– Zrobiłaś test?

– Nie, ale dostałam okres. Zadzwoiłam też do mojego ginekologa, żeby wypytać o te wszystkie pseudoobjawy ciąży. Sam widziałeś, że miałam powiększone piersi...

Pokiwałem głową, jednocześnie oceniając, czy wróciły do normalnego rozmiaru. Dziwne, zaledwie kilka dni wcześniej ten temat sprawiał, że przyspieszało mi tętno, a na policzkach wykwitał zdradliwy rumieniec. Teraz zaś Sara stała się kimś w rodzaju istoty aseksualnej – i tylko nie wiedziałem, dlaczego tak się stało. Czy to efekt tych naszych rozmów o ciąży, o fizjologii, wymiotach i tak dalej? Czy raczej zadziałał sam fakt, że ona tak bardzo chciała zostać matką? Może pożądanie ulotniło się dokładnie na tej samej

zasadzie, na jakiej znika, gdy patrzy się na kobiety karmiące piersią. Kobięcy biust, jak by nie patrzeć, potężny wabik seksualny, staje się wówczas czymś równie pięknym, ale absolutnie niepociągającym erotycznie. Zamiast podniecenia wywołuje rozczulenie. W każdym razie tak było ze mną.

Tak czy owak, jakiegokolwiek były tego przyczyny, z zadowoleniem skonstatowałem, że uwolniłem się od swojej obsesji na punkcie Sary. Teraz stała się po prostu przyjaciółką – kimś, komu można powiedzieć o problemach, poprosić o pomoc albo radę...

A, no właśnie, o pomoc.

– Słuchaj, Saro – zacząłem. – Trochę nie na temat, choć w sumie nadal chodzi o dziecko... Tyle że psie dziecko. Pomyślałem sobie... Czy twoi rodzice nie zechcieliby szczeniaka? Mieszkają teraz na wsi, mają warunki...

Sara dołała sobie wina, bo zdążyła już wypić. Moje nadal połyskiwało rubinowo w kieliszku. Jakoś nie miałem tego dnia ochoty na wino. W ogóle czułem się dziwnie niespokojny i chyba jedyne, na co miałem chęć, to telefon do pani Małgosi, aby zapytać, czy poszłaby ze mną na kawę i podzieliła się swoją wiedzą o psach.

– A wiesz, musiałabym zapytać – odpowiedziała Sara. – W zasadzie co im szkodzi? Są na emeryturze, mają mnóstwo czasu... Choć z drugiej strony są dwa problemy. Po pierwsze oni lubią podróżować, a chyba nie wszędzie można zabrać psa, prawda? Więc byłyby kłopoty, trzeba by go gdzieś podrzucać. Sam wiesz, jak to jest.

– Wtedy ja bym go brał! – wtrąciłem szybko. – Przecież pewnie nie wyjeżdżają jakoś bardzo często.

– A po drugie mama odnalazła nową pasję: ogrodnictwo. Obawiam się, że pies może jej niszczyć...

– Ale dlaczego miałyby niszczyć?! – oburzyłem się trochę nieszczerze. – To jest psi aniołek. On tylko... No wiesz, to ten lęk separacyjny. Ale kiedy nie zostaje sam, nie przejawia żadnych zachowań destrukcyjnych. Zresztą

sama widziałaś: po jedzeniu pokręcił się trochę, pobawił gałgankiem, wysusiał się i teraz śpi jak niemowlę.

– A właśnie, dlaczego on ciągle robi na gazety? Nie możesz go wyprowadzać na skwerek?

– Jeszcze nie – wyjaśniłem. – Weterynarz powiedział, że obowiązuje go kwarantanna, dopóki nie zakończy cyklu szczepień.

– A kiedy go zakończy?

– Jeszcze nawet nie zaczął. Był za słaby, nie wolno było szczepić. W przyszłym tygodniu dostanie pierwszą dawkę.

– O rany – westchnęła Sara. – To masz przekichane. Jesteś skazany na siuski i kupki...

– Bardziej się martwię czymś innym – odparłem. – Piesek w tym wieku potrzebuje socjalizacji, bo potem może być lękliwy. Jak mam go nauczyć, że taki na przykład rower to nic groźnego, że nie musi się bać innych psów, autobusów, pociągów... skoro nie wolno mi go nigdzie zabierać? Wyrośnie mi na dzikusa!

Sara przyglądała mi się uważnie.

– Napij się wina – powiedziała. – A następnie spójrz mi prosto w oczy i wyznaj wreszcie prawdę: ty chciałbyś sobie zostawić tego kundla.

– No coś ty! Przecież pytałem o twoich rodziców... Szukam mu nowego domu!

– Tere-fere! Powiedziałeś wyraźnie: „wyrośnie mi na dzikusa”. Tak się wyraziłeś!

– Łapiesz mnie za słówka!

– Oczywiście – zaśmiała się triumfująco. – Bo takie właśnie „słówka”, które się czasem wymykają spod kontroli, mówią więcej prawdy niż starannie przygotowana przemowa. A teraz mam jeszcze jedno pytanie: skąd ty właściwie wiesz tyle o psach? Skąd ten fachowy język? Jakaś „socjalizacja”?

Jakieś „zachowania destrukcyjne” i „lęki separacyjne”?

Była moją przyjaciółką i zawsze byliśmy wobec siebie szczerzy. No, oczywiście nie wyznałem jej nigdy, że miałem sny erotyczne o niej i że nade wszystko interesowały mnie jej piersi i pośladki, ale poza tym nie ukrywałem przed nią niczego. A jednak teraz nie mogłem odpowiedzieć szczerze na to pytanie.

Ponieważ uświadomiłem sobie, że nie jestem jeszcze gotowy na rozmowę o pani Małgosi Berezie i o tym, jakie wrażenie robiły na mnie jej delikatne, szczupłe dłonie, jej głos, spojrzenie jej ciemnych oczu, ta czułość, którą okazywała Ziyó i której usiłowała nie okazywać Marcinowi (bo chłopiec wyraźnie sobie tego nie życzył, wstydził się przyjmować mamine całusy)...

– A wczoraj byłeś u stolarza, tak? – paplała dalej Sara, która najwyraźniej potraktowała poprzednie pytania jako retoryczne. – I co? Ma coś zbudować dla Ziyó? Zagródkę jakąś czy co?

– Specjalne krzesło z barierką. Do karmienia. Trudno to wytłumaczyć...

Zamierzałem wstać i przynieść schemat tego przedziwnego mebla, ale ona właściwie chyba nie była zainteresowana, bo już mówiła o czymś innym.

– Ja mam teraz tyle czasu w weekendy... Wczoraj wieczorem nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Przedtem Henryk dbał o to, abyśmy się nie nudzili. A to hotel w górach, a to pensjonat nad morzem, to znów chata nad jeziorem...

– Taaa, gruby portfel trochę ułatwia takie rozrywki – zauważyłem sarkastycznie.

Sara rzuciła mi spojrzenie pełne wyrzutu.

– Ty chyba nadal sądzisz, że byłam z nim dla pieniędzy – powiedziała. – Oluś, to nie tak, zrozum! Szukałam bezpiecznego portu, takiej przystani... Zresztą nie umiem znaleźć słów na określenie tego, czego szukałam. Cokolwiek to było, nie znalazłam tego u Henryka, choć jeszcze niedawno wydawało mi się, że już jestem u celu. A jeśli mówię o tym samotnym

weekendzie i że się zwyczajnie nudziłam, to mam na myśli... Że to jedyne, czego mi teraz brakuje. Rozumiesz? To nie mogła być miłość, bo przecież tęskniłabym za nim, a nie za wyjazdami, prawda?

– Prawda – potwierdziłem z przekonaniem. – To nie mogła być miłość.

*

Pożegnała się i wróciła do siebie dopiero parę minut przed północą. Jeszcze miesiąc wcześniej zaproponowałbym, żeby została. Tyle że jej obecność nie była już dla mnie źródłem ekscytacji. Pod prysznicem analizowałem własne uczucia. Nie przestałem jej lubić, nie miałem do niej o nic żalu. Zmieniło się tylko to, że nie była już dla mnie obiektem pożądania.

Było bardzo późno, lecz doskonale wiedziałem, że Adam nie śpi. Znałem go jak siebie samego. Wybrałem jego numer.

– Słuchaj, ja jeszcze w tej sprawie, o której ostatnio rozmawialiśmy – zacząłem, kiedy odebrał. – No wiesz, że Sara przestała mnie pociągać. Myślisz, że staję się impotentem?

– Ale co? Była sytuacja podbramkowa i musiałeś się wycofać? – zapytał czujnie.

– Nie, żadnych „sytuacji podbramkowych”. – Zastanowiłem się przez chwilę. – Wiesz, problem w tym, że nawet nie dążę do tego, żeby zaistniały. Dawniej siadałem obok niej na kanapie, żeby chociaż poczuć ciepło jej uda...

– Teraz masz tylko pół kanapy – przypomniał mi.

– Tak, ale nie w tym rzecz. Jej uda przestały mnie interesować same w sobie.

– A czyje uda cię teraz interesują?

Przed oczyma mignęły mi szczupłe nogi pani Berezy, ale ten obraz zniknął równie nagle, jak się pojawił. Pozostał po nim jakiś dziwny rodzaj poczucia winy. Jakby mój umysł uznał za nieprzyzwoite, że ośmieliłem się w ogóle pomyśleć w tym kontekście o pani Małgosi.

– Niczyje – odparłem. – Właśnie dlatego pytam, czy to nie jest jakiś niepokojący objaw.

– Nie wiem – rzekł Adam z namysłem. – Słuchaj, poluję na bilety *last minute*. Przyjeżdżam lada dzień i wtedy cię zdiagnozuję. Nie mów mamie, zrobię jej niespodziankę.

– Gdybym uprzedził, upichciłaby coś pysznego.

– Jeszcze zdąży upichcić. Idą święta, zapomniałeś? Tak czy owak, szykuj się na mój przyjazd.

– Tylko ta kanapa...

– Poszukamy jakiegoś materaca. A pies jak? Nadal puszcza pawie czy już nie?

– Od soboty nie puszcza – odparłem z dumą. – Nabiera ciała, robi się całkiem ładny. A jaki mądry...

– Dobra, dobra – przerwał mój przyjaciel. – Widzę, że kompletnie ci odbiło. No, kończę, bo przynudzasz i zaczynam ziewać.

– Poczekaj, powiem ci to samo następnym razem, kiedy zadzwonisz i zaczniesz opowiadać o Siobhan.

– Ja też cię kocham. Cześć.

Odłożyłem telefon, zgasilem światło i położyłem się spać. Sen jednak nie nadchodził. Leżałem więc w ciemności, próbując zrozumieć, co się ze mną dzieje. Wypełniała mnie mieszanina sprzecznych uczuć: wielkiej troski o Ziyo, która w przedziwny sposób przeplatała się z radością i dumą, że mały wychodzi na prostą, czulej tkliwości na myśl o pani Małgosi, nadziei i chyba nawet dziwnej pewności, że kolejne dni przyniosą jakieś pozytywne zmiany, podekscytowania na myśl o przyjeździe Adama i nadchodzących świętach. Jednym słowem: po raz pierwszy od kilku lat czułem, że w moim życiu COŚ się dzieje. Coś dobrego.



Wytarłam zlew do sucha i z zadowoleniem rozejrzałam się po kuchni. Lubiłam takie wieczory. Marcin czytał do późna (odkrył właśnie *Serię niefortunnych zdarzeń* i zaśmiewał się ze scen z niejakim Słoneczkiem), a potem zasnął z książką w ręce. Co do mnie, przygotowałam sos pieczarkowy na następny dzień i upiekłam mięso. Rano ugotuję jeszcze ziemniaki, po pracy wystarczy tylko odgrzać.

Miałam w sobie dziwną radość. Nie wiedziałam, z czego wypływa to zapomniane już uczucie. Od dawna nie czułam się tak lekko, nie było we mnie takiej ciekawości następnego dnia, optymizmu i przekonania, że wszystko jest na dobrej drodze. Kiedy położyłam się spać i miałam wreszcie chwilę, by zastanowić się nad tym wszystkim, zrozumiałam, że źródłem tych pozytywnych uczuć jest wspomnienie sobotniej wyprawy do mojego brata.

Pan Olgierd przyjechał po nas odrobinę za wcześnie – jak wyjaśnił, nie mógł się doczekać. Było mi głupio kazać mu czekać na parkingu, poprosiłam więc, aby wszedł do mieszkania i zaczekał, aż Marcin dokończy obiad. Trochę się wstydziłam, że mieszkamy tak skromnie, potem jednak uznałam, że on sam nie wygląda na krezusa, jeździ samochodem, który najlepsze lata ma za sobą... A poza tym jest nauczycielem. Na pewno nie zszokują go stare meble i trochę wytarte obicia krzeseł.

Marcin na widok pieska natychmiast stracił apetyt. Chciał porzucić napoczęty obiad i wziąć tego uroczego kundelka na ręce. Doskonale wiedziałam, że zimnego nie zje, musiałam go zmuszać, aby wkładał do buzi kolejne kęsy. Nawet żelazne argumenty w stylu „będziesz najmniejszy z klasy” nie działały. Wreszcie pan Olgierd powiedział krótko:

– No, Marcin, wsuwaj szybciej. Raz dwa i zjedzone.

I mój syn po prostu zjadł wszystko, co miał na talerzu.

Kiedy jechaliśmy do Grzegorza, piesek leżał na kolanach Marcinka, który głaskał go z ogromnym zapalem.

– Zobacz, mam, jakie on ma fajne uszy – szepnął, a potem rzucił spojrzenie na swojego nauczyciela, którego oczy odbijały się w lusterku wstecznym. – Wspaniałe – poprawił się natychmiast, już głośniejszym głosem. – Miłe w dotyku.

Pan Olgierd roześmiał się serdecznie. Podobał mi się jego śmiech.

– Nie ma nic złego w słowie „fajny”, kiedy jest używane w codziennym języku – powiedział do Marcina. – Wczoraj na lekcji wypisywaliśmy te wszystkie przymiotniki, abyście pamiętali, że słów potocznych nie należy używać w wypracowaniach.

– Chyba że w dialogach – dopowiedział Marcinek. – Kiedy chcemy scharakteryzować bohatera, że on właśnie tak mówi, a nie eleganckim językiem.

– Dokładnie o to chodzi! Zapamiętałeś! – pochwalił go pan Olgierd z uznaniem w głosie.

Nawet ja sama poczułam dumę, a co dopiero mój synek. Pomyślałam, że w gruncie rzeczy niewiele trzeba, aby sprawić człowiekowi przyjemność. Jedno słowo, jakiś drobny gest – a świat staje się przyjaźniejszym miejscem. A gdybym tak spróbowała codziennie mówić ludziom miłe rzeczy? Czy to by coś zmieniło? Może niekoniecznie dla mnie, ale dla nich – może dzięki temu ktoś miałby lepszy dzień, czyjeś problemy wydałyby się błahe, ktoś by się

uśmiechnął...

– Teraz w lewo? – upewnił się pan Olgierd, wyrывая mnie z zamyślenia. – To tutaj? Bo GPS mi mówi, żeby skręcić...

– Tak, proszę wjechać na to podwórko. Brat otworzył nam bramę.

Kiedy wysiadaliśmy, Marcinek ostrożnie podał psiaka nauczycielowi, a ten wziął go na ręce tak delikatnie, z taką czułością, jakby to było dziecko. Postanowiłam od razu wcielić w życie mój pomysł sprawiania ludziom przyjemności. Zwłaszcza że to, co chciałam powiedzieć, było zupełnie szczere.

– To niesamowite, z jaką troską zajmuje się pan tym szczeniakiem – rzuciłam odważnie. – Nie ma pan pojęcia, jak mi to imponuje.

Popatrzył na mnie jakoś szczególnie i poruszył się tak, jakby zamierzał mnie przytulić albo pocałować w policzek. To nie był gest, nawet nie pół gestu – ale poczułam się, jakbym miała w piersi spłoszonego ptaka zamiast serca. Trzepotało jeszcze przez kilka minut, kiedy wchodziliśmy do warsztatu Grześka, kiedy mężczyźni uścisnęli sobie dłonie i zaczęli rozmawiać o tym, jak powinno być skonstruowane krzesło do karmienia.

Ponieważ w ogrodzie mojego brata nie bywały żadne psy, dostaliśmy z Marcinkiem pozwolenie, aby zabrać szczeniaka na trawkę.

– Ziyó ma kwarantannę – wyjaśnił pan Olgierd zdumionemu Grześkowi. – Weterynarz mi tłumaczył, że na skwerkach odwiedzanych przez czworonogi mogą być bardzo groźne wirusy. Par... Zapomniałem, jak to się nazywa. A on nie był jeszcze szczepiony.

– Parwowiroza – wtrąciłam.

Wszyscy trzej spojrzeli na mnie z podziwem.

– Pani naprawdę dużo wie o psach – westchnął pan Zawada. – Chyba się zapiszę na jakieś korepetycje czy coś.

– Ależ zapraszam – odparłam ze śmiechem, usiłując nie okazać, jak

bardzo łaknę takich pochwał. – Nie wiem, czy okażę się dobrym nauczycielem, ale chętnie podzielę się wszystkim, co wiem.

*

Rozmyślałam o tym wszystkim długo w nocy, wspominałam, jak potem bawiliśmy się z psiakiem w ogrodzie, jak Grzesiek z panem Olgierdem dołączyli do nas, Grześ zawołał swoją córeczkę i dzieciaki turlały się z Ziyó po wilgotnej trawie, choć było okropnie zimno. Nie miałam serca zakazać tego Marcinkowi, bo mimo ryzyka przeziębienia cudownie było patrzeć, jak beztrąsko się bawi. Na szczęście dość szybko zaczęło się robić ciemno i dzięki temu harce zostały przerwane.

– No, pora na nas – powiedział wówczas pan Olgierd. – Dziękuję wam za ten dzień. Ziyó dostał dzisiaj dwie fantastyczne lekcje: po pierwsze że ludzie, mali czy duzi, są częściej dobrzy niż źli. Może to zatrze w jego psiej główce wspomnienie tamtego potwora, który wrzucił go do śmietnika. A po drugie że na świecie istnieje trawa i na tej trawie można się wysiusiać oraz pobawić.

Kiedy podwiózł nas pod blok i jeszcze raz podziękował, patrzył mi w oczy w taki sposób, że po raz drugi tego dnia odniosłam wrażenie, jakby chciał pocałować mnie w policzek. Ja z kolei bardzo pragnęłam zaprosić go na górę. Wyobrażenie takiego wspólnego wieczoru – Olgierd i ja pijemy herbatę, gawędząc o wychowaniu szczeniaka, a Marcin bawi się z psem – wywołało ciepło w moim sercu. Nie odważyłam się jednak tego zaproponować. On był wychowawcą mojego syna, nie wiedziałam, czy taka sytuacja nie zostałaby potraktowana jako nadmierne spoufalanie się.

Westchnęłam ciężko i zapaliłam nocną lampkę. Wszystko wskazywało na to, że sen odszedł na dobre. Zamiast rozmyślać o czymś, co się nigdy nie wydarzy, postanowiłam poczytać książkę. Miałam ochotę na jakąś prostą historię, najlepiej o miłości. Koniecznie z dobrym zakończeniem.



Ostatnie dni bardzo mi się podobały. Po pierwsze nie chodziłem już głodny. Miałem znacznie więcej siły, biegałem i skakałem, i prawie nigdy nie chwiałem się na łapkach. Po drugie byliśmy na wielkiej wyprawie, bawiłem się z małymi ludźmi i poznałem bardzo dużo różnych zapachów, a Oluś pochwalił mnie, kiedy nasikałem na wilgotne zielone coś, co nazwał trawą. Po trzecie nie miałem już tego paskudnego uczucia w gardle i jedzenie ze mnie nie wypadło – chyba że akurat zjadłem coś, co właściwie nie nadawało się do jedzenia.

Tak właśnie było, kiedy Olusiowi spadł długi przedmiot z włoskami z jednej strony, który wcześniej wkładał sobie do ust. Cokolwiek to było, wyglądało trochę jak ogonek mojego brata. Oluś chyba nie zauważył, że mu spadło. Wziąłem ten niby-ogonek w zęby i zaniósłem na swoje posłanie, a potem o nim zapomniałem, bo Oluś zawołał mnie i głaskał, powtarzając moje imię. Mówił coś jeszcze, ale oczywiście nie rozumiałem ani słowa.

– Mądry piesek! Zostaniesz teraz sam, ale nie trzeba się bać, bo pan wróci do ciebie za kilka godzin. Czytałem, że możesz poczuć się pewniej, słysząc ludzkie głosy, więc zostawię ci włączone radio, zgoda? A kiedy przyjdę, pobawię się z tobą i będzie tyle głasków, że aż zaśniesz z tej błogości.

Wycalał moją głowę, potarł uszy, a potem niestety zamknął mnie znowu w pomieszczeniu pachnącym siuškami i znów zacząłem się okropnie bać, że już nigdy po mnie nie wróci. Jak zawsze trochę piszczałem, żeby go przywołać, ale to nic nie dało. Słyszałem jakieś głosy zza drzwi, jednak żaden z nich nie należał do Olusia, a ja tylko przy nim czułem się naprawdę bezpieczny.

Wreszcie przypomniałem sobie o niby-ogonku leżącym na moim posłaniu, więc poszedłem go porządnie obwąchać. Pachniał trochę Olusiem, a trochę śmiesznym białym czymś, co Oluś czasami wyciskał z pojemniczka, nakładał na ten przedmiot i wkładał sobie do ust. Musiało to być coś do jedzenia, ale nie wydawało się smaczne.

Tak czy owak, sprawdziłem, jak to jest, kiedy się wkłada do pyska te włoski. Dziwne uczucie. Trochę mnie drapały w podniebienie, ale kiedy porządnie je pogryzłem, zrobiły się znacznie bardziej miękkie. Potem dość długo żułem resztę tego przedmiotu. Wcale nie chciałem go połykać, ale trochę dostało się głęboko na język, a wtedy, chcąc nie chcąc, przełknąłem. Było bez smaku i właściwie nie miałem pojęcia, dlaczego zjadłem także resztę.

Poczułem się potem źle, jakby jakiś wielki ciężar zaległ mi w przełyku, ale choć tym razem nie miałbym nic przeciwko temu – nic mi nie wypadało. Zamiast tego w pysku zbierało mi się mnóstwo śliny. Czułem się coraz gorzej. Położyłem się i po jakimś czasie zasnąłem.

Obudził mnie głos Olusia.

– Ziyo, co jest, ty śpiochu?! Pan wraca do domu, a pies nie merda na jego widok?!

Z trudem podniosłem powieki. Bardzo trudno mi się oddychało. Chciałem wstać, ale siły mnie opuściły.

– Co się stało, piesku?! – W głosie Olusia wyczuwałem ogromne napięcie, więc usiłowałem zamerdać, żeby go uspokoić. – Czemu ty tak charczysz?

Znów próbowałem się podnieść, a wtedy niemal natychmiast wylała się ze mnie jakaś śmierdząca ciecz z kawałkami tego niby-ogonka, który wcześniej niechcący zjadłem. Bardzo bolało mnie gdzieś głęboko w gardle.

– Boże drogi, toż to moja szczoteczka! – zawołał Oluś. – Ale skąd ten płyn? Przecież nie dawałem ci nic do picia! Dobrałeś się do kibelka czy jak?

Nie rozumiałem, co to jest kibelek i o co właściwie chodzi. Nie miałem na nic siły, więc wysiusiałem się tuż obok posłania, po czym położyłem znowu. Oddychanie stawało się coraz trudniejsze.

Oluś wytarł kałużę, a potem wyszedł, na szczęście tym razem zostawiając otwarte drzwi. Słyszałem, że coś mówi. Pewnie znowu rozmawiał z telefonem.

– Tak, dziękuję, za chwilę będziemy – powiedział wreszcie, po czym pojawił się znowu, wziął mnie na ręce i zaniósł do straszego zwierza zwanego autem.

*

Ocknąłem się w pomieszczeniu, w którym przedtem byłem już dwa razy. Pamiętałem te zapachy – pachniało tam bardziej zwierzętami niż ludźmi. Wystraszyłem się, że znów będą mi wtykać coś do gardła, ale na szczęście ten drugi człowiek tym razem tylko mnie dotykał, przykładając chłodny przedmiot do mojej piersi i do szyi, zajrzał mi do pyska i pouciskał brzuch.

– Podejrzewam, że nic nie dotarło do żołądka, pewnie te kawałki plastiku zatrzymały się w przełyku – powiedział wreszcie. – Zresztą nawet gdyby, to zapewne po prostu je wydali. Nie ma pan pojęcia, co psy zjadają. Na szczęście rzadko kończy się to operacją. Na ogół wystarczy podać parafinę, żeby psa przeczyszcilo. Ale raz na przykład miałem na stole jamnika, który zeżarł rajstopy swojej pani.

Oluś jakby się zakrztusił.

– I też je... wydalil? – wyjąkał.

– Nie, to akurat mogło się skończyć źle, tam już się zaczynała martwica.

Oczywiście musieliśmy operować. A rajstopy były, proszę sobie wyobrazić, prawie nienaruszone.

– Czyli co? Wciągnął je bez gryzienia?

– Coś w tym rodzaju.

Oluś wyglądał jakoś inaczej niż zwykle. Miał dziwny kolor twarzy.

– A wracając do Ziyó – dodał ten drugi człowiek. – To mi wygląda na zachłystowe zapalenie płuc. U psów z achalazją to dość częste. Proszę się przygotować na to, że ilekroć zje coś takiego...

– Nie jestem w stanie go upilnować – rzekł Oluś, a w jego głosie znów było słychać napięcie i zdenerwowanie. – Już naprawdę mi się wydawało, że wszystko usunąłem z zasięgu jego zębów. Tyle że ten diabeł zawsze coś znajdzie. A zresztą nawet jeśli nic nie znajdzie, to zeżre własne legowisko. Przecież nie mogę go zostawić na twardych kafelkach.

– Oczywiście, że pan nie może. Proszę się nie martwić, psy wyrastają z takiego bezmyślnego gryzienia.

– Ale teraz... On tak charczał, jakby się dusił.

– No, już mówiłem. Zapalenie płuc. Sprawa jest poważna, ale damy radę.

*

Nie zapamiętałem, co było dalej. Chyba jeszcze długo leżałem na zimnym stoliku, podczas gdy ludzie mnie dotykali. Ale równie dobrze mogło mi się to śnić, bo snów miałem sporo – trochę o tej miłej kobiecie, która miziała moje uszy tak, jakby chciała je nawinąć na palce, a trochę o małych ludziach, którzy bawili się ze mną zupełnie jak Brat i Siostry. W każdym razie obudziłem się dopiero w dobrze znanym mieszkaniu, wśród zapachów Olusia i mięska. A na dodatek było mi najlepiej na świecie, ponieważ obok mnie leżał Oluś. Nigdy dotąd nie pozwalał mi spać obok siebie na tym wielkim legowisku, które nazywał łóżkiem. Tej nocy najwyraźniej doszedł do wniosku, że samemu jest zimno. Co do mnie, od dawna byłem zdania, że lepiej śpi się w gromadzie. Najbardziej lubiłem, gdy wraz z rodzeństwem

tworzyliśmy taki ciepły stosik, gramoliliśmy się na siebie, jedno wsadzało pyszczek pod ucho drugiego i dzięki temu wszystkim nam było ciepło i bezpiecznie. Jednak od czasu jak zostałem sam, nie miałem się w kogo wtulać. Teraz wreszcie Oluś wziął mnie do siebie i zasnął z twarzą wtuloną w okolice moich fafli. Było to bardzo miłe. I choć było mi trochę niewygodnie i bardzo chciało mi się siusiu, uznałem, że żadna siła na świecie nie skłoniłaby mnie w takiej chwili do zmiany pozycji. Mogłem tak leżeć choćby do końca świata.



Obudziło mnie dziwne, wilgotne ciepło pod plecami. Jeszcze przez jakiś czas leżałem, nie otwierając oczu, usiłując złapać ostatnie strzępki snu. To był dobry sen, łagodny i kojący. Zapamiętałem z niego panią Małgosię i Marcina oraz radosny, jakby roześmiany pyszczek Ziyó. Gdyby ktoś mi kiedyś powiedział, że zwierzęta potrafią się uśmiechać, popukałbym się w czoło. Teraz wiedziałem na pewno, że nie tylko to potrafią, ale też robią to częściej niż ludzie.

Po chwili zaniepokoiła mnie jednak ta wilgoć. Dlaczego odnoszę wrażenie, że leżę na czymś mokrym? Załedwie w mojej głowie sformułowało się to pytanie, przyszło przypomnienie: wczoraj wieczorem po wizycie u weterynarza czułem się paskudnie. Uznałem, że pogorszenie stanu Ziyó było moją winą – to ja nie dopilnowałem, aby w zasięgu jego niszczycielskich ząbków nie było żadnego przedmiotu. Wprawdzie nie umiałem sobie odpowiedzieć na pytanie, jakim cudem mógł zdobyć moją szczoteczkę do zębów – nie zmieniało to jednak faktu, że gdybym odłożył ją na miejsce, czyli na półkę pod lustrem, nic takiego by się nie stało.

Oczywiście dostał leki, po których zasnął jak kamień. Najwyraźniej oddychało mu się nieco łatwiej, bo tak nie charczał. Ja jednak byłem wystarczająco przerażony. Bałem się, że jeśli odłożę go na legowisko, on

zacznie dławić się własną śliną, a ja nawet nie będę o tym wiedział. Dlatego złamałem najświętszy z zakazów, niepisaną, ale najbardziej oczywistą zasadę – wziąłem go do swojego łóżka.

Dopiero teraz, kiedy wilgoć pod plecami zaczynała stygnąć i odrobinę szczypać, zorientowałem się, jak poważny był to błąd. Szczeniak w tym wieku robi jeszcze w nocy siusiu. Dopóki Ziyo wymiotował, był tak odwodniony, że siusiał niewiele, ale odkąd zaczął przybierać na wadze, po każdej nocy na gazecie były dwie lub nawet trzy małe kałuże. Czasem jedna większa. I wszystko wskazywało, że teraz także mieliśmy do czynienia z jedną większą. Tyle że zamiast na gazetę trafiła wprost na materac mojego łóżka!

Uświadomiwszy sobie, na czym leżę, wyskoczyłem z pościeli jak z procy i zapaliłem światło. Ziyo patrzył na mnie z niemym wyrzutem – widocznie go obudziłem. Chyba czuł się już znacznie lepiej, bo oddychał zupełnie normalnie. Na prześcieradle widniała spora plama. W sypialni śmierdziało psim moczem, jakżeby inaczej. Moja piżama miała dokładnie ten sam zapach.

– Jasny gwint! – zawołałem z rozpaczą. – Coś ty, cholero jedna, narobił! Najpierw zjadasz kanapę, a potem sikasz w jedyne łóżko, jakie mi zostało?!

Stulił te swoje trójkątne uszka i popatrzył na mnie w taki sposób, że poczułem się jak ostatnia świnia.

– Wątpię, byś wiedział, o co mi chodzi – mruknąłem, stawiając go na podłodze. – Masz mały, psi mózdzek. Ci wszyscy, którzy twierdzą, że psy są bardzo inteligentne, chyba nigdy nie mieli psich szczochów na piżamie.

Ziyo nie słuchał. Podreptał do przedpokoju i tam zrobił dwa eleganckie bobki na gazetę. A zatem wie, gdzie powinien się załatwiać, pomyślałem. Tylko z jakiegoś powodu w nocy tam nie dotarł. Może bał się zejść z wysokiego łóżka? Może po prostu zbyt głęboko spał – bo to był zapewne pierwszy raz, kiedy całą noc mógł być przytulony do człowieka? Nie spodziewałem się, aby ten, kto wyrzucił go na śmieci, w ogóle go przytulał.

– Cóż, w zasadzie to ja ponoszę winę – przyznałem. – Po kiego grzyba

brałem cię do łóżka? Jedno jest pewne: to był pierwszy i ostatni raz.

Ziyo rzucił mi spojrzenie zranionego jelonka, po czym udał się do kuchni i zaczął węszyć. Zapewne był głodny. Tymczasem ja nie wiedziałem, w co ręce włożyć. Najpierw się wykąpać czy raczej w pierwszej kolejności zająć się łóżkiem? I właściwie jak się nim zająć? Wyszorować czy zwyczajnie pozwolić wyschnąć? Zapach moczu pewnie za jakiś czas by się ulotnił, ale to przecież nie oznacza, że tych siuszków już tam nie będzie. Będą, tylko suche. Nie, trzeba je jakoś usunąć.

Ponieważ jednak musiałem szykować się do pracy, zdjąłem tylko pościel i wrzuciłem ją do pralki, po czym przypomniałem sobie, że w środku nie ma kołnierza. Zacząłem miotać się jak oszalały w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłbym ukryć zasikane prześcieradło i moją piżamę, żeby smrodek nie roznosił się po całym mieszkaniu. Wreszcie zawinąłem mokre szmaty w worek na śmieci. Następnie błyskawicznie wziąłem prysznic i nakarmiłem Ziyo, drżąc z obawy, aby nie zwymiotował. Wyglądało jednak na to, że wszystko jest w porządku.

– Idę do pracy – oznajmiłem mu. – Zostajesz w łazience. Masz nie jeść szczoteczek do zębów ani w ogóle niczego. Cholera, nie mam czym umyć zębów. Wczoraj po raz pierwszy w dorosłym życiu poszedłem spać z nieumytymi zębami. A teraz co? Mam tak iść do pracy? A jeśli akurat przyjdzie pani Małgosia i zechce mnie pocałować?

Wypowiedziawszy te słowa, zatrzymałem się w pół kroku. Już wcześniej zauważyłem, że rozmawiając z psem, mówi się niekiedy rzeczy, których nie powiedziałoby się nikomu innemu. Ale żeby aż tak? Przecież nawet nie myślałem o mamie Marcina w ten sposób... Była ładną kobietą, owszem. I robiły na mnie wrażenie te wszystkie cechy, dzięki którym wydawała się tak kobieca. Ta jej kruchość, delikatność, tak różna od rozbuchanego seksapilu Sary. Ta czułość, kiedy odgarniała synkowi włosy z czoła. To ciepło i zwyczajna sympatia dla świata, dla ludzi i dla Ziyo... Ale nie fantazjowałem na jej temat! Nie miałem takich myśli jak wcześniej o Sarze! Nie wyobrażałem jej sobie nago i nie marzyłem o...

– Absolutnie! – wyjaśniłem jeszcze mojemu psu, który tymczasem siedział grzecznie w łazience i przyglądał mi się z lekko przekrzywioną główką. – Żadnych erotycznych fantazji!

Miałem wrażenie, że jego spojrzenie stało się nieco ironiczne.

– Jak dorośniesz, to zrozumiesz – podsumowałem z wyższością, po czym zamknąłem mu drzwi przed pyskiem.

Miałem tylko piętnaście minut na dotarcie do szkoły, a tymczasem jak na złość na jednym ze skrzyżowań utworzył się korek. Stałem w takim miejscu, że nie było mowy o wycofaniu i dojechaniu do pracy bocznymi uliczkami. Zrezygnowany włączyłem radio i zacząłem nerwowo stukać palcami w kierownicę.

– Dziś gramy o dziesięć tysięcy! – Usłyszałem głos spikera radiowego. – Kto pierwszy, ten lepszy. Skup się, może to właśnie ty zgarniesz dzisiejszą pulę! Nasz numer to...

Skupiłem się. Dziesięć tysięcy? Przydałoby się, a jakże! Wyciągnąłem komórkę, wybrałem numer i wcisnąłem ikonkę zielonej słuchawki. Zanim się połączę, padnie pytanie. Co mi szkodzi spróbować? Zazwyczaj pytali o postaci ze świata kultury, o pisarzy i cytaty, a w tym byłem mocny.

– Dzień dobry, kogo mamy na linii...? – odezwał się miły głos.

– Eeee, Olgierda – wyjąkałem.

– Gratuluję, jest pan pierwszy. Już przekierowuję rozmowę. Uwaga, zaraz będzie pan na antenie.

Chciałem zaprotestować, że jeszcze nie padło pytanie, ale dokładnie w tym momencie spiker zawołał:

– A oto dzisiejsze wyzwanie: podaj rasę psa, który podczas polowania wystawia zwierzynę i wykonuje charakterystyczną stójkę!

Zdębiałem. Psy prześladowały mnie nawet przez radio! Nie miałem pojęcia o rasach psów, nie znałem się na tym! Jedyne, co wiedziałem, to że

istnieją: lęk separacyjny, achalazja oraz socjalizacja. Reszty nie zgłębiłem.

– A na antenie Olgierd! Przywitaj się, Olgierdzie!

– Dzień dobry – powiedziałem słabym głosem.

– A zatem? Rasa psa myśliwskiego, wystawianie, stójka. Mówi ci to coś? Przypominam, stawką jest dzisiaj dziesięć tysięcy! Halo, Olgierd! Jaka to rasa? Masz pięć sekund.

W jego głosie było tyle entuzjazmu, prawdziwego lub udawanego – wszystko jedno, rozdrażnił mnie. W dodatku z tyłu ktoś zaczął na mnie trąbić. No tak, korek się rozładował. Ruszyłem, z wściekłością rzucając do słuchawki jedyne, co mi przyszło do głowy:

– Wyżeł!

To było pierwsze skojarzenie z określeniem „pies myśliwski”. Pani Małgosia opowiadała o tej wyżlicy wujka leśniczego, wspomniała coś o polu...

– Brawo! – Entuzjazm prowadzącego sięgnął zenitu. – Chodziło o wyżła! A zatem dziesięć tysięcy złotych znalazło swojego właściciela, który na pewno chętnie je przytuli przed świętami! Olgierd, zdradzisz nam, na jakie zakupy się wybierzesz?

Byłem tak oszołomiony, że nie mogłem nic wymyślić.

– Eee, ku... kupię nowe łóżko – wyjąkałem wreszcie, po czym natychmiast zapragnąłem zapaść się pod ziemię.

– He, he, nowe łóżko, dobre! Olgierd, nie rozłączaj się, podasz swoje dane, a my tymczasem posłuchamy zespołu Metallica...

*

Tego dnia przeprowadziłem chyba najgorsze lekcje w moim życiu. Nie mogłem otrząsnąć się ze zdumienia, że wygrałem tyle pieniędzy i naprawdę będę mógł kupić zarówno nową kanapę, jak i kołnierz do pralki oraz materac na łóżko! Po raz pierwszy w życiu miałem pieniądze, których nie zarobiłem,

tylko które niemalże... spadły mi z nieba.

Poza tym nie mogłem się skupić, ponieważ na trzeciej lekcji miałem klasę Marcina Berezy, który tego dnia źle się czuł. Miał katar, pokasływał i wydawał mi się nienaturalnie zarumieniony. Zapytałem, czy zadzwonić po rodziców, a on powiedział tylko, że już to zrobił. Ponieważ jednak podczas przerwy miałem dyżur, nie mogłem go sprowadzić na parter, do sekretariatu, gdzie miał poczekać na mamę. Kręciłem się po korytarzu w nadziei, że ją zobaczę, jednak tak się nie stało. Ostatecznie udało mi się dostrzec ich przez okno, gdy wychodzili razem ze szkoły. Pani Małgosia trzymała mu rękę na ramieniu, jakby chciała go tym gestem ochronić przed całym złem tego świata, a ja poczułem głupie pragnienie, aby mnie też objęła w ten sposób. Albo żebym ja objął ją.

A co najgorsze: uświadomiłem sobie, że kosz na pranie, do którego włożyłem zawiniętą w worek pościel, został na podłodze. Zapomniałem go wstawić do wanny. Ot, siła nawyków. Jak to mawiali starożytni? „Przyzwyczajenie to druga natura”. Na dodatek nie mogłem sobie przypomnieć, czy usunąłem papier toaletowy z uchwytu. Przez kilka ostatnich dni pamiętałem, aby go zdejmować i kłaść na pralce, ale dziś, w tym pośpiechu...



Mieszkanie było wysprzątane na błysk, tak jak lubiłam. Zastanawiałam się tylko, czy pan Stanisław nie uzna mojego gniazdka za mało przytulne, ponieważ jakiś czas temu pousuwałam większość drobiazgów z mebli i ścian, aby łatwiej było walczyć z kurzem. Dawniej, kiedy Olgierd i Judytka byli mali, na półkach stało mnóstwo ozdób i bibelotów. Właściwie niektóre z nich trudno było nazwać ozdobami, bo raczej szpeciły, niż upiększały, ale nie mogłam ich wyrzucić, skoro wykonały je ręczki moich dzieci. Zrobiony przez córeczkę anioł z masy solnej oraz gipsowy świecznik w ostrym różowym kolorze – dzieło Olusia... Ramka do zdjęć z kartonu, wyklejana muszelkami i obwiązana sznurkiem. Kubeczek na drobiazgi z puszki po zielonym groszku, podarowany mi na Dzień Matki. Przez te wszystkie lata uzbierało się tego dziesiątki. Jeśli dodać pamiątki z wycieczek szkolnych (w stylu termometru ściennego z ciupagą i – o zgrozo! – muszelką), które dzieci przywoziły z absolutnym przekonaniem, że właśnie kupiły dzieło sztuki... okaże się, że miałam naprawdę pokaźną kolekcję kiczu i tandety.

Kiedy Olgierd wyprowadził się do mieszkania Judyty, zaproponował, że pomoże mi zrobić remont.

– Pora odświeżyć ściany – zasugerował. – A przy okazji może powywalaj te paskudztwa? Twoje mieszkanie jest strasznie zagracone. Po co ci te

wszystkie durnostojki?

Wtedy zrozumiałam, że moje dzieci nie przywiązują wagi do przedmiotów, które kiedyś własnoręcznie dla mnie wykonały. To tylko ja traktowałam je jak jakieś relikwie.

– Nie chcesz zachować tego pudełka? – pytałam na przykład. – Zrobiłeś je zupełnie sam, nawet zawiasy sam przybiłeś gwoździkami. Pacnąłeś się wtedy młotkiem w palec, pamiętasz? Pokazałbyś kiedyś swojemu synkowi. Albo zeszyt z pierwszej klasy...

– Mamo, daj spokój! – Olgierd tylko prychnął. – Czy to naprawdę ma jakiegokolwiek znaczenie? Ty masz swoje zeszyty z początków edukacji?

– Nie – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. – Kiedyś nie zachowywało się takich rzeczy.

– I bardzo słusznie. Pomyśl, jak zagracony byłby świat, gdyby każdy człowiek trzymał na pamiątkę swój pierwszy wyrwany na nitce mleczak, gumową kaczkę do kąpieli, zeszyty z pierwszej klasy, laurki urodzinowe...

– Już dobrze, zrozumiałam – przerwałam mu wtedy, choć gdzieś w okolicach serca odrobinę mnie zabolalo. – Może masz rację, pora przestać żyć przeszłością.

*

Rzecz w tym, że nie umiałam zacząć patrzeć w przyszłość, pomyślałam teraz, wspominając tamtą rozmowę i wsuwając do piekarnika szarlotkę. Owszem, przestałam rozmyślać o tym, co było, wyrzuciłam z pamięci początki mojego małżeństwa i te pierwsze lata macierzyństwa, kiedy jeszcze nie byłam samotną matką. Nie przeglądałam już zdjęć, na których Oluś stawia pierwsze kroczki, a Judytka odbiera świadectwo z biało-czerwonym paskiem z rąk wąsatego dyrektora... Nie robiłam tego, bo to miałoby tylko jeden, łatwy do przewidzenia skutek: zaczęłabym płakać. Jak zawsze, kiedy docierało do mnie, że pewne rzeczy nigdy nie wrócą, nie da się niczego przeżyć jeszcze raz, choćby się nie wiem jak chciało. Życie jest rzeką, płynie tylko w jedną

stronę i nawet jeśli zdarzają się meandry, te ostre zakręty, kiedy przez chwilę wydaje nam się, że jesteśmy bardzo blisko czegoś, co już było – to przecież taki meander nigdy nie stanie się kołem. Nie wejdziemy drugi raz do tej samej wody.

Tak, wszystko to rozumiałam i uczyłam się nie myśleć o przeszłości. Jednak nie zaczęłam żyć zgodnie ze słowami piosenki, którą tak pięknie śpiewał Marek Grechuta: „Ważne są tylko te dni, których jeszcze nie znamy”. Nie potrafiłam. Nigdy nie byłam ciekawa jutra, nie czekałam na nic z radością, nie snułam marzeń. No, może poza tym jednym: aby mieć wnuki. Jednak doskonale wiedziałam, że to marzenie jest w gruncie rzeczy oszustwem. Chciałam dokonać niemożliwego: cofnąć czas. Stać się na powrót mamą, tyle że w babcinym wydaniu. Pragnęłam nadrobić to wszystko, co mi się nie udało, kiedy Olgierd i Judyta byli mali: zabierać maluchy na spokojne spacerzy i nie popędzać co chwila, nie mówić, że pora wracać, bo trzeba ugotować obiad – wręcz przeciwnie: wraz z nimi zachwycić się pięknem jesiennych listków albo tym, że kora jest lekka, a kamyk ciężki.

Chciałam naprawić wszystkie błędy, jakie popełniłam jako matka. Dlaczego je popełniłam? Może dlatego, że kiedyś inaczej się wychowywało dzieci. Nikt nam, ówczesnym młodym rodzicom, nie mówił o tym, że dziecko powinno się dziwić światu, że powinno go odkrywać, dotykając błota albo jedząc rączką budyń. Nikt nam w ogóle niczego nie mówił. Nie było internetu, a nawet gdy się pojawił, do blogów o macierzyństwie i portali parentingowych wiodła jeszcze bardzo daleka droga. Wiedzę o tym, jak pielęgnować i wychowywać dzieci, czerpało się jedynie od starszych pokoleń. Dlatego kładło się nacisk na czystość, wczesną naukę siadania na nocniczku, karmienie w równych odstępach czasu i dyscyplinę. Dziecko nie chce samo zasypiać? Przetrzymaj je. Popłacz i przestanie. Dziecko chce ssać częściej niż co przepisowe trzy godziny? Kup mu smoczek, oszukaj ten jego instynkt ssania. Płacz w przedszkolu? Po prostu szybko wyjdź, żadnych pożegnań, żadnego przytulania...

Kiedy teraz o tym wszystkim myślałam, serce kroilo mi się w plasterki.

Tak wiele rzeczy robiłabym inaczej, gdyby przyszło mi do głowy, że można. Tak wiele rzeczy zrobię inaczej, gdy już zostanę babcią.

*

Dzwonek do drzwi wyrwał mnie z tych niewesołych myśli. Rzut oka na zegar: szarlotka będzie gotowa za piętnaście minut. Troszkę się spóźniłam, ale to przecież nic nie szkodzi. Teraz z kolei szybkie spojrzenie w lustro. Włosy ciasno zaczesane w koczek, tak jak lubiłam. Twarz trochę blada, oczy podkrążone, ale to z powodu pory roku, w grudniu wszyscy wyglądamy na odrobinę niedospanych. Oczywiście mogłam się podmalować, jednak robienie makijażu na spotkanie przy herbach wydawało mi się... Sama nie wiedziałam jakie. Chyba niestosowne. Nie chciałam, żeby pan Stanisław pomyślał, że traktuję to jak randkę. To nie była żadna randka. Przecież on był moim szefem. Poza tym miał żonę, a ja byłam wdową (w tym momencie jakieś lichy odezwało się w mojej głowie: no to co, że wdową? To przecież nie jest jakaś zakaźna choroba!). I wreszcie – oboje byliśmy już w wieku mocno porandkowym...

Otworzyłam. Pan Stanisław stał w progu z bukietem miniaturowych białych różyczek i patrzył na mnie wzrokiem, w którym było trochę radosnego oczekiwania, trochę niepokoju, a może nawet jakiejś obawy... Zresztą sama nie wiedziałam, co jeszcze ujrzałam w jego wzroku. Nie miałam także pojęcia, co on zobaczył w moim. Miałam nadzieję, że same dobre rzeczy. Starłam się ukryć, jak bardzo jestem stremowana.

O czym będziemy rozmawiać? Jak długo on u mnie posiedzi? Czy nie będzie niezręcznie? Przecież my się właściwie nie znamy – takie myśli przelatywały mi przez głowę, kiedy z uśmiechem wpuszczałam go do środka, brałam od niego kwiaty, które dla mnie przyniósł, a następnie wprowadzałam go do pokoju.

– Jak tu pięknie pachnie – odezwał się, zabawnie pociągając nosem. – Gdyby ktoś mnie zapytał, jak pachnie prawdziwa kobiecość, nie wymienilibym nazwy żadnych znanych perfum, tylko właśnie aromat wanilii.

– Och, bo większości mężczyzn kobiecość kojarzy się z kuchnią – odparłam, nie zdając sobie sprawy, że to może zabrzmieć zaczepnie, jakbym była feministką.

– Nie, zupełnie nie to miałem na myśli! – spłoszył się mój gość, siadając w fotelu. – Doskonale wiem, że kobieta może się spełniać poza domem. Dokładnie tak samo jak mężczyzna może to robić w kuchni. Ja na przykład, widzi pani, bardzo chciałbym umieć gotować. Nie nauczyłem się, ponieważ moje małżeństwo było do pewnego momentu szalenie tradycyjne: do mnie należało zarabianie pieniędzy, a do żony sprawy kulinarne i domowe. Potem ona się, jak by to powiedzieć... uniezależniła. Zaczęła kierować naszym biznesem i radziła sobie lepiej niż ja. Przejęła stery. W pewnym momencie uświadomiłem sobie, że zupełnie mnie nie potrzebuje. Jeśli chciała, by ktoś jej narębał drewna, bo bardzo lubiła mieć ogień w kominku... to stać ją było, aby kogoś zatrudnić. Podobnie z koszeniem trawnika i pracami ogrodowymi. Rozumie pani? Po co takiej kobiecie mąż?

Miał wyjaśnić, czym jest dla niego kobiecość, pomyślałam. A tymczasem zaczyna się sesja psychoterapii. Nie zamierzam tego słuchać. Nie chcę, aby się skarżył na swoją niewierną żonę.

– Ale nie o tym chciałem mówić – dodał szybko, jakby słyszał moje myśli. – Tylko o tym, że bardzo dziękuję za to zaproszenie. Nie ma pani pojęcia, jak to jest spędzać jeden samotny wieczór za drugim...

– Ależ mam pojęcie – przerwałam mu łagodnie. – Teraz przeproszę pana na chwilę, zaparzę herbatę w czajniczku. Syn kupił mi kiedyś taki ceramiczny zestaw z podgrzewaczem. Początkowo sądziłam, że to fanaberia, przecież zawsze zwyczajnie parzyłam herbatę, zalewając ją w kubkach. Okazuje się jednak, że to tak, jakby porównywać pływanie w wielkim, czystym jeziorze i w zamulonym stawie. Niebo a ziemia.

– Pani lubi pływać? – Wstał i poszedł za mną do kuchni.

Wstawiłam wodę na herbatę, przygotowałam czajniczek do wyparzenia i odwróciłam się, by poszukać w szafce odpowiedniego gatunku herbaty.

Pan Stanisław stał w progu, oparty ramieniem o futrynę. Wyglądał bardzo młodo, włożył dżinsy i niebieską koszulę w kratkę. Przemknęło mi przez myśl, że mogłam jednak przynajmniej umalować usta.

– Uwielbiam – odpowiedziałam. – Może być earl grey? Lubi pan zapach bergamotki? – A ponieważ skinął głową, wróciłam do tematu pływania. – W dzieciństwie często jeździłam w Bory Tucholskie. Moja mama miała tam rodzinę. Miejsowość Cekcyn, może pan słyszał?

– Nie, niestety nie znam tamtych stron.

– W każdym razie jest tam takie bardzo długie jezioro. Wąskie, ale właśnie długie. Sama nauczyłam się pływać, wujek mi pokazał, a ja ćwiczyłam tak zawzięcie, aż w końcu załapałam. I pewnego dnia zapragnęłam sprawdzić, czy uda mi się przepłynąć z jednego brzegu na drugi. Oczywiście w najwęższym miejscu.

– Pani Krystyno, co też pani mówi! – wystraszył się mój gość. – Bez karty pływackiej? Wujek się na to zgodził?

– Ależ on o tym nic nie wiedział – roześmiałam się. – Dorośli nie wtrącali się wtedy w sprawy dzieci. Spędzaliśmy czas na dworze, całutki dzień nad wodą. Rodzicom i wujostwu wystarczyło, że co parę godzin zjawiamy się po pajdę chleba ze smalcem i ogórka kiszzonego.

– Aż mi ślinka cieknie – westchnął. – No, ale niech pani opowiada dalej. Przepłynęła pani?

– Oczywiście! – Aż pokraśniałam z dumy na to wspomnienie. – Dwaj kuzyni stali na jednym brzegu, kuzynka z koleżanką na drugim i czuwali nade mną.

– A gdyby się pani topiła?

– Wtedy najstarszy, Jędrrek, miał się rzucić na pomoc, a pozostali biec po dorosłych. Ale nic takiego się nie stało. Płynęłam powoli, ale pewnie. Czułam się w wodzie jak ryba, naprawdę.

– Domyślam się, że było tylko kwestią czasu, kiedy spróbowała pani

przepłynąć to jezioro także wzdłuż.

– Miałam takie marzenie – przyznałam. – Ale nie było okazji. Następnego lata wujek umarł, ciocia sprzedała dom i wraz z kuzynami przeprowadziła się do Tczewa. Jakoś tak... wszystko się skończyło.

– Proszę się nie smucić. Ładniej pani było z rumieńcem niż ze smutkiem.

Oczywiście ledwie to powiedział, rumieniec wrócił. Udałam, że jestem pochłonięta parzeniem herbaty.

– W każdym razie bardzo lubię pływać, choć nigdy nie zdałam na kartę pływacką – dokończyłam, unikając wzroku pana Stanisława. – A to dlatego, że boję się skakać na główkę.

– A nie myślała pani o urlopie w tym... Cekcynie? Skoro jest jezioro, to pewnie i jakiś hotelik. Albo gospodarstwo agroturystyczne.

– Och, ma pan rację, to byłoby wspaniałe... – rozmarzyłam się. – Może rzeczywiście powinnam coś takiego zaplanować. Choć na pływanie w jeziorze to już raczej dla mnie za późno.

Wyglądał, jakby chciał zaoponować, ale nie zdążył się odezwać, bo piekarnik zapikał przenikliwie, informując, że pora wyłączyć ciasto.

– Jest szarlotka – oznajmiłam. – W samą porę, równo z herbatą. Właściwie robi nam się z tego bardziej kolacja niż podwieczorek.

– Nic nie szkodzi. Uwielbiam szarlotkę o każdej porze. Czy mogę w czymś pomóc? Zanieść do pokoju herbatę albo...?

– Tak, bardzo proszę. Już daję tacę. Tu jest cukierniczka, jeśli pan...

– Nie, nie, ja nie słodzę.

– W takim razie bez cukierniczki, bo ja także piję gorzką – ucieszyłam się, jakby to, że oboje lubimy niesłodką herbatę, o czymkolwiek świadczyło.

Pan Stanisław zaniósł do pokoju tacę z czajniczkiem i filiżankami, a ja tymczasem nałożyłam gorącej szarlotki. Posypałam ją obficie cukrem z cynamonem, a następnie każdą porcję ciasta udekorowałam sporą kulką

lodów waniliowych.

Początkowo jedliśmy w milczeniu. Widziałam, że panu Stanisławowi bardzo smakuje, ja sama także rozkoszowałam się smakiem, zwłaszcza że jabłka były kwaskowate, a takie połączenie lubiałam najbardziej.

– Pani Krysiu – odezwał się po chwili mój gość. – Czy byłoby... Czy to byłby straszny nietakt, gdybym...

Zrobiło mi się gorąco. Zaproponuje mi randkę? Wyzna, że mu się podobam?

– Chciałbym móc traktować panią jak przyjaciela – dokończył. – Wiem, że to kobieta powinna proponować coś takiego, ale boję się, że się nie doczekam, bo może uważa pani, że skoro jestem pani szefem... Zapytam więc: czy moglibyśmy mówić sobie po imieniu?

Nie spodziewałam się tego. W pierwszej chwili poczułam, że to niestosowne. Dopiero po kilku sekundach dotarło do mnie, że to chyba właściwa kolejność. Jeśli nasza znajomość ma się stać bliższa... O ile w ogóle ma się taka stać, dodałam w myślach, bo może tylko sobie to wszystko wyobrażam?

– Oczywiście – odpowiedziałam. – To bardzo dobry pomysł. Świat jest teraz taki nowoczesny, wszyscy do wszystkich mówią „ty”. Podobno w angielskim w ogóle nie ma formy „pan” i „pani”.

– Tak, rzeczywiście. Znam angielski.

– Ja tylko niemiecki.

Umilkliśmy oboje, chyba jednakowo zakłopotani.

– Ale ze mnie gapa! – Stanisław nagle się zerwał. – Przecież przyniosłem nalewkę. W sam raz nada się na bruderszaft.

Poszedł do przedpokoju i z kieszeni kurtki wyciągnął płaską, ale dość pojemną butelkę.

– Uznałem, że jest nawet lepsza od malinowej. To smorodinówka –

wyjaśnił. – Z czarnej porzeczki. Przepyszna.

Przyniosłam kieliszki i nalałam ciemnego, prawie fioletowego trunku. Ponieważ mój gość stał, ja także stanęłam obok fotela.

– Staszek – powiedział, zaplatając swoją rękę z moją.

– Krysia – rzekłam. Policzki piekły mnie, jakbym już wypila całą tę nalewkę. – Bardzo mi miło.

Wypiliśmy, a potem zgodnie z tradycją zamierzałam go cmoknąć w policzek, ale nie zdążyłam, ponieważ on leciutko, choć zdecydowanie, pocałował mnie w usta.



Nie pukałem, bo w takich chwilach jak ta, pod wpływem emocji, zdarzało mi się zapomnieć, że już tu nie mieszkam. Właśnie dlatego wparowałem do mieszkania mamy, trzymając pod pachą Ziyó, i stanąłem jak wryty na widok mamy i jakiegoś faceta, który najwyraźniej właśnie ją całował. W dłoniach trzymali puste już kieliszki, a na ławie stała butelczyna. Czegoś takiego jeszcze nie było!

– Och, Oluś – powiedziała mama bardzo zmieszana. – Nie spodziewałam się ciebie dzisiaj.

Przez chwilę staliśmy tak, patrząc na siebie, po czym przeniosłem wzrok na gościa. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że sam także jestem tu gościem, a w dodatku w obecnej sytuacji – intruzem.

– Dzień dobry – wydukałem i wyciągnąłem rękę. – Syn... Olgierd.

– Dzień dobry – przedstawił się tamten z ledwie widocznym cieniem uśmiechu gdzieś w kącikach ust. – Szef. Stanisław.

Mama roześmiała się tak nagle, że obaj spojrzeliśmy na nią ze zdumieniem.

– Matka. Krystyna – dodała, zanosząc się od śmiechu i wskazując dłonią

na siebie. – Oraz pies. Ziyo. – Teraz pokazała mojego szczeniaka. – Zapraszam, synku. Mamy szarlotkę, herbatę oraz smródkę. Nie, to się inaczej nazywało.

– Smorodinówka – poprawił ją cały ten Stanisław, który teraz także się śmiał. – Boże mój, nigdy bym się nie odważył przynieść „smródkę”.

– Przynieś sobie filiżankę, talerzyk i łyżeczkę, kochanie. Nalewki ci nie proponuję, bo pewnie przyjechałeś autem?

Usiadła przy ławie, jej gość zrobił to samo. Co do mnie, nadal sterczałem jak kołek na środku pokoju i nie mogłem dojść do siebie. Mama była jakaś inna. Zwykle od razu biegła do kuchni i nakładała mi swoich pyszności, nawet jeśli nie byłem głodny. Za każdym razem namawiała mnie, żebym został na noc, a najlepiej wprowadził się na stałe. Tym razem nie tylko musiałem obsłużyć się sam, ale też dała mi wyraźnie do zrozumienia, że mam zjeść i wypić, a potem się stąd zabrać. Zamierzała spędzić z tym facetem noc?! Moja mama?!

– Ziyo zasikał mi łóżko – powiedziałem żałośnie, czując się jak dziecko, które wszyscy opuścili. – A że wcześniej pożarł połowę kanapy... Teraz nie będę miał gdzie spać. W dodatku mam do prania śmierdzącą pościel i piżamę...

Mama spojrzała na mnie uważnie i chyba zrozumiała, co się ze mną dzieje.

– Usiądź wreszcie, synku – poprosiła łagodnie. – To znaczy może najpierw postaw psa na podłodze. Ja ci już tutaj nałożę... Jak człowiek zje domowego ciasta, to mu się od razu robi lżej na sercu.

– Boję się, że ci nasika na dywan. – Zawahałem się, ale ostatecznie postawiłem Ziyo, bo zaczynał się wiercić.

– A masz może, Krysiu, jakieś niepotrzebne gazety? – Pan Stanisław zerwał się z miejsca. – Pamiętam, że kiedy Dorka była mała, to cała podłoga była pokryta gazetami.

„Krysiu”. Pocałunek. Nalewka. I ta zawoalowana sugestia, że mam nie zostawać na noc. Nie mogłem się pozbierać. Nie bądź dzieckiem, pomyślałem. Pora dojrzeć do myśli, że twoja matka jest kobietą i może mieć życie erotyczne.

– Weź może te spod ławy, znajdziesz tam „Wyborczą” i „Tygodnik Powszechny” – mówiła tymczasem mama. – Wszystko już przeczytane.

Usiadłem na wersalce.

– Ciekawy dobór prasy – pochwalił gość, po czym sięgnął po gazety i zaczął je rozkładać na dywanie, podczas gdy Ziyó przyglądał mu się z ciekawością.

Mama udała się do kuchni, skąd po chwili przyniosła filiżankę, talerzyk i łyżeczkę. Kieliszka nie wzięła, więc chyba naprawdę nie zamierzała mnie przenocować.

– Usiądź, synku – powtórzyła. – Już wystygła, lody się nie rozpuszczą, ale jeśli chcesz, to nałożę...

– Nie, dziękuję – odparłem. – Bez lodów poproszę. Ziyó, chodź tu do mnie.

Psiak rzucił mi czujne spojrzenie, jednak najwyraźniej uznał, że ma ciekawsze rzeczy do roboty, bo poszedł do gościa mamy, obwąchał mu nogawki i skarpetki, po czym ruszył na obchód mieszkania. Obawiałem się, że nasika w przedpokoju, gdzie podłogę przykrywał mały chodniczek w pasy.

– Nie przejmuj się – powiedziała mama, stawiając przede mną talerzyk z szarlotką, która nieziemsko pachniała cynamonem. – Nawet jeśli nasiusia, to przecież nic się nie stanie. A je już normalnie? Nie ulewa mu się?

– Od tamtej pory, kiedy go nakarmiliśmy... Nakarmiłaś właściwie... – poprawiłem się, a mama pokraśniała z zadowolenia – wymiotował tylko raz. Kiedy zeżarł moją szczoteczkę do zębów.

– Bój się Boga! – westchnęła mama i rzuciła niespokojne spojrzenie w stronę przedpokoju, bo Ziyó wciąż nie wracał. Pewnie wyobrażała sobie,

co może zjeść.

– Cóż, takie jest życie z ząbkującym szczeniakiem – westchnąłem filozoficznie. Skosztowałem szarlotki i od razu poczułem przypływ energii. – W każdym razie po tej szczoteczce dostał zachłystowego zapalenia płuc. Ale byliśmy u weterynarza, dał mu porządną dawkę leków i już jest dobrze. Przynajmniej na tyle, że znowu psoci.

– Jeśli można spytać... – wtrącił się Stanisław, który dotąd tylko słuchał z zainteresowaniem – co to jest to białe, co pan ma na włosach?

– Właśnie. Też chciałam o to spytać – dorzuciła mama.

Zerwałem się i poszedłem do przedpokoju, aby zerknąć w lustro. I tak zamierzałem tam zajrzeć, aby skontrolować, co robi Ziyó. W samą porę. Po pierwsze na chodniczku w pasy widniała psia kupka, a po drugie pies leżał sobie i jak gdyby nigdy nic żuł sznurówkę mojego buta.

– Ty draniu! – zawołałem. – Przecież ci zaszkodzi!

Wyciągnąłem mu z gardła mokre, oślizgłe sznurowadło, zajrzałem do łazienki, urwałem garść papieru i sprzątnąłem kupkę, po czym długo myłem ręce. Pora przywyknąć, pomyślałem z rezygnacją. Przeżute sznurówki, wymiociny, kupka tu i ówdzie, szczątki szczoteczek do zębów i innych osobistych przedmiotów... Taki los mnie czeka. A wszystko przez to, że mam cholernie miękkie serce.

Dopiero teraz zwróciłem uwagę na to, o co wcześniej zapytał pan Stanisław. Rzeczywiście, we włosach miałem mnóstwo białych drobinek, zupełnie jakby napadał na mnie śnieg. Tyle że tego dnia śniegu nie było. To był pogryziony na kawałeczki papier toaletowy. Strzepnąłem szybko te fałszywe śnieżynki i wróciłem do pokoju, bo marzyła mi się druga porcja szarlotki.

Zastałem Ziyó wspinającego się przednimi łapkami na kolana pana Stanisława. Zdrajca, usiłował polizać go w brodę.

– No więc co to było? – Mama wróciła do poprzedniego pytania.

– Papier toaletowy – odparłem ponuro. – A raczej to, co zostało z całej paczki. Osiem rolek. Przed wyjściem do pracy zapomniałem odstawić na pralkę. Po powrocie miałem w domu istną krainę śniegu. Swoją drogą, jak on to robi? Żeby tak posiekać w drobną kaszkę? Przedtem gąbkę z kanapy, teraz papier?

– Psy tak robią – wtrącił się szef mamy. – Moja Dorka jako szczeniak gryzła wszystkie swoje legowiska. Żadne się nie uchowało. I tak jak pan mówi, panie Olgierdzie, w drobną kaszkę. Dopiero kiedy zaczęła spać ze mną w łóżku, przestała to robić. Oczywiście zabierałem ją pod kołdrę w tajemnicy przed mamą. Uważała, że to strasznie niehigieniczne, tyle sierści i brudu!

Rzuciłem spojrzenie mamie, a ona spuściła wzrok. Postanowiłem nie wspominać o tym, jak bardzo przypomina to jej poglądy.

– Mój Ziyó gryzie wyłącznie z powodu lęku separacyjnego – oznajmiłem pewnym tonem. – Po prostu boi się zostawać sam. On wiele przeszedł, znalazłem go w śmietniku, zawiniętego w folię...

– Tak, wiem. Krysia mi opowiadała. Podziwiam pana, panie Olgierdzie, naprawdę. To wspaniały gest przygarnąć takiego szczeniaka.

Chyba nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo potrzebuję takich słów. Niby tylko dwa zdania, a pokrzepiły mnie tak, że nagle zjedzona kanapa, zasikany materac i cała reszta wydały mi się marną ceną za życie tego psiaka, który wreszcie porzucił pana Stanisława i przydreptał do mnie. Wziąłem go na ręce i usadziłem sobie na kolanach. Natychmiast wtulił nos pod moją pachę i zamknął oczy. Wciąż był osłabiony po chorobie.

– Miałeś poszukać mu dobrego domu – przypomniała mama. – Takiego, gdzie ktoś przez cały czas będzie. Uważam, że najlepsza byłaby rodzina wielopokoleniowa, no wiesz: dzieci, rodzice, dziadkowie. Nawet kiedy dzieciaki idą do szkoły, a rodzice do pracy, z psem zostaje dziadek lub babcia. Z kolei młodzi chodzą na spacer, bawią się, rzucają piłeczkę. Tak byłoby najlepiej. Dałeś już ogłoszenia w internecie?

Ziyó spał z nosem pod moją pachą. Nabrałem właśnie na łyżeczkę kolejny

kawałeczek szarlotki. Mama i pan Stanisław patrzyli na mnie wyczekująco. „Nie”, zamierzałem powiedzieć. „Jeszcze nie zamieściłem ogłoszeń, ale wezmę się za to lada dzień”. I wtedy nagle uświadomiłem sobie, że tego nie zrobię. Że nie będę w stanie oddać tego psa obcym ludziom. Nawet gdyby jakimś cudem znalazła się taka wymarzona rodzina, jak opisała mama. Zrozumiałem, że nie zniósłbym myśli, że oni być może źle go karmią, że może znów zaczął wymiotować i tracić na wadze. Przecież nikt nie zna go tak dobrze jak ja...

Chyba właśnie zamierzałem to wszystko z siebie wyrzucić, ale nagle rozległ się dźwięk dzwonka. Ziyo czujnie uniósł głowę, ale spojrzawszy na mnie i upewniwszy się, że nie dzieje się nic złego, ponownie wtulił ją pod moje ramię. Mama poszła do przedpokoju, a po chwili dobiegły stamtąd radosne słowa powitania.

– Adaś! Dlaczego nie uprzedziłeś? Zrobiłabym twoje ukochane gołąbki!

– Wnioskując z tego, co wyczuwam moim niezawodnym nosem, i tak pani zrobiła coś pysznego! – odparł mój przyjaciel. – A Olgierd tu jest? Bo byłem u niego i pocałowałem klamkę.

– Trzeba było zadzwonić – odezwałem się, nie wstając z miejsca, bo nie chciałem budzić Ziyo.

Adam wszedł wreszcie, prowadzony przez rozradowaną mamę.

– Tak myślałem, że tu cię znajdę – rzucił.

Chyba chciał podejść i mnie uściskać, ale zatrzymał się w pół kroku na widok jeszcze jednego gościa.

– Poznaj, Staszku, to jest mój przyszywany synek, Adam. Adasiu, to mój przyjaciel, Stanisław. – Mama dokonała prezentacji.

– Miło mi. – Stanisław podniósł się z fotela i uściśnął dłoń Adama. Widać było, że te słowa były szczere. Najwyraźniej określenie „przyjaciel” sprawiło mu przyjemność. – A co dokładnie znaczy „przyszywany”?

– Znaczy ni mniej, ni więcej, tylko tyle, że pani Krysia jest moją

zastępczą mamą – wyjaśnił Adam, obejmując mamę wpół i cmokając ją w policzek. Pomyślałem, że zawsze potrafił okazać jej więcej czułości niż ja, rodzony syn. – Po śmierci moich rodziców wychowywała mnie babcia, ale mówiąc szczerze, byłem dla niej tylko kulą u nogi. Gdyby nie pani Krysia, która jest najlepszą, najcieplejszą, najtroskliwszą, najlepiej gotującą mamą na świecie...

– No, przestań już. Pomówmy o czymś innym. – Mama, rumiana i jakby odmłodziła o kilkanaście lat, opędzała się ręką od komplementów niczym od muchy. – Zostaniesz aż do Nowego Roku? Wybieracie się gdzieś na imprezę sylwestrową, chłopcy?

To mówiąc, spojrzała na mnie. Po chwili spoczął na mnie także wzrok Adama i pana Stanisława.

– Żadnej imprezy – odparłem ponuro. – Żadnych wyjść. Będziemy siedzieć w domu i pilnować, żeby pies mi nie zjadł nowego łóżka. Bo jeszcze wam nie powiedziałem, że wygrałem trochę pieniędzy. Był taki konkurs radiowy. No i wystarczy akurat na nowe meble. Ale tak się składa... – Tu spojrzałem znacząco na Adama. – ...że dziś nie mamy gdzie spać. Kanapa zeżarta, łóżko zasikane, a w dodatku całe mieszkanie w drobinkach papieru toaletowego. No ja po prostu nie wiem, co jeszcze może się nam przytrafić.



Właśnie skończyłam sprzątać w dużym pokoju, gdy poprzez rytm *Last Christmas*, które zawsze włączałam sobie do świątecznych porządków, usłyszałam dzwonek u drzwi.

Zamarłam. Od jakiegoś czasu nikt mnie nie odwiedzał. Dokładniej od rozstania z Henrykiem. Olgierd z zasady nie wpadał z niezapowiedzianymi wizytami, z nas dwojga to ja byłam specjalistką od takich najść, a on znosił to cierpliwie. Serce zaczęło mi walić w piersi. Czy to możliwe, że Henryk? Nie, przecież nie, na pewno zadzwoniłby, aby się upewnić, czy jestem. A zatem kto?

Na wszelki wypadek rzuciłam okiem na swoje odbicie w lustrze. Nie prezentowałam się może najlepiej, w końcu spędziłam całe popołudnie z odkurzaczem, szmatką i mopem – ale w sumie w tym nieładzie moich włosów i rozchylonej koszuli było coś seksownego. Otworzyłam.

W progu stał młody bóg. No, może przesadziłam. Młody bóg byłby półnagi, tylko z przepaską na biodrach, a ten tutaj miał na sobie porządną kurtkę, dzinsy oraz wełnianą czapkę naciągniętą na oczy. Ale spojrzenie brązowych oczu miał naprawdę boskie.

– Cześć, Sara – odezwał się Olgierd, który wyłonił się zza szerokich

pleców gościa. W objęciach trzymał, jakżeby inaczej, swojego psa. – Słuchaj, dzwoniłem, ale nie odbierałaś... Chyba masz rozładowaną baterię, bo ciągle mi się włączało „abonent chwilowo nieosiągalny”.

– O, chyba rzeczywiście w szkole pikała mi bateria – przyznałam. – A potem wpadłam w wir świątecznych porządków i zapomniałam o telefonie.

Gestem zaprosiłam gości do środka. Od tego w czapce poczułam subtelny woń jakiegoś owocowego alkoholu.

– My z wielką prośbą – podjął Olgierd. – Widzisz, tak się złożyło, że dziś przyleciał z Irlandii mój przyjaciel, Adam. Nie mieliście dotąd okazji się poznać.

– A, więc to Adam – ucieszyłam się.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Oczywiście wiele słyszałam o wielkiej przyjaźni łączącej Olusia z tym facetem. Podejrzewałam, że w istocie nie jest to przyjaźń, a raczej miłość. Odkąd Beata powiedziała mi, że Olgierd jest homoseksualistą, zaczęłam uważniej wsłuchiwać się w jego opowieści o Adamie. Nigdy jednak nie wychwyciłam w nich wątków erotycznych czy romantycznych. Nie byłam pewna, co o tym myśleć. Być może po prostu żaden z nich nie dokonał jeszcze coming outu.

– No i właśnie tak się nieszczęśliwie składa, że u mnie nie ma gdzie spać. Mam zasiusiane łóżko, kanapa zjedzona, o tej porze nigdzie nie kupimy materaca ani nowych mebli. U mojej mamy jest jedynie wąski tapczan, na jedną osobę. Nie miałem się do kogo zwrócić...

Patrzyli na mnie wyczekująco. Nawet pies.

– Nie przenocowałabyś Adama? – zapytał wreszcie Olgierd. – Albo mnie, a Adam wróciłby do mamy. Tyle że ze mną musi być Ziyó, a boję się, że coś ci poniszczy albo zasika podłogę. Jak już mają być szkody, to niech lepiej zostaną w rodzinie.

Wszyscy rozejrzeliśmy się po podłodze. W dużym pokoju miałam śliczną kremową wykładzinę z długim włosiem. Chybabym umarła, gdyby Ziyó mi ją

zapaskudził. Nie miałam wątpliwości, że wolę przenocować Adama. Jedynym problemem był fakt, że zupełnie go nie znałam. Stwierdziłam jednak, że skoro jest homoseksualistą, nic mi z jego strony nie grozi.

– Oczywiście, że Adam może się u mnie przespać – powiedziałam wesoło. – Żaden problem. Przyjaciele moich przyjaciół są moimi przyjaciółmi.

– Dziękuję – westchnął Adam i ściągnął z głowy czapkę, odsłaniając bujne kędziory. Był absolutnie najprzystojniejszym facetem, jakiego w życiu spotkałam. – Nie sprawię wiele kłopotu. Mówiłem nawet, że mogę spać u mamy Olusia na podłodze, ale uparli się, że to wykluczone, bo Ziyo mógłby na mnie... no wiesz.

– No wiem – odparłam ze śmiechem. – A poza tym to idiotyczne, żebyś spał na podłodze, skoro u mnie jest wygodny narożnik. Po rozłożeniu mogą się na nim wyspać dwie osoby, więc gdyby nie pies, moglibyście spać tu razem. – Rzuciłam znaczące spojrzenie Olgierdowi, aby mu pokazać, że naprawdę akceptuję jego orientację.

Miał chyba nieco zdziwiony wzrok.

– Nie, no co ty – odparł. – Nigdy w życiu. My z Ziyo wracamy do mamy. A jutro po szkole rozejrzę się za nową kanapą i materacem do łóżka. Adaś – zwrócił się do przyjaciela – bądź u mnie koło ósmej, okej? Mam jutro na dziewiątą, zjemy coś, a potem zostaniesz z tym szkodnikiem, żeby nic nie poniszczył. Będziesz psią niańką.

– Okej, pasuje mi – odrzekł filozoficznie Adam. – Dla ciebie, brachu, wszystko.

*

Kiedy zostaliśmy sami, przez moment czułam się niezręcznie. Jak by nie patrzeć, miałam w mieszkaniu nieznanego, który nawet jeśli był najlepszym przyjacielem mojego najlepszego przyjaciela – pozostawał kimś zupełnie obcym dla mnie. Wrażenie obcości i zakłopotanie szybko się jednak

ulotniły. Adam zachowywał się tak swobodnie, jakbyśmy znali się od lat. Zapropował, że przygotuje kolację, po czym rozpakował swoją torbę podróżną, wyciągając z niej między innymi trzy krążki sera, szynkę parmeńską, kabanosy i pętko suszonej kielbasy.

– Sądziłem, że będę ucztował z Olgierdem – wyjaśnił. – Mamy stałe menu: deska serów i wędlin, a do tego sałata i piwo. Masz może sałatę?

– Mam sporo zieleniny. Roszponka, sałata rzymska i rukola. Co ty na to?

– Rewelacja! – ucieszył się. – U Olusia nigdy nie było takiego wyboru!

– Tyle że zamiast piwa mam wino wytrawne. Może być?

– Saro! – Błysnął zębami w uwodzicielskim uśmiechu. – To znacznie więcej niż „może być”. To będzie prawdziwa uczt!

Kiedy kroił sery i wędliny, ja wzięłam szybki prysznic i przygotowałam mu miejsce do spania na narożniku w dużym pokoju. Potem nakryłam do stołu w kuchni. Sądziłam, że po prostu zjemy trochę i wypijemy po lampce wina, tymczasem kiedy zaczęliśmy rozmawiać, tematy pojawiały się jeden za drugim, od wspomnień z dzieciństwa przeszliśmy do znajomości z Olgierdem, od Olgierda do mojego romansu z Henrykiem, do mojego pragnienia, by ustatkować się, zostać matką, zakotwiczyć się wreszcie w jakimś porcie. I sama nie wiem, jak to się stało, że wkrótce w butelce było widać dno, a ja wypłakiwałam się Adamowi w mankiet, oczywiście nie dosłownie, bo kiedy mnie przytulił, to beczałam mu właściwie bardziej w koszulę na ramieniu. Tak czy owak, kiedy łyzy wyschły, odprowadził mnie do łóżka, pomógł zdjąć szlafrok (zupełnie jakbyśmy byli w szatni jakiejś eleganckiej restauracji – na szczęście po kąpieli włożyłam ładną koszulę nocną w poziomki), po czym odczekał, aż się położę, troskliwie okrył mnie kołdrą i przysiadł na chwilę na moim łóżku.

– Saro, jesteś cudowną kobietą – szepnął. – Tyle razy słuchałem opowieści Olgierda o tobie, ale nie miałem nawet bladego wyobrażenia o tym, jaka jesteś delikatna i wrażliwa. Ile masz w sobie tego, co uważam za kwintesencję kobiecości.

Po czym ujął moją dłoń i ucałował ją leciutko, a we mnie rozhuśtało się serce. Gdyby ktoś mnie zapytał, czego w owej chwili pragnęłam, odparłabym bez wahania: żeby Adam nie był gejem, żeby był najbardziej hetero facetem na świecie, żeby mnie pocałował, wsunął się do mnie pod kołdrę i kochał mnie do białego rana.

Tymczasem on wstał, zgasił światło i szepnął tym swoim aksamitnym głosem:

– Dobranoc.

I tyle go widziałam.



Spaliśmy w obcym miejscu i chyba dlatego Oluś nie pozwolił mi wejść do siebie na legowisko. Wszędzie pachniało mamą Olusia. W jej głosie nie słyszałem już niechęci. Ale też nigdy nie wzięła mnie na ręce, więc sam nie wiedziałem, czy nadal mnie lubi. W każdym razie na wszelki wypadek nigdy nie skakałem na jej nogi i nie prosiłem, żeby tarmosiła mnie za uszy.

Rano, kiedy jeszcze było ciemno, wstałem i zrobiłem sporą kałużę na gazecie przy drzwiach. Zaraz potem Oluś wyskoczył ze swojego legowiska, sprzątnął tę gazetę i pochwalił mnie.

– Widzisz? – powiedział, wchodząc do drugiego pokoju, gdzie już krzątała się jego mama. – Ziyo jest taki mądry! Nie nasiusiał ci na dywan, niepotrzebnie się martwiliśmy.

– Zjesz śniadanie, synku?

– Nie, jadę do siebie. Chcę być przed Adamem, trochę ogarnę mieszkanie. Muszę wywietrzyć, bo pewnie to zasikane łóżko nieźle pośmierduje.

– Przynajmniej kawy się napij.

– Wypiję u siebie, mamó. Dzięki za nocleg. I przepraszam... – Zawahał się, zanim dokończył. – ...że zepsułem ci randkę.

Nie rozumiałem tego, co mówią, ale wyraźnie widziałem sygnały wysyłane przez ich ciała. Widziałem, że Oluś jest bardzo wdzięczny kobiecie i z jednej strony próbuje jej okazać uległość, ale też chce jak najszybciej się oddalić. Dostrzegałem także, że kobieta go lubi, choć z drugiej strony w jej ruchach było pewne zniecierpliwienie. Zupełnie jakby chciała, abyśmy już sobie poszli.

Pojechaliśmy do domu i tam, w otoczeniu znajomych zapachów, dostałem swoją porcję mięska. Potem Oluś długo trzymał mnie na rękach. Kiedy jedzenie spłynęło do brzucha, położyłem się na nieco sfatygowanym legowisku i jednym okiem obserwowałem, co robi mój pan. Posprzątał, otworzył szeroko okno i zrobił sobie w kuchni coś, co wcale nie pachniało smakowicie, ale on pił to z taką lubością, jakby to było co najmniej jajeczko. Wtedy ktoś zapukał do drzwi i obaj zerwaliśmy się na równe nogi. To był ten drugi, bardzo miły człowiek, do którego Oluś mówił „Adam”.

– No to zostawiam was – rzekł Oluś. – Muszę być w szkole wcześniej, bo przypomniało mi się, że miałem ustalić z moją klasą, kto co robi na kiermasz świąteczny. Diabli nadali.

– Chyba jednak anieli, nie diabli, skoro świąteczny – mruknął Adam. – Ale leć, skoro musisz. O tej porze do życia potrzebna mi jedynie kawa.

– Gdybyś jednak chciał czegoś oprócz kawy, to w lodówce masz jajka i smalczyk ze skwarkami, usmaż sobie jajecznicę.

– Okej, okej. Dam sobie radę.

Drzwi zamknęły się za Olusiem, ale tym razem nie zamknął mnie w łazience. Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Chciałem popiszczeć, żeby przywołać go z powrotem, ale tymczasem Adam przykucnął i wyciągnął do mnie rękę.

– Chodź no tu, mały – powiedział. – Pogadamy. Bo widzisz, diabelnie mi potrzeba rozmowy.

Podszedłem i nieco nieufnie powąchałem jego dłonie. Pachniały tysiącem

rzeczy, których nie znałem. Świat jest taki wielki, pomyślałem, i tyle jest miejsc, w których jeszcze nie byłem. Adam chwycił mnie delikatnie, usiadł w fotelu i posadził mnie sobie na kolanach.

– Byłem pewien, że kocham Siobhan – powiedział. – Czyżbym się mylił? No bo sam powiedz, kundelku: czy gdybym ją prawdziwie kochał, przeleżałbym dziś całą noc z otwartymi oczami, myśląc tylko o tym, że za ścianą śpi najponętniejsza z kobiet, i marząc o jej ciele?

Nawet gdybym umiał, nie miałbym pojęcia, co odpowiedzieć. Nic z tego wszystkiego nie rozumiałem. Ale Adam drapał mnie za uchem w taki sposób, że byłem gotów słuchać go choćby przez cały dzień.

– Może to jakiś znak – kontynuował. – No bo sam powiedz, niedawno rozstałem się z kobietą, która twierdziła, że za wcześnie na stabilizację, że szkoda naszej młodości, że nie chce się jeszcze wiązać na stałe. Przyjeżdżam do Polski, żeby znaleźć pocieszenie i usłyszeć słowa otuchy od starego kumpla, i co znajduję? Prześliczną, seksowną dziewczynę, która tak samo potrzebuje pomocy i która opowiada mi taką samą historię... No, może nie dokładnie taką samą. Jak by nie patrzeć, Siobhan nie była mężatką, więc ja nie byłem uwikłany w romans, tylko zwyczajnie usiłowałem zbudować coś trwałego, stworzyć rodzinę. Czy to będzie bardzo nie fair, jeśli zacznę tę Sarę uwodzić? Bo niby Oluś twierdzi, że mu przeszło, że już nic do niej nie czuje, o ile w ogóle kiedykolwiek coś czuł... No, ale może nie chciał tego nazywać miłością, może uciekał przed tym, co mogłoby się z nim porobić, gdyby pokochał kobietę uwikłaną w romans z żonatym facetem. Teraz, kiedy się z nim rozstała, może spojrzeć na to zupełnie inaczej. Sam już nie wiem. Co robić? Jak się zachować?

Słowa wypadały z niego jedno za drugim, a żadne z nich nie brzmiało jak moje ulubione „mięsko” albo chociaż „dobry piesek”, ale ponieważ od uszu przeszedł do drapania po szyi, a potem do głaskania, byłem bardzo zadowolony. Co jakiś czas otwierałem jedno oko, żeby pokazać, że słucham, ale potem przestałem otwierać, bo zasnąłem.

Kiedy się obudziłem, Adam spał z nogami wyciągniętymi na drugi fotel, ja spoczywałem na jego brzuchu i było mi tam bardzo ciepło i wygodnie, a w progu pokoju stał Oluś, patrząc na nas z wyrzutem.

– Uczę go, że nie wolno włożyć na fotele – powiedział do Adama, który tymczasem także się przebudził. – A ty mi robisz krecią robotę.

– Ale przynajmniej nic nie poniszczył. Przez cały czas, kiedy cię nie było, spał tu ze mną.

– Chcesz powiedzieć, że przespałeś moje siedem lekcji?

– Tak – przyznał Adam ze skrucą. – Co prowadzi nas wprost do drugiego wyznania, że ma to związek z Sarą.

– Co ma związek z Sarą?!

– Moje niewyspanie i ogólne rozbiecie!

Nie słuchałem dalszego ciągu, ponieważ udałem się na rozłożone w przedpokoju gazety, a potem – jako że nikt nie zwracał na mnie uwagi i nudziłem się okropnie, pobawiłem się trochę butem, który bardzo pięknie pachniał Olusiowymi stopami. W wyniku tej zabawy coś od buta odpadło, więc zacząłem to z wielką lubością żuć. Smakowało prawie jak mięsko.

– Ziyó, ty draniu! – rozległ się nagle okrzyk nad moją głową. – No zobacz, tylko się go na chwilę spuści z oczu...!

– Co zrobił? – zainteresował się Adam.

– Oderwał język od buta! Jasna cholera, najlepsze trzewiki! Taka porządna skóra! Jak ja teraz będę wyglądał z jedną skarpetą na wierzchu?!

– Muszę przyznać, że idiotycznie.

Przez chwilę panowała cisza. Oluś oglądał but, którym się bawiłem, i usiłował włożyć do niego to, co tak dobrze mi się żuło.

– Szlag by trafił! – jęknął wreszcie. – Oślizgłe, zdeformowane, do niczego się nie nadaje. Nic, tylko muszę kupić nowe buty. W samą porę wygrałem te pieniądze, bo chyba bym zbankrutował przez tego kundla.

Kiedy mówił o kupnie nowych butów, na jego twarzy wyraźnie dostrzegłem coś w rodzaju radości i satysfakcji. Może po prostu marzył o nowym obuwiu? Jeśli o to chodziło, to przecież mogłem zająć się także drugim trzewikiem!

– A wracając do Sary – odezwał się ostrożnie Adam, kiedy Oluś odłożył nadgryziony but i poszedł do kuchni, a ja zastanawiałem się, czy w związku z tym mogę znów zacząć go gryźć. – Na pewno nie masz nic przeciwko, żebym...

– Nic, a nawet mniej niż nic – brzmiała odpowiedź. – Już ci tłumaczyłem. Cała ta moja fascynacja ulotniła się bez śladu. Ale czekaj... Może ty byś wolał nadal nocować u niej?

– Ale jakim cudem? – W głosie Adama usłyszałem wielkie ożywienie. – Przecież miałeś zamiar kupić materac i kanapę.

– Zamiar, owszem, miałem, ale to przecież nie da rady tak od razu. Po pierwsze nie mam jeszcze tych pieniędzy. Sprawdziałem dzisiaj, wciąż nie przelali mi na konto. Podejrzewam, że parę dni to potrwa. Nie wiem, nigdy przedtem nie wygrałem nic w żadnym konkursie. Mam kilkaset złotych oszczędności, na materac mi wystarczy, więc jeden z nas może spać tutaj z psem. Tak sobie myślałem, że ten drugi prześpi się u mamy, ale skoro ci zależy, żeby to było u Sary...

– Ale nie będzie głupio?

– Głupio albo i niegłupio. Ona u mnie nocowała setki razy. Poza tym wiele zależy od tego, czy ty też jej się spodobałeś.

– Przecież o to nie zapytamy! Nie wypada!

– Mnie wszystko wypada – odparł Oluś. – Ona mi opowiadała o takich szczegółach ze swojego życia, że nie masz pojęcia.

Rozmawiali tak jeszcze przez jakiś czas. Nudziło mi się, więc zabrałem się z powrotem za gryzienie tego buta, który i tak już był trochę nadgryziony. Myślałem, że może Oluś zawoła mnie i da mi mięsko, ale tego nie zrobił.

Pokręciłem się trochę po domu, przez chwilę bawiłem się znalezioną w łazience skarpetką, ale dość szybko zrobiły się w niej dziury, o które nieprzyjemnie zahaczały moje zęby. Dlatego ostatecznie wróciłem do przedpokoju i zająłem się drugim trzewikiem Olusia. Kto wie, może nawet zjadłbym go całkowicie, gdyby nie przeraźliwy krzyk mojego pana.

Potem zaś stało się coś absolutnie strasznego: coś uderzyło mnie w zadek! Byłem pewien, że atakuje mnie coś obcego, i czekałem, kiedy Oluś przyjdzie mi z pomocą, ale nic takiego się nie wydarzyło. Nie rozumiałem, co się dzieje. Aby się uspokoić, znów sięgnąłem po but, aby pożuć go jeszcze trochę. Wtedy znów poczułem ból i jednocześnie ponownie rozległ się krzyk. Myślałem o tym przez chwilę i wreszcie zrozumiałem. Gryzienie butów jest bardzo przyjemne, ale powoduje, że Oluś krzyczy, a na mój zadek spada bolesny cios. Postanowiłem odtąd gryźć buty tylko wtedy, kiedy Olusia nie będzie w pobliżu.



Było już po siedemnastej, kiedy wreszcie udało mi się wyjść z domu. Wszystko przez te nieszczęsne buty. Ziya najpierw odgryzł język od jednego, a potem kompletnie pogryzł drugi trzewik, tak więc miałem do wyboru buty sportowe z lekkiej siateczki, kompletnie nienadające się na grudniową mżawkę, oraz kalosze kupione mi kiedyś przez mamę i nigdy nienoszone.

– Naprawdę nie masz żadnych innych butów? – zapytał ze zgrozą Adam.

– Jeszcze sandały i klapki na basen – odparłem przez zęby. – Co cię tak dziwi? W polskiej szkole nie zarabia się kokosów. A zresztą nie jestem jakimś cholernym Eltonem Johnem. Nawet gdybym miał pieniądze, nie wydawałbym ich na buty.

– Dobrze już, dobrze. To w czym w końcu pojedziesz na te zakupy?

– No przecież nie w kaloszach – warknąłem.

Na szczęście zdążyłem do sklepu przed zamknięciem. Oczywiście po drodze minąłem chyba ze cztery inne obuwnicze, ale mnie chodziło o ten jeden. Kiedy wszedłem, pani Małgosia stała tyłem, ustawiając na półce kobiece botki na obcasie. Rozejrzałem się – w sklepie nie było nikogo innego. Chyba że na zapleczu, tego nie mogłem być pewien.

– Dzień dobry – odezwałem się.

Odwróciła się w mgnieniu oka.

– To pan! Dzień dobry!

Czy to tylko pobożne życzenie, czy w jej głosie naprawdę usłyszałem radość?

– Ziyó zjadł mi buty – oznajmiłem, jednocześnie wykonując skomplikowany ruch gałkami ocznymi w stronę wyjścia na zaplecze. Miało to oznaczać: „Czy jest szefowa?”. Nie mam pojęcia, co pomyślała sobie pani Małgosia, ale na pewno nie zrozumiała, o co pytam, bo nie odpowiedziała. Przechyliła się natomiast przez ladę i spojrzała na moje stopy, zupełnie jakby chciała się upewnić, czy nie przyszedłem boso.

– Jeden trzewik pozbawił języka, a drugi po prostu żuł tak długo, że zupełnie go zdeformował – kontynuowałem. – Ale ponieważ i tak zamierzałem kupić sobie porządne buty na zimę, to w sumie nic wielkiego się nie stało.

Zabrzmiało to podwójnie nieszczerze: po pierwsze stało się, bo zniszczone przez mojego psa buty były najlepszymi i najdroższymi, jakie sobie dotąd kupiłem. A po drugie „nic się nie stało” nijak nie oddawało istoty sprawy – mianowicie tego, że cieszyłem się z pretekstu, aby móc tu przyjść i spotkać się z nią.

– Czterdzieści dwa? – zapytała, rozglądając się po półkach z męskim obuwiem.

Chwilę trwało, zanim zorientowałem się, że pyta o mój rozmiar stopy.

– Tak. Skąd pani wie?

– Zgaduję – wyjaśniła. – Jest pan dość wysoki, a stopę ma proporcjonalną do wzrostu. Tak mi się wydawało, że to będzie czterdzieści dwa.

„Jest pan dość wysoki”, powtórzyłem w myślach. To dobrze czy źle? Ona lubi wysokich mężczyzn?

– Może sztyblety? – padło pytanie.

– Może to nie tylko lęk separacyjny? – zapytałem w tym samym momencie.

Przez chwilę panowało milczenie, jakbyśmy oboje analizowali własne słowa. Potem pani Małgosia roześmiała się i dodała:

– Panie Olgierdzie, o Ziyu to już może porozmawiamy po pracy, dobrze? Za piętnaście minut zamykam, zaraz tu wpadnie moja szefowa, a w tych trampkach nie może pan przecież chodzić w taką paskudną pogodę.

– Ma pani rację. Kupię buty i zaczekam na panią przed sklepem... Jest tu gdzieś może jakaś przytulna kawiarenka? Chyba że się pani bardzo spieszy do domu, w takim razie po prostu panią odprowadzę...

– Nie, akurat dziś zupełnie się nie spieszę. Marcin jest u Kacpra Borowca, robią wspólnie jakiś projekt na angielski. Jego ojciec ma go odwiedzić do domu o dwudziestej. Tak więc niespodziewanie mam wolne dwie godziny.

– Wspaniale! – ucieszyłem się. – W takim razie proszę mi pokazać te sztyblety, w zasadzie wszystko mi jedno, w czym chodzę, byle było ciepło i wygodnie.

Postawiła przede mną na ladzie trzy pary butów, różniących się głównie kolorem. Stalowszare, czarne i granatowe. Nie byłem w stanie podjąć decyzji, ale na szczęście do sklepu weszła właśnie wysoka kobieta o przenikliwym spojrzeniu.

– Dzień dobry! – zagruchała z szerokim uśmiechem na zbyt mocno umalowanych ustach. – Bardzo dobra marka, naprawdę warto. – Podeszła bliżej i wskazała na parę szarych butów. – Te chyba będą pasować do kurtki, prawda?

Spojrzałem na nią z ukosa. Nie podobała mi się, było w niej coś nieszczerego. I nie podobało mi się to, co o niej wiedziałem: że bywa niemiła dla pani Małgosi.

– Tak jak pani wcześniej sugerowała, przymierzę granatowe – zwróciłem

się do pani Berezy.

Przez moment miała zdziwioną minę, ale prędko się opanowała. Podała mi pudełko z drugim sztybletem, a ja przysiadłem na miękkim stołku i przymierzyłem nowe buty, choć tak naprawdę niespecjalnie mnie interesowały. Wciąż zerkalem na panią Małgosię, która nerwowo porządkowała ladę. Wyraźnie było widać, że czuje się bardzo spięta w obecności szefowej. Żeby jej tego nie utrudniać, bez dalszych ceregieli kupiłem buty i poszedłem do samochodu, aby je od razu włożyć, bo te, które miałem na nogach, zdążyły zamienić się w wilgotną szmatkę. Potem wysiadłem z auta i przez jakiś czas błąkałem się w pobliżu sklepu „Ciżemka”, starając się jednocześnie nie rzucać w oczy, aby nie natknąć się na mamę. Oczywiście nie miałem nic przeciwko temu, aby się spotkały, nie miałem nic do ukrycia – uświadomiłem sobie jednak, że szkoda mi każdej minuty rozmowy z panią Małgosią, każdej chwili z tych dwóch godzin, które mogła mi poświęcić. Dotąd podchodziłem do naszej znajomości zupełnie bezrefleksyjnie, po prostu lubiłem z nią rozmawiać i budziła we mnie trudne do nazwania uczucie tkliwości, bo była taka drobna, krucha i kobieca. Teraz jak grom z jasnego nieba spadło na mnie zrozumienie, że oto zacząłem się w tej kobiecie podkochiwać. Może nawet nie tyle zacząłem, co – już byłem zakochany! Jak to się stało? Kiedy?

Rozmyślałem o tym wszystkim tak intensywnie, że o mały włos bym ją przegapił. Wyszła ze sklepu, zamknęła drzwi na klucz, a potem ruszyła przed siebie wolnym krokiem, rozglądając się i najwyraźniej szukając mnie wzrokiem. Dopiero kiedy podeszła do zaparkowanego przy chodniku samochodu, uświadomiłem sobie, że ona mnie nie widzi, bo ukryłem się w bramie, że za chwilę wsiądzie do auta i odjedzie, i będzie jej przykro, że nie zaczekałem. Puściłem się biegiem. Dopadłem do jej samochodu akurat w momencie, kiedy otworzyła drzwi.

– Przepraszam – wysapałem. – Schowałem się przed deszczem w tamtej bramie. Jestem, czekam. To co z tą kawiarnią?

– A Ziyo? Nic nie poniszczy? Może być tak długo sam?

Patrzyła na mnie z uśmiechem, a na jej gładko spiętych włosach osiadały drobniutkie kropelki wody. Miałem ochotę nachylić się i po prostu ją pocałować.

– Mój przyjaciel z nim został – wyjaśniłem. – Jest psią niańką. Żeby móc pojechać po buty i materac.

– Materac? – zdziwiła się. – Nic z tego nie rozumiem. Chodźmy, tu niedaleko jest całkiem przyjemna knajpka o wdzięcznej nazwie „Torcik”. Odkryliśmy ją kiedyś z Marcinem... Obiecałam mu, że na Dzień Dziecka będzie mógł sobie wybrać, co tylko zapragnie. Zgadnie pan, co zamówił?

– Pizzę – strzeliłem. – Albo super megahamburgera.

– Pudło! Zażył sobie super megalody. Siedem smaków, do tego mus truskawkowy i bita śmietana, i jeszcze posypka czekoladowa... Musiałby go pan zobaczyć. Był zielony z przejedzenia, a trząsł się z zimna tak, jakby to była wyprawa na biegun! Ale zjadł wszystko do ostatniej łyżeczki!

– Nie bała się pani, że gardło mu wysiadzie?

– Oczywiście, że się bałam. – Kiedy potrząsała głową, jej włosy spięte w koński ogon huśtały się z ramienia na ramię. Miałem ochotę ich dotknąć. – Ale słowo się rzekło, musiałam mu pozwolić spełnić tę szaloną lodową fantazję. Zresztą potem nie miał apetytu na lody aż do końca wakacji.

Kiedy otwierałem drzwi kawiarni, ona wyciągnęła rękę, aby zrobić to samo, a wówczas nasze palce zetknęły się na moment. Odruchowo cofnęła dłoń, a zresztą może wcale nie odruchowo, tylko po prostu ten dotyk był dla niej niemiły. Co do mnie, nawet kiedy usiedliśmy już przy stoliku, rozpamiętywałem to uczucie, chłód jej drobnych opuszków i paznokci. Zupełnie zwariowałem, powtarzałem sobie w myślach. To przecież matka mojego ucznia. Nie mogę się w niej tak po prostu zakochać, nie mogę chodzić z nią na randki, bywać u niej, zapraszać jej do siebie, nie wolno mi z nią...

Zaczerwieniłem się na myśl o tym, co chciałbym robić z panią Małgosią, i odwróciłem wzrok, zupełnie jakby ona mogła wyczytać te fantazje z moich

OCZU.

– Pewnie jest pani głodna – powiedziałem, skrępowany do granic możliwości. – Może zamówimy coś na ciepło?

– Nie, dziękuję – spłoszyła się. – Dla mnie tylko herbata, ewentualnie jeszcze ciastko francuskie z konfiturą.

– W takim razie ja wezmę to samo.

Przez chwilę czekaliśmy, aż podejdzie do nas kelnerka i przyjmie zamówienie. Potem zapadła niezręczna cisza. Wiele dałbym za to, aby poznać myśli mojej towarzyszki.

– Jak tam buty? Wygodne? – zagadnęła.

– Bardzo! Najlepszym dowodem jest to, że nawet nie pamiętam, że mam je na stopach.

Nie mogłem się przyznać, że to z powodu moich kosmatych myśli na jej temat.

– Dlaczego powiedział pan, wtedy w sklepie, że według pana całe to gryzienie nie jest wcale objawem lęku separacyjnego?

– A, bo te moje nieszczęsne buty zostały pożarte, kiedy już wróciłem z pracy. Jakoś z automatu przyjąłem, że skoro Ziyó nie jest sam w domu, to nie muszę go pilnować. No i nieopatrznie zostawiłem szkodnika w przedpokoju...

– W takim razie może oprócz lęku separacyjnego mamy tu do czynienia po prostu z ząbkowaniem? Albo zwykłą nudą?

– Nudą? Psy mogą się nudzić?

– Oczywiście. Pamiętam, że wujek zabierał Korę na długie spacerów nawet w najbrzydszą pogodę. Zawsze mawiał, że jeśli nie zapewni psu rozrywki, to nie może mieć potem pretensji, jeśli rozkopie ogródek albo będzie ganiać za kurami. Starszy pies może nie tak bardzo, ale szczeniak na pewno nudzi się w domu. To są bardzo inteligentne stworzenia, ciekawe świata. Tak samo jak

ludzkie dzieci potrzebują nowych bodźców...

– Nie pomyślałem o tym – przyznałem ze wstydem. – Widzi pani, jakoś głupio zakładałem, że zwierzęta funkcjonują w bardzo prosty sposób. Że jedyne, czego taki psiak potrzebuje, to sen i jedzenie.

– Panie Olgierdzie. – Uśmiechnęła się i przesunęła dłoń leżącą na blacie stolika odrobinę w moją stronę, zupełnie jakby chciała mnie wziąć za rękę albo poklepać. – Psy posiadają wiele cech, które pana zaskoczą. Czy wie pan na przykład, że mają poczucie humoru?

Nie słuchałem, przyznaję się. Przez cały czas patrzyłem tylko na te jej smukłe palce i kombinowałem, jak to zrobić, żeby niby przypadkiem ich dotknąć. Co by zrobiła? Cofnęłaby dłoń? Powinienem spróbować? A może na to jeszcze za wcześnie? Może najpierw powinienem zaprosić ją do kina, na kolację, na spacer...

– Proszę, herbata i ciastko z konfiturą. – Głos kelnerki wyrwał mnie z tych rozmyślań i niestety sprawił też, że pani Małgosia zabrała dłoń ze stołu.

– Dziękujemy.

– Panie Olgierdzie, a o co chodziło z tym materacem? – zainteresowała się tymczasem mama Marcina. – Bo nie zrozumiałam.

– Właśnie, materac! – Stuknąłem się w czoło. – Bo widzi pani, Ziyó nie tylko pogryzł mi komplet wypoczynkowy, kapcie, bieliznę, kołnierz od pralki i buty, ale też zasiał łóżko. Pewnie dałoby się to gdzieś oddać do prania, ale mówiąc szczerze, nie wiem gdzie... To jest taki porządny materac, ze sprężynami, gruby i ciężki. Sam tego nie wypiorę. Nawet gdyby mi się udało pozbyć zapachu, już zawsze miałbym wrażenie, że śpię na psich siuśkach.

– No tak, rzeczywiście. – W oczach pani Małgosi zamigotały ogniki rozbawienia. – Ale kupić nowy to chyba spory koszt.

– A, drobiazg! – Machnąłem ręką lekceważąco, po czym natychmiast przyszło mi do głowy, że zachowuję się jak bufon. – W całej tej kabale

sprzyja mi szczęście, bo oprócz szkód, jakie poniosłem, nagle los zafundował mi niespodziankę – wyjaśniłem. – Proszę sobie wyobrazić, że wygrałem dziesięć tysięcy w konkursie radiowym!

Pani Małgosia klasnęła w dłonie.

– Niewiarygodne! – zawołała. – W takim razie co pan tu jeszcze robi?! Powinien pan natychmiast udać się na zakupy, wybrać jakieś meble, no i pralkę oczywiście!

– Nie tak prędko. Pieniądze na razie posiadam tylko w wyobraźni. Nie mam pojęcia, kiedy znajdą się na moim koncie. Póki co wystarczy jedynie na materac, bo przecież nie będę spał na podłodze.

– Ale o tej porze? Sklepy meblowe zamknięte.

– A w jakiejś Castoramie albo innym budowlanym...?

– Nie, chyba nie będzie.

Nagle jak na komendę wyciągnęliśmy komórki i zaczęliśmy sprawdzać asortyment sklepów oraz godziny otwarcia. Dopiero po dłuższej chwili zorientowałem się, że tracę cenny czas. Zaprosiłem kobietę na coś w rodzaju pierwszej randki i zamiast z nią rozmawiać, przeglądałem internet.

– Pani Małgosiu – odezwałem się.

– Nie będzie – odparła nieprzytomnie. – Meble kuchenne, łazienkowe to owszem, no i te wszystkie elementy do samodzielnej zabudowy, szafy, regały... Ale łóżek nie mają w Castoramie.

– Ja nie o tym chciałem...

Podniosła wzrok i spojrzała na mnie tymi swoimi oczyma jak migdały.

– Chcę pani podziękować. Poświęca mi pani czas, ma pani do mnie cierpliwość niczym do dziecka, które błądzi po omacku... Przecież ja nic nie wiem o psach, pytam o najprostsze rzeczy. Gdyby nie pani rady... No i ta sobotnia wizyta u brata... Dziękuję.

– Już mi pan za to dziękował. A poza tym naprawdę nie ma za co. –

Zaczerwieniła się i spuściła wzrok. – To naprawdę żaden problem. Powiedziałabym nawet, że to przyjemność. Sam pan widział, jak Marcin szalał z Ziyó, jaki był szczęśliwy.

Gdyby nie dodała tego zdania, gdyby zakończyła na „przyjemność”, mógłbym odpowiedzieć, że nie tak wielka jak dla mnie. Mógłbym wyznać, że przebywanie w jej towarzystwie sprawia mi radość, że lubię na nią patrzeć i słuchać jej głosu. Że sam nie wiem, jak to się stało, kiedy zdążyłem się zakochać, bo przecież to bujda, że takie rzeczy spadają na człowieka nagle, uczucie rodzi się stopniowo i tylko nie zawsze od razu je widać...

Tymczasem wszystkie słowa gdzieś mi się zapodziały, a ja siedziałem jak kołek, przyglądając się, jak bierze kubek w drobne dłonie, otacza go palcami, jakby chciała wchłonąć w siebie całe ciepło napoju, i delikatnie upija łyk. Miała pełne, różowe usta. A ja zaczynałem wariować na jej punkcie. Odkąd sam przed sobą przyznałem się do tego, co się ze mną dzieje, w zastraszającym tempie pojawiały się kolejne objawy miłosnego ogłupienia.

– Muszę wracać – westchnęła po chwili, a ja poczułem się tak, jakby wielka chmura przesłoniła słońce w moim sercu. – Niedługo wróci Marcinek, a jeszcze trzeba odrobić pozostałe lekcje. Więc wracając do Ziyó...



Nie mogłam myśleć o niczym innym, tylko o tym, co wydarzyło się tego wieczoru. Olgierd zaprosił mnie na herbatę, zaprosił mnie, zaprosił!, powtarzałam sobie w duchu. Czyż nie było to coś w rodzaju randki? Wprawdzie był wyraźnie rozkojarzony – wyglądał, jakby nawet nie wiedział, z kim siedzi w tej kawiarni. Ale potrafiłam to zrozumieć: miał zdewastowane mieszkanie, zasikane łóżko, zjedzone buty, musiał nocować u mamy, a w dodatku – o ile dobrze zrozumiałam – przyjechał do niego z zagranicy dawny kolega i teraz trzeba mu było załatwić nocleg u jakiejś znajomej.

Przez chwilę zastanawiałam się nawet, czy nie o to właśnie chodzi: może chciał mnie poprosić, abym przenocowała tego jego znajomego. Po namyśle uznałam jednak, że to niemożliwe. Przecież nawet nie znałam tego kolegi. Jeśli już, to mogłabym przenocować samego Olgierda.

Ta myśl sprawiła, że się rozmarzyłam. Oczywiście wzięłby ze sobą Ziyó. Rozłożylibyśmy psu posłanie w przedpokoju. Marcinek by się z nim pobawił, a potem poszedłby spać, a my oboje zagładalibyśmy do Ziyó, bo przecież trzeba sprawdzać, czy wszystko w porządku. I może za którymś razem spotkalibyśmy się przy jego legowisku. Rozmawialibyśmy, głaskali go po grzbiecie i jakoś tak by się stało, że nasze dłonie by się spotkały i żadne z nas nie zabrałoby ręki w popłochu. Pozwolilibyśmy naszym palcom oswoić się ze

sobą, a później...

Od tego, co wyobrażałam sobie później, robiło mi się gorąco. Uspokój się, upomniałam samą siebie w myślach. Nie mogłam przecież tracić głowy dla wychowawcy mojego syna. Pomijając już wszystko inne: to, że w rzeczywistości wcale go nie znałam, bo przecież nie można budować sobie wyobrażenia o człowieku na podstawie tego, że jest dobrym nauczycielem, że dzieci go lubią i że uratował psa ze śmietnika – no więc pomijając to wszystko, spotkanie się z nim (zakładając, że on w ogóle chciałby się ze mną spotykać!) byłoby kłopotliwe pod wieloma względami. Jak miałabym o tym powiedzieć Marcinowi? Jak zareagowałiby koledzy mojego synka i ich rodzice? Przecież natychmiast zaczęłyby się jakieś niezdrowe komentarze! Każda szóstka Marcina byłaby kwitowana tekstami w stylu „wiadomo, jego matka sypia z tym nauczycielem”...

Czy mogłabym zafundować coś takiego mojemu dziecku?

*

A z drugiej strony czy mogę z tak głupich powodów zrezygnować z pięknego uczucia, które właśnie zaczynało się wykluwać w moim samotnym sercu? Nawet gdyby miało być nieodwzajemnione, gdyby miało przynieść mi jedynie tęsknotę i ból, to czyż właśnie miłość nie jest jedyną rzeczą, która naprawdę nadaje sens naszemu życiu?

*

Przez pół nocy przewracałam się z boku na bok, wzdychając i usiłując wyciszyć myśli, ale na próżno. Nad ranem miałam już wszystko poukładane w głowie. Przede wszystkim muszę dążyć do tego, abyśmy się bliżej poznali. Zostaniemy przyjaciółmi, a z czasem może ta relacja zmieni się w coś więcej. Przez najbliższe pięć lat będę widywać Olgierda na wywiadówkach. Będę mu doradzać w sprawach psa, może przyda się także pomoc, na przykład gdyby potrzebował opieki dla Ziyó w niedziele, mógłby zostawiać go u nas... Marcin zapewne będzie chciał bawić się z psiakiem, więc moglibyśmy umawiać się na wspólne spacer.

Nagle uderzyła mnie myśl, że przecież Olgierd ma zamiar komuś oddać tego psa! Wspominał o tym, że musi mu poszukać domu, co więcej – ja sama mu to doradzałam! Jeśli rzeczywiście tak się stanie, stracę najważniejszy punkt zaczepienia! Doskonale wiedziałam, że jest to z mojej strony samolubne, ale bardzo chciałam, aby piesek został – jeśli nie u Olgierda, to u kogoś, kto byłby na tyle blisko... Sama nie mogłam go przyjąć pod swój dach, to nie wchodziło w grę, ale przyszedł mi do głowy mój brat! Po pierwsze miał domek z ogrodem. Po drugie przez cały dzień pracował w warsztacie, gdzie mógłby mu towarzyszyć Ziyo. Po trzecie jego żona nie pracowała. Czyż to nie idealny układ?

Postanowiłam zatelefonować do Grzegorza, gdy tylko pora stanie się odpowiednia, bo tymczasem dochodziła czwarta. Miałam dwie godziny snu. Z westchnieniem zacisnęłam powieki i ze wszystkich sił próbowałam zasnąć, mając przed oczami obraz Olgierda Zawady gryzącego ciastko francuskie z konfiturą. Na dolnej wardze został okruszek i bardzo chciałam jej dotknąć, aby go zdjąć, ale oblizał się i okazja minęła. Zresztą przecież i tak bym się nie odważyła.

*

Grzesiek najpierw odpowiedział uprzejmie na moje pytania dotyczące wykonania krzesła dla psa z achalazją, wyjaśnił, że postara się zdążyć przed świętami, ale póki co nawet nie tknął tego projektu, bo robi schody bukowe dla innego klienta, a z tym krzesłem będzie trochę zabawy.

– Fantastyczny ten psiak, musisz przyznać – rzuciłam, biorąc łyk porannej kawy.

Marcin siedział przy stole, jadł kanapkę z pomidorem i przyglądał mi się czujnie.

– No, bardzo sympatyczny.

– A jaki mądry! I Julcia się z nim tak radośnie bawiła! Miło było patrzeć!

Grzegorz umilkł. Pewnie podobnie jak mój syn usiłował przewidzieć, do

czego zmierzam.

– Wzięlibyście go! – wypaliłam. – Grzesiu, tylko pomyśl! Dzieci powinny dorastać ze zwierzętami, czytałam kiedyś taki artykuł... Podobno wśród tych, które w dzieciństwie mają psa lub kota, jest o wiele mniej przypadków alergii i astmy. W ogóle są zdrowsze i uczą się obowiązkowości, empatii...

– Co cię nagle napadło?! – obruszył się. – Dajże mi święty spokój. Chcesz, to sama przygarniaj jakiegoś psiego kalekę.

– Dlaczego „kalekę”?!

– Jest chory! Sama mówiłaś, że umiera z głodu! Przecież to psi szkielet!

– Już nie, już przybiera na wadze. Nie widziałeś go parę dni, naprawdę, teraz to niebo a ziemia.

– Nie mam teraz czasu rozmawiać – uciął. – A zresztą ty chyba też szukujesz syna do szkoły, co?

– Ale wrócimy do tematu? – zapytałam błagalnie. – Przemyśl to. Wy macie warunki, a u Olgierda, to znaczy u pana Zawady... ten piesek jest cały dzień sam. U was miałby towarzystwo, pomyśl tylko, mógłbyś go brać do warsztatu, a zresztą Kasia jest w domu...

– Ty mi życia nie urządzaj. Nigdy nie chciałem mieć psa. Przepraszam cię, Gosiu, muszę kończyć, bo odwożę dzieciaki. Cześć.

Znaliśmy się z Grzesiem jak łyse konie. Doskonale wiedziałam, co brzmiało w jego głosie, kiedy wypowiadał ostatnie zdania. Nie był pewien tego, co mówi. Zaczynał się łamać.



To niewiarygodne, jak w ciągu zaledwie paru dni może zmienić się życie. Człowiek żyje w tym swoim małym, bezpiecznym świecie, unikając zarówno niepotrzebnego wysiłku, jak i wszelkich niewygód. Jak to się teraz mówi? „Strefa komfortu”. Dokładnie tak było. Pozostawałem w tej strefie, widząc niewiele poza czubkiem własnego nosa. Moje małżeństwo było ciasne, duszne, nieudane. Chyba nie pamiętałem już, co to znaczy naprawdę rozmawiać, spędzić razem miły wieczór... Nie miałem marzeń ani planów. Do głowy by mi nie przyszło zabrać Bożenę w jakieś ładne miejsce, zatańczyć z nią, sprawić jakąś drobną radość. Zapewne byłem jednym z najgorszych mężów świata. Zasłużyłem sobie na to, by mnie porzuciła.

Jednak teraz, myśląc o tym, nie potrafiłem już odczuwać smutku, nie miałem poczucia klęski. Przeciwnie – odnosiłem wrażenie, że oto wygrałem coś, na co już w życiu nawet nie liczyłem: jeszcze jeden start, jeszcze jedną szansę. Krystyna podobnie jak ja nie pamiętała, co znaczy kochać i być kochanym. Zapomniała, jaki smak mogą mieć randki, pocałunki, jak przyjemnie jest dotykać i być dotykany, jak potrzebujemy – tak, bo wszystkim jest to potrzebne! – odrobiny uwagi, zainteresowania, aprobaty.

Czyż los nie dawał nam znaku, że pora coś zrobić z tym czasem, który mamy jeszcze przed sobą? Czy to będzie pięć lat, dziesięć, czy dwadzieścia –

nie dało się przewidzieć. Ale przecież nigdy się tego nie wie. Kiedy Krysia wychodziła za mąż, także nie miała pojęcia, że jej małżeństwo potrwa tak krótko, że większość życia przyjdzie jej przeżyć we wdowieństwie.

Oczywiście, że się bałem. Bałem się straty, cierpienia, odrzucenia, bałem się, że może nam się nie udać, tak jak nie udało się mnie i Bożenie. Ale na tym właśnie polega wychodzenie z tej nieszczęsnej strefy komfortu, myślałem. Na tym, aby się bać, a jednak wyściubić nos poza parasol tego, co pewne, bezpieczne i swojskie. Jeśli się dłużej zastanowić, to dopiero wtedy, gdy się ten nos wyściubi, zaczyna się żyć i oddychać pełną piersią.

– W sobotę? – W głosie Krystyny wyraźnie usłyszałem własne lęki. Zadzwoiłem do niej w czwartkowy wieczór, aby zapytać o plany na weekend. „Chcę cię zabrać na koncert”, powiedziałem.

Nie zapytała, jaki to koncert, gdzie, o której, ile potrwa. Od razu zaczęła szukać przeszkód.

– Za niecałe dwa tygodnie wigilia – szepnęła. – Ja mam tyle roboty... Ulepiłam już uszka i pierogi, ale przecież sprzątanie... Muszę też rozejrzeć się za prezentami, to już ostatni dzwonek...

– Krysiu – przerwałem jej. – Po koncercie możemy wybrać się na zakupy, jeśli chcesz. Doradzisz mi, co powinienem kupić synowi, a ja z kolei pomogę ci wybrać coś dla Olgierda.

Milczała przez chwilę.

– Powiedz: ile razy w ciągu ostatnich dziesięciu lat byłeś na koncercie muzyki poważnej? – zapytałem. – Ile razy poszłaś do kawiarni na deser lodowy? Ile razy snułaś się bez pośpiechu po sklepach, postanawiając czerpać przyjemność z tego, że chcesz sprawić radość komuś, kogo kochasz, ale bez tego dziwnego stresu, że musisz kupić prezent?

– Ani razu – roześmiała się. – Bajdurzysz, Staszku. Tak nie wygląda życie. W prawdziwym życiu okres przedświąteczny to jeden wielki pośpiech oraz stres i tego nie zmienią choćby najpiękniejsze słówka.

– Słówka nie – przyznałem. – Ale my możemy to zmienić. Spróbujmy chociaż. Proszę, spędźmy te święta inaczej niż wszystkie poprzednie.

Moje słowa zawisły na chwilę w ciszy, bo sam przestraszyłem się tego, co powiedziałem: przecież zaproponowałem jej wspólne święta. Nie była na to gotowa, doskonale zdawałem sobie z tego sprawę. Ona miała własne życie, ja własne, a punkt styczny między naszymi światami stanowił dotąd sklep. Raptem od paru dni mówiliśmy sobie po imieniu, a jedynym intymnym gestem, który nas łączył, był pocałunek przy bruderszafce, zbyt przelotny, aby móc go traktować jako coś znaczącego.

– Zgadzam się – odpowiedziała nagle Krystyna, sprawiając, że kompletnie straciłem rezon. – Może czasem warto zrobić coś inaczej niż dotychczas. Jak się tak zastanowić, to ostatnie dni nie przypominały niczego, co mi się przedtem w życiu przytrafiało. Mój syn znalazł w śmieciach psa, a ja się całe życie bałam psów... Tymczasem tego małego kudłacza zaczęłam traktować jak członka rodziny. Na chwilę zostałam babcią, a potem równie nagle przestałam nią być, kiedy okazało się, że Sara nie jest w ciąży. W dodatku odkryłam, że mam własne życie i niekoniecznie kręci się ono wokół Olgierda. To było dla mnie zaskoczenie. Ta chwila, kiedy Oluś przerwał nam rozmowę, a ja zrozumiałam, że wołałabym...

Urwała.

– Co zrozumiałaś, Krysiu? – zapytałem drżącym głosem.

– Że wołałabym, aby nikt nam w tamtym momencie nie przeszkadzał.

Serce zaczęło mi walić w piersiach. Przypomniałem sobie chwilę, w której Olgierd Zawada wpadł do mieszkania Krystyny. Nie, wcale nie przerwał nam rozmowy. Przerwał nam pocałunek.



– Niech lichy porwie kiermasz świąteczny! – psioczyłem pod nosem kolejny już raz.

Nie znosiłem takich przedsięwzięć. Zatrudniłem się jako nauczyciel, myślałem ze złością, a nie handlowiec. Nie miałem drygu do organizowania stoisk z ozdobami świątecznymi, nie umiałem zachęcać kupujących, mimo że cechy dobrej reklamy były mi doskonale znane (ba, nawet prowadziłem na ten temat lekcje!).

Mimo to zawsze w grudniu dawałem się wkręcić w organizację imprezy charytatywnej – zapewne dlatego, że pochwalałem jej szczytny cel. Zebrane na loterii pieniądze miały powędrować do fundacji Szymona Hołowni „Dobra Fabryka”. Szykowaliśmy więc fanty, wśród których były książki, maskotki, figurki z masy solnej, gipsowe serduszka, drewniane zakładki do książek, filcowe zawieszki i cała masa innych drobiazgów. Należało każdy z nich ponumerować, wpisać na listę, a następnie wykonać karteczki z numerkami do losowania.

W tym roku miałem nową klasę czwartą, musiałem więc najpierw wybadać grunt. W mojej poprzedniej klasie doskonale wiedziałem, na kogo z rodziców mogę liczyć, która mama zrobi na szydełku aniołki, a która

przygotuje chińskie ciasteczka z wróżbą, kto pracuje i nie może pomóc, a kto znajdzie czas, aby stanąć przy stoisku i sprzedawać. Tym razem nie znałem nikogo poza Małgosią. Panią Berezę, poprawiłem się w myślach. Zaczynałem myśleć o niej po imieniu, a przecież nie miałem do tego żadnego prawa. Analizowałem naszą „randkę” przy herbacie. Małgosia dała mi do zrozumienia, że spotkania ze mną to dla niej przyjemność ze względu na Ziyu. Że to dobrze dla Marcinka, kiedy ma kontakt z psem. Zacząłem się zastanawiać, co z tego wynika, co mogłoby wyniknąć. Gdybym zaproponował im wspólny spacer... Ziyu był już po pierwszym szczepieniu, niedługo dostanie drugą dawkę, a po drugiej – tak powiedział weterynarz – będę mógł go już zabierać do parków i na skwerki.

Rozmyślania przerwał mi telefon od Adama.

– Słuchaj, stary, o której ty zamierzasz wrócić? – zapytał z przyganą w głosie. – Bez przesady, jest po siedemnastej! Mówiłeś, że masz osiem lekcji, a tu z moich obliczeń wychodzi, że dziesięć!

– O rany, przepraszam cię, zapomniałem uprzedzić, że dziś wrócę później – stęknąłem.

Cóż, Bogiem a prawdą nie zapomniałem, tylko nie zdążyłem. Adam nocował u Sary, a ja u mamy. Rano obaj wpadliśmy do mojego mieszkania dosłownie w ostatniej chwili. Nie zdążyliśmy pogadać. Po prostu rzuciłem na stół zakupy, które zrobiłem po drodze, żeby kumpel miał co jeść podczas mojej nieobecności, szybko nakarmiłem Ziyu, po czym wystrzeliłem jak z procy, by zdążyć na pierwszą lekcję.

– Porządkuję fanty na loterię – wyjaśniłem. – Jeszcze nie dostałem wszystkich, rodzice mi tu donoszą kolejne. Mamy już czterdzieści siedem maskotek, dwadzieścia trzy zakładki...

– Dobrze, rozumiem, jeszcze nie wracasz – przerwał mi Adam. – Słuchaj, pytam, bo po pierwsze zrobiłem krokiety i one są lepsze na ciepło... To może sobie odsmażysz, jak przyjdiesz, bo ja... Ja bym wyskoczył na miasto.

Zrobiło mi się głupio. Adam przyjechał na urlop, nie do pracy,

a tymczasem ja zrobiłem z niego pełnoetatową psią niańkę! Nic dziwnego, że po całym dniu siedzenia z Ziyó w czterech ścianach zapragnął gdzieś wyjść.

– Przepraszam cię! – zawołałem. – Jasne, wyskakuj, gdzie tylko chcesz. Ziyó możesz zamknąć w łazience. Ja postaram się wrócić za godzinę lub dwie... Nic mu nie będzie, jeśli trochę posiedzi sam. W sumie powinien się do tego przyzwyczajać. Tylko uprzątnij wszystko... Papier toaletowy, brudne skarpetki, chemię gospodarczą, no wiesz. On dosięgnie wszędzie... To znaczy, dajmy na to, do metra. Zostaw mu ze dwa ręczniki do pogryzienia na strzępki i powinno być dobrze.

– Jesteś pewien? – W głosie Adama brzmiało wahanie. – Myślałem, że może przywiozę ci go do szkoły. Nie będzie pisał?

– Będzie. Ale musisz być silny, chłopie – odparłem twardo. – Po prostu wyjdź z domu i nie zwracaj uwagi na jego psie łzy. Zapasowy klucz jest w apteczce, w pudełku po kapsułkach z tranem.

– Okej, znajdę.

– No to baw się dobrze.

Byłem bardzo ciekaw, dokąd się wybiera, ale tymczasem moje myśli zaprzętnęła mama Basi Grudzińskiej, która przyniosła kolejne fanty.

– Przepraszam, że tak późno – wysapała. – Ale dopiero teraz wyrobiłam się z nakarmieniem rodziny. Proszę. Koszyczki z papieru. Wie pan, skręca się takie rurki z kolorowych gazet i potem się plecie koszycki. Można też kubeczki na długopisy czy inne przybory. Ale uznałam, że koszycki będą jak znalazł na święta. Można do nich powkładać gałązki świerkowe oraz bombki i powstaną skromne stroiki.

– Dziękuję – wydukałem niepewnie, bo koszycki z gazet były niewątpliwie jedną z najbrzydszych rzeczy, jakie dane mi było kiedykolwiek oglądać. Nawet za darmo bym nie chciał takiego paskudztwa! – Zaraz to poustawiam na stoliku, żeby na jutro wszystko było gotowe.

Liczyłem, że może pani Grudzińska pomoże mi wynieść na korytarz

kolejną ławkę i poustawiać koszyczki, ale bardzo się spieszyła, więc zostałem z tym sam. Następnie musiałem jeszcze wpisać koszyczki na listę fantów i wykonać odpowiednią liczbę kartek z numerkami. Tymczasem stukot obcasów na korytarzu zaalarmował mnie, że nadchodzi kolejna porcja fantów.

– Dzień dobry – rozległ się ciepły głos, który poznałbym na końcu świata. – Wracalam właśnie z pracy i zobaczyłam, że w klasie jeszcze świeci się światło. Pomyślałam, że to sprzątaczką i że po prostu zostawię fanty na jutrzejszy kiermasz. Ale widzę, że to nie takie proste, trzeba jeszcze ponumerować?

– Tak – wyjąkałem, tracąc cały rezon. Małgosia wyglądała ślicznie z drobinkami śniegu we włosach, zarumieniona od mrozu, który tego dnia wreszcie chwycił. – Właśnie próbuję to dopiąć na ostatni guzik.

– A kto się zgłosił do sprzedawania?

– No właśnie nikt. Chyba że pani Barczyk... Powiedziała, że jeśli znajdzie kogoś do opieki nad mamą po wylewie, to chętnie przyjdzie. Ale ostatecznie nie potwierdziła.

– Ja niestety nie mogę urwać się z pracy.

– Rozumiem to doskonale. Przecież jestem w tej samej sytuacji.

Staliśmy tak blisko siebie, że czułem jej zapach. To były jakieś delikatne perfumy, jakby z nutką cytrusów. Zakręciło mi się w głowie.

– Pani Małgosiu – wyjąkałem, nie wiedząc, co właściwie robię i mówię. – Pani jest... piękną kobietą.

Po czym zamknąłem oczy, nachyliłem się i jakimś cudem, choć zupełnie na ślepo, znalazłem jej delikatne wargi. Były tak miękkie, jakbym całował płatki kwiatu. Dotknąłem ich ustami dosłownie na ułamek sekundy, ale wtedy one wyszły mi naprzeciw, zupełnie jakby mówiły „nie przestawaj”. Nie przestałem więc. Dotknąłem jeszcze raz, i jeszcze, a potem zatraciłem się w tym pocałunku, straciłem rachubę, nie wiedziałem, kto kogo całował mocniej, kto pierwszy wyciągnął ręce, kto pierwszy zaczął wodzić dłońmi po

ramionach, plecach, szyi... Kiedy odzyskałem świadomość, gdzie się zaczynam i gdzie kończę, trzymaliśmy się oboje w ramionach, spleceni tak, jakbyśmy bardzo się bali, że gdy rozluźnimy uścisk, pogubimy się i już nigdy nie odnajdziemy.

– Mój Boże, przepraszam – szepnęła Małgosia.

– Ale za co? – zapytałem, zupełnie skołowany.

– Że pana pocałowałam.

Cóż, byłem pewien, że to ja ją pocałowałem. Najwyraźniej jednak ona była przekonana, że inicjatywa należała do niej. Czy powinienem się tym martwić? Czy nie oznaczało to przypadkiem, że pragnęła tego tak samo jak ja?

Być może należało odpowiedzieć tym samym – także przeprosić i wycofać się z tego, co się właśnie między nami zaczynało. Zamiast tego pocałowałem ją znowu. Tym razem pocałunek trwał jeszcze dłużej, a gdy wreszcie przerwaliśmy, to wcale nie dlatego, że tego chcieliśmy. Po prostu w głębi korytarza dały się słyszeć kroki pani Bogusi, sprzątaczk.

– Panie Olgierdzie, długo jeszcze?! – zawołała z wyraźną naganą w głosie. – Bo my byśmy chciały wreszcie zamknąć szkołę.

Wypuściłem z objęć zarumienioną Małgosię i wyjrzałem z klasy.

– Już kończę, pani Bogusiu. Tylko ponumerujemy... – Odwróciłem się do Małgosi i zapytałem zduszonym szeptem: – Co właściwie ponumerujemy? Co pani przyniosła?

– Bałwanki z żarówek – wyjaśniła. – Takie ozdoby. Wiem, że to głupiutkie, ale lubię w wolnym czasie bawić się w rękodzieło.

– To nie jest głupiutkie – zaprzeczyłem. – To urocze.

Rozpakowałem jeden z bałwanków. Rzeczywiście był zrobiony z pomalowanej na biało żarówki, miał czapeczkę i szaliczek zrobione z włóczki. Był absolutnie prześliczny. Zresztą chwilowo byłem w takim

stanie emocjonalnym, że cokolwiek zrobiłaby Małgosia, byłoby dla mnie prześliczne.

– Chodźmy – powiedziałem. – Ponumeruję to jutro. Zostawimy na parapecie, a rano dorobię losy. Ile jest tych bałwanków?

– Osiem. Umieściłam je w strzępkach tektury, żeby się nie potłukły.

– Dobrze. Zajmę się tym jutro – powtórzyłem. – A teraz już chodźmy.

Nie wiem, jak to zrozumiała. Może sądziła, że spieszę się do Ziyó albo że chcę już wyjść ze względu na panie sprzątające, które chciały wreszcie skończyć pracę – ale prawda była inna. Odniosłem klucz od klasy do pokoju nauczycielskiego, a potem wziąłem Małgosię za rękę i wybiegliśmy na parking, stanęliśmy w najciemniejszym miejscu za starym kioskiem Ruchu i nie bacząc na mróz, od którego szczypały nas usta, zaczęliśmy się całować jak wariaci, jakbyśmy mieli po naście lat i robili to po raz pierwszy. Przerwała tylko na chwilę, żeby zapytać:

– Nie jestem pewna, kto powinien to zaproponować, ale mam w nosie konwenanse. Czy mogę ci mówić po imieniu?

Zamiast odpowiedzieć, pocałowałem ją znowu.



Okazało się, że Adam nie jest gejem. Jednak ja bardzo się bałam kolejnego rozczarowania. Bo przecież on nie jest stąd, wróci do tej swojej Irlandii, a ja zostanę tu, gdzie mam pracę, mieszkanie, przyjaciół i rodziców. Miałam za sobą nieudany związek z facetem, któremu chciałam dać całą siebie, a który dawał mi siebie po troszku. Powinnam być mądrzejsza, powinnam była się wycofać, dopóki jeszcze mogłam. Tymczasem leciałam niczym ćma w ogień, na oślep, chcąc spalić się w tej nowej miłości, zatracić się w ramionach tego mężczyzny, o którym przecież nie wiedziałam nic ponad to, że jest najlepszym przyjacielem mojego najlepszego przyjaciela.

Potem pomyślałam: jeśli to nie jest najlepsza rekomendacja, to co miałoby nią być?

*

Adam także był ostrożny. Od razu opowiedział mi o swojej irlandzkiej dziewczynie. O tym, jak go zwodziła, jak obiecywała, że wszystko przemyśli, a potem dzwoniła tylko po to, aby oświadczyć, że nie chce się jeszcze wiązać, że nie jest gotowa. Dawała mu nadzieję po to, by za chwilę ją odebrać. Bawiła się jego gotowością do wybaczenia, jego wiernością i uległością. Aż przyszedł dzień, w którym Adam miał dość. Wyjechał do Polski, zostawiając

jej jedynie krótki list: „Wypowiedziałem umowę najmu, poszukaj sobie innego mieszkania, ja także po powrocie zamieszkać gdzie indziej”.

– Nie boisz się? – zapytałam. – To przecież skok na głęboką wodę.

Spojrzał mi w oczy tak, jakby w moim pytaniu kryło się drugie dno. Zresztą może naprawdę tak było.

– Nie boję się – odparł. – Już nie.

Przegadaliśmy prawie całą noc. Wypiliśmy wino, usmażyliśmy sobie krewetki, a potem aż do rana siedzieliśmy w moim łóżku, ja w jednym rogu, on w drugim, rozmawiając, wspominając i zwierając się sobie z marzeń i planów. Ani słowem nie wspomnieliśmy o tym, że moglibyśmy być razem, że podobamy się sobie i oboje czujemy tę niezwykłą chemię – więc wcale nie byłam pewna, czy nie wymyśliłam sobie tego wszystkiego. Zasnęliśmy dopiero około czwartej, nadal każde w swoim rogu łóżka, a kiedy budzik wyrwał mnie z głębokiego, czarnego jak smoła snu, zobaczyłam, że Adama już nie ma. Wyskoczyłam czym prędzej i skontrolowałam w lustrze stan moich włosów. Nie było źle. Nieład, ale z gatunku tych artystycznych.

Adam wychodził właśnie z łazienki. Nie wiem i pewnie nigdy się nie dowiem, czy to było celowe, czy przypadkiem zderzyliśmy się w drzwiach – ja w pomiętym ubraniu, on w samych dżinsach, z koszulką w ręce. Jeśli wcześniej wydawał mi się przystojny jak młody bóg, to teraz w moich oczach przekroczył wszelkie skale boskości. Miał umięśniony tors i szerokie ramiona. Idealny moment na pocałunek, pomyślałam, ale natychmiast przyszło mi do głowy, że nie myłam zębów. Dopadłam umywalki i czym prędzej wycisnęłam pastę na szczoteczkę.

Zanim doprowadziłam się do ładu po tej częściowo nieprzespanej nocy, Adam stał już w holu i wkładał buty.

– Muszę iść – powiedział smutno. – Oluś zaraz wychodzi do pracy, muszę go zmienić przy Ziyo.

– Tak – przytaknęłam. – Oboje mamy dziś na ósmą.

W środku wszystko we mnie krzyczało. Więc jak to, taka bliskość, tyle zwierzeń, noc spędzona na jednym łóżku niczym z najlepszym przyjacielem – a potem po prostu „muszę iść, cześć”?!

– Wskoczmy gdzieś wieczorem? – zapytał Adam, zupełnie jakby usłyszał ten mój niemy protest. – Kino? Kawiarnia?

– Tak – szepnęłam.

A wtedy on nachylił się leciutko, ja stanęłam na palcach – i pocałowaliśmy się całkiem nie jak najlepsi przyjaciele. A na myśl o tym, że Olgierdowi prawdopodobnie zajmie parę dni, zanim kupi kanapę, więc następną noc Adam także spędzi u mnie, zrobiło mi się bardzo ciepło.

*

Przez cały dzień chodziłam jak błędna, trochę z powodu niewyspania, a trochę z rozmarzenia. Wyobrażałam sobie, dokąd pójdziemy, jak spędzimy czas, czy on weźmie mnie za rękę, czy mnie obejmie. Będziemy się całować? I co będzie potem? Czy powinniśmy uprawiać seks? Nie, z pewnością nie. Na to jeszcze za wcześnie. Nie byłam pruderyjna, nic z tych rzeczy. Po prostu z jakiegoś powodu wydawało mi się, że Adam nie będzie mnie szanował, jeśli zrobimy to zbyt prędko. Nie dlatego, że właściwie się nie znaliśmy – raczej z powodu historii miłosnych, które sobie nawzajem opowiedzieliśmy. Oboje byliśmy na swój sposób pokaleczeni. Leczenie tych ran seksem z nowym partnerem nie wydawało mi się dobrym pomysłem.

Popołudnie spędziłam w najgłupszy możliwy sposób: przymierzając kolejne ciuchy i usiłując wybrać coś, co będzie wyglądało niezobowiązująco, swobodnie, jakbym zupełnie nie dbała o to, jak się ubieram – a co jednocześnie podkreśli wszystkie moje atuty i sprawi, że Adam zakocha się na zabój. Ostatecznie zagapiłam się i kiedy parę minut po osiemnastej zapukał, na sofie i na podłodze leżały powywlekane z garderoby swetry, sukienki i bluzki. Jednym ruchem zwinęłam to wszystko w ogromną kulkę i wrzuciłam na dno szafy, po czym otworzyłam drzwi, nie bacząc na to, że mam na sobie tylko dżinsy i biustonosz.

– No, no – powiedział z uznaniem, stając w progu. – Interesujący widok.

– Boże drogi! – zawołałam ze szczerym zakłopotaniem. – Zapomniałam, że zdjęłam sweter. Chciałam zrobić porządki w szafie i przymierzałam takie różne zapomniane kiecki, a kiedy zapukałeś, wpadłam w panikę, że taki tu bałagan, więc zwinęłam wszystko razem i schowałam... Sweter też.

– Wyciągniesz go i pójdziemy gdzieś? – zapytał. – Czy po prostu będziemy uprawiać dziki seks?

Wydawał się poważny, ale jego oczy się śmiały.

– Dziki seks to może kiedy indziej – odparłam, również starając się zachować powagę. – Najpierw musimy pokonać stopnie pośrednie.

– Czyli?

– Punkt pierwszy: wspólne zakupy. Zwłaszcza ciuchy albo kosmetyki. Po kilku godzinach będę wiedziała, jakim jesteś człowiekiem.

Adam westchnął ciężko.

– Nie przestraszysz mnie tak łatwo. Dam radę – powiedział.

– Po drugie kuchnia. Muszę sprawdzić, czy potrafisz usmażyć omlet, jajecznicę, ugotować budyń...

– Kochana, gotowanie to mój żywioł! – zawołał. – Co powiesz na polędwiczki w sosie pieprzowym? Zupę krem z cukinii? Placki ziemniaczane po cygańsku? Barszcz ukraiński? A może wolisz sałatkę z rukoli z gruszką i serem pleśniowym?

– Dobrze, poddaję się!

– A punkt trzeci? – Podeszedł bliżej i wreszcie mnie dotknął. Objął mnie w talii i leciutko przyciągnął do siebie. – Powiedz, zniosę wszystko. Jeśli potem ma być ten dziki seks...

– Nie wystarczy ci odwagi.

– Wystarczy. Obiecuję.

– Punkt trzeci to wizyta u moich rodziców – wypaliłam. – To jest dopiero wyzwanie!

Tak naprawdę żartowałam. Sądziłam, że podchwyci żart, pośmiejemy się trochę, że w takim razie „dziki seks” będzie musiał poczekać, ale Adam niespodziewanie pocałował mnie w czoło i powiedział jak najpoważniej:

– Nie mogę się doczekać, maleńka.

*

Tak więc ustaliliśmy, że w weekend wybierzemy się na wieś do moich rodziców. Nie powiedziałam Adamowi, bo chciałam, żeby to była niespodzianka dla Olgierda, ale zamierzałam namówić staruszków, aby przygarnęli Ziyó i zdjęli to brzemię z ramion mojego przyjaciela. Wyobrażałam sobie, jaką sprawię mu radość, jak odżyje, kiedy dowie się, że jego podopieczny ma do dyspozycji dom z ogrodem, że nie musi przechodzić żadnej kwarantanny, może sobie siusiać na trawkę jak Pan Bóg przykazał, że nie zostaje sam, więc nie musi przeżywać żadnego głupiego lęku separacyjnego... To będzie fantastyczny prezent gwiazdkowy, uznałam.

Tymczasem zaś, w ramach realizacji punktu pierwszego, zabrałam Adama na zakupy. Tak naprawdę nie chciałam nic kupować, ale przymierzyłam kilka uroczych fatałaszków, najpierw po to, aby się z nim podroczyć, a potem – ponieważ rozśmieszał mnie do łez za każdym razem, kiedy próbował mi się władować do przymierzalni i pocałować mnie, zupełnie jakbyśmy mieli rozstać się na kilka godzin. W jakimś artykule czytałam, że znacznie skuteczniej uwodzi mężczyzn, który potrafi nas rozśmieszyć, niż ten, który jest superprzystojny i seksowny. No więc tu miałam mieszaną idealną. Dwa w jednym. Szczyt marzeń.

Punkt drugi, czyli gotowanie, zrealizowaliśmy niejako z rozpędu. Po prostu podczas wizyty w galerii handlowej odwiedziliśmy też supermarket, Adam nawrzucał do koszyka jakiejś zieleniny i serów, a także białe wino – a potem, po powrocie do domu, kiedy ja uprzątałam bałagan z dna szafy, podwinął rękawy koszuli i przygotował taką sałatkę, że klękajcie narody!

– I jak? – zapytał po kolacji, kiedy wypiliśmy już ostatni kieliszek wina. – Zdałem egzamin?

– Zdałeś celująco – szepnęłam.

Czekałam, że może poprosi o anulowanie punktu trzeciego. Mógłby powiedzieć, że pragnie mnie do szaleństwa, że nie chce czekać ani sekundy dłużej. Zamiast tego posprzątał ze stołu i załadował zmywarkę, a potem podszedł do mnie, odgarnął mi włosy, leciutko dotknął ustami mojego ucha i szepnął:

– Naprawdę nie mogę się doczekać wizyty u twoich rodziców. A jeszcze bardziej tego, co z tobą zrobię, gdy już wrócimy.

I to było tysiąc razy bardziej podniecające, niż gdyby wziął mnie na ręce, zaniósł do łóżka i kochał się ze mną niczym Casanova.



Tak dawno nie byłam zakochana! Zastanawiałam się nawet, czy kiedykolwiek byłam. Wydawało mi się, że nigdy nie czułam się w ten sposób – jak tykająca bomba, która lada moment eksploduje i zasypie cały świat bańkami mydlanymi w kształcie serduszek, w dodatku z wizerunkiem Olgierda. Albo czymś równie idiotycznym. Chciałam mówić i myśleć tylko o nim. Kiedy znajdowałam wolną chwilę, zamykałam oczy i wyobrażałam sobie jego twarz, zmierzwione włosy, dłonie, ramiona, uśmiech, pocałunki...

Wtedy, w czwartek, kiedy wreszcie udało mi się – naprawdę nadludzkim wysiłkiem – oderwać od jego ust, wróciłam do domu, łamiąc po drodze chyba wszystkie możliwe przepisy. Byłam zupełnie rozkojarzona. Marcin prosił, abym opowiedziała mu o przygotowaniach do kiermaszu, lecz zbywałam go półsłówkami.

– Ale zawiozłaś fanty? – zapytał wreszcie ze łzami w oczach. – Bo pan Zawada mówił, że dziś ostatni dzień.

Pan Zawada. Olgierd. Mój Olgierd.

– Tak, oczywiście, że zawiozłam – uspokoiłam Marcina i przytuliłam go, bo dopadły mnie wyrzuty sumienia. – Przepraszam cię, synku, padam na twarz. Wszystko jest załatwione, nie martw się. Było już późno, więc numerki

pan Zawada dorobi jutro. Ale bałwanki bardzo mu się podobały.

– Powiedziałaś, że sama zrobiłaś?

– Tak, oczywiście.

– To dobrze.

Uspokojony i zadowolony, wykąpał się i poszedł spać, a ja mimo zmęczenia leżałam jeszcze długo, ściskając w dłoni telefon komórkowy i zastanawiając się, czy wypada zadzwonić. Co niby miałabym powiedzieć? Że jestem szczęśliwa? Że Olgierd cudownie całuje?

Zanim cokolwiek sensownego przyszło mi do głowy, komórka zadrgała w mojej dłoni. Odebrałam natychmiast – tak, że Olgierd z pewnością domyślił się, jak bardzo na to czekałam. Tyle że nadal miałam w nosie konwenanse.

– Małgosiu? – odezwał się szeptem.

– Tak?

– Spałaś? Obudziłem cię?

– Nie, skądże. Nie wiem, czy w ogóle zmrużę oczy.

– Ja też. Serce mi wali, jakbym przebiegł maraton.

– A ja mam rumieńce. Policzki mnie pieką.

– To dlatego, że ciągle o tobie myślę. Kiedyś był taki przesąd, że jeśli kogoś pieką policzki...

– Tak, wiem. U nas w domu też się tak mówiło.

Umilkliśmy. Powtarzałam sobie w duchu to, co właśnie wyznał: że o mnie myśli. Serce we mnie śpiewało z radości.

– Jak myślisz, czy powinniśmy się ukrywać przed Marcinem? – zapytał nagle Olgierd, sprowadzając mnie na ziemię.

– Nie wiem – odparłam ostrożnie. – A jak ty myślisz?

– Nie mam pojęcia – wyznał. – Ja się w gruncie rzeczy nie znam na dzieciach. Umieję je uczyć, ale takie codzienne wychowanie to zupełnie inna sprawa. Nie wiem, jak może zareagować. Będzie o ciebie zazdrosny? Co to będzie dla niego oznaczało? Że próbuję mu ciebie odebrać?

Milczałam. Nie byłam pewna, do czego zmierza. Może w ten delikatny sposób próbuje mi dać do zrozumienia, że powinniśmy się cofnąć o krok? Że nie powinnam sobie zbyt wiele wyobrażać?

– Chciałbym spędzać z tobą każdą chwilę! – rzucił zduszonym szeptem, a wtedy wreszcie zrozumiałam, że tak samo jak ja okropnie boi się, aby niczego nie zepsuć. – Chciałbym ciągle słyszeć twój głos. I tylko nie wiem, czy mi wolno.

– Wolno – odparłam, wciąż ostrożnie dobierając słowa. – Tylko... może nie od razu. Wszelkie zmiany wymagają czasu. Najpierw moglibyśmy się spotykać na wspólnych spacerach z Ziyó. Podczas jednego z takich spacerów możemy przejść na ty... Rozumiesz, na użytek Marcina. Żeby miał czas przywyknąć, że stałeś się dla mnie kimś innym niż nauczyciel syna, że jesteś moim... przyjacielem.

– Tak – szepnął Olgierd. – Tak zrobimy. A potem zaproszę was na pizzę albo coś. Nie umiem robić pizzy, ale się nauczę. A w ostateczności mogę zamówić, prawda?

– Tak, oczywiście. – Roześmiałam się. – Jest jeszcze trzecia możliwość: że zaprosisz nas, abyśmy cię nauczyl. Jesteśmy mistrzami domowej pizzy.

– Naprawdę?! Wspaniale. Nie mogę się doczekać.

*

Przegadaliśmy dwie godziny. Niby nie mówiliśmy o niczym ważnym, ale przecież poznawaliśmy się lepiej z każdym zdaniem. Już wiedziałam, że nigdy nie tknęłyby placków ziemniaczanych ze śmietanką i cukrem, za to uwielbia z sosem czosnkowym. Że lubi morze, ale poza sezonem, a jeśli latem, to na bardzo odludnej plaży, bo jeśli zobaczy choć jeden parawan albo

kocyk, od razu ma ochotę uciekać. I że uwielbia góry. Że słucha wszystkich gatunków muzycznych, ale nogi podrygują mu do tańca tylko przy bluesowych kawałkach. Że uwielbia książki Myśliwskiego, a nie trawi tak zwanej literatury kobiecej. Zresztą przy tym stwierdzeniu omal się nie pokłóciliśmy.

– Ale co to właściwie znaczy, że nie trawisz? – zapytałam buńczucznie. – Ile takich książek przeczytałeś?

– No właśnie wcale ich nie czytam.

– Przecież to śmieszne! Skoro nie znasz, to nie powinienes się wypowiadać.

– A ty ile przeczytałaś ostatnio horrorów?

– Żadnego! Nie lubię horrorów.

– A widzisz?! Czy to nie jest przypadkiem analogiczna sytuacja?!

– Nie, absolutnie! – zawołałam z przekonaniem. – Bo horror to gatunek, a „literatura kobieca” nie jest jednym gatunkiem. Tym idiotycznym określeniem nazywane są zarówno romanse, jak i naprawdę dobre powieści obyczajowe, a nawet kryminały. Tylko dlatego, że napisały je kobiety. Przecież to głupie.

– No nie, kryminał to kryminał.

– A powieść obyczajowa to powieść obyczajowa. Nie ma znaczenia, kto ją napisał.

– Rzecz w tym, że na ogół pisze ją kobieta i w dodatku według określonego schematu: bohaterka jest idealnie piękna i spotyka przystojniaka, z którym się kłóci albo któremu uszkadza samochód, by na końcu paść w jego ramiona. Na okładce jest uśmiechnięta modelka i gałązka jabłoni albo filiżanka z gorącą czekoladą i puchaty kocyk, w zależności od pory roku...

– Nie oceniaj książki po okładce – odparowałam. – No dobrze, przyznaję, że w tej dziedzinie nie jest najlepiej. Samą mnie drażnią te wszystkie

piękności na obwolutach... Zwłaszcza że często nijak się mają do treści. Ale nie o tym rozmawiamy. Może umówmy się tak: ja ci podrzucę dobrą powieść obyczajową, a ty mi pożyczysz coś Myśliwskiego, bo wstyd się przyznać, ale nie znam. I potem podyskutujemy.

Westchnął ciężko. Pewnie był już śpiący. Co do mnie, powieki mi opadały, ale nie chciałam się do tego przyznać, aby Olgierd nie skończył rozmowy. Nie mogłam sobie wyobrazić, że resztę nocy spędzimy osobno.

– Zgoda – odpowiedział. – Ale to musi być naprawdę dobra książka obyczajowa, dobrze? Bo bardzo chciałbym przyznać ci rację.

– Ja też bardzo chcę, abyś ją przyznał.

– Będę mógł cię wtedy pocałować, że niby wiesz, na przeprosiny. Że się myliłem.

– Koniecznie.

W słuchawce zapadła cisza. Wyobraziłam sobie tę scenę, ten pocałunek i to, co mogłoby się zdarzyć później. Byłam ciekawa, czy Olgierd także o tym myśli. Nagle zauważyłam, że w drzwiach mojej sypialni stoi Marcin.

– Mamo, ty w nocy rozmawiasz o książkach? – zapytał z niedowierzaniem.

– Synku, w tej chwili wracaj do łóżka! – zawołałam, a do telefonu szepnęłam: – Muszę kończyć, do usłyszenia jutro.

– Mamo...

– Do łóżka, powiedziałam.

– Ubierzemy w tym tygodniu choinkę?

Rozczuliłam się. Marcinek miał już jedenaście lat, ale chwilami wciąż zachowywał się jak przedszkolak. Mój mały chłopczyk... Przecież to on jest i zawsze będzie najważniejszą mężczyzną w moim życiu.

– Ubierzemy, jeśli chcesz – odparłam. – A teraz już naprawdę idź spać.

*

Zanim zasnęłam, zastanawiałam się, czy podczas rozmowy wymieniałam imię Olgierda i czy powiedziałam cokolwiek, co mogłoby zaniepokoić Marcina. Chyba nie. Ale nie byłam pewna – i to sprawiło, że obudziłam się z okropnymi wyrzutami sumienia. Nie wiedziałam, jak powinnam postąpić. Zataić przed synem, że zakochałam się w jego wychowawcy? Czy właśnie powiedzieć mu o wszystkim, narażając go na rozczarowanie, jeśli mnie i Olgierdowi się nie uda?

Choć z drugiej strony – dlaczego miałoby nam się nie udać? Muszę tylko zrobić coś, aby Ziyó nie trafił do obcych ludzi. Ten psiak stanowił idealny łącznik między nami, pretekst, abyśmy widywali się także poza szkołą. Postanowiłam, że następnego ranka jeszcze przed pracą zadzwonię do Grześka.



Nastały bardzo dziwne dni. Nocowaliśmy u mamy Olusia, a rano wracaliśmy do jego mieszkania. Przestałem się bać auta, bo okazało się zupełnie niegroźne, tylko hałaśliwe. Podobnie jak stwór, na który mówili „odkurzacz”. Wprawdzie na wszelki wypadek nadal na niego powarkiwałem, ale już się przekonałem, że nie robi mi krzywdy.

Przedtem wciąż zostawałem sam i musiałem sobie szukać rozrywki, co nie było łatwe w pustym pomieszczeniu zwanym łazienką. Teraz wokół mnie ciągle coś się działo. Po pierwsze pojawił się Adam, który bardzo lubił ze mną rozmawiać. Nie rozumiałem wiele z tego, co mówił, czasem tylko pojawiały się słowa „Oluś” oraz „Sara” (już wiedziałem, że to ta kobieta, która na początku brzmiała bardzo mokro, ale ostatnio już jej się to nie zdarzało). Niestety nigdy nie mówił „mięsko”. W ogóle specjalistą od mięska był Oluś, potrafił przyrządzić je w taki sposób, że było najlepsze na świecie. Już nie wypadało mi z gardła, ale wspomnienie tamtych pierwszych głodnych tygodni wciąż mi towarzyszyło, dlatego na wszelki wypadek jadłem wszystko, co się dało.

Druga wielka zmiana polegała na tym, że ciągle ktoś mnie czymś zabawiał. Oluś kupił mi mnóstwo przedmiotów, które wolno było gryźć, choć niestety nie było przy tym zbyt wiele frajdy, bo były zrobione z czegoś tak

twardego, że moje zęby nie dawały temu rady. Na jedną z tych rzeczy Oluś mówił „piłeczka”, na inną „kaczka”, oprócz tego były także „gałganki”, „sznur” i „gryzaki”. Najbardziej lubiłem, kiedy Adam rzucał mi piłeczkę, a ja ją przynosiłem, ale udawałem, że nie chcę oddać.

Raz tylko się rozchorowałem – kiedy Oluś przebierał się w swoim pokoju i zostawił na podłodze pięknie pachnącą skarpetkę. Nie zwrócił na to uwagi, tylko pogłaskał mnie, a potem włożył kurtkę, mówiąc do Adama:

– Jest nakarmiony, wszystko powinno być okej, tylko pilnuj butów.

Z tego, co zauważyłem, „pilnuj butów” musiało oznaczać coś dobrego, bo zawsze kiedy któryś z nich to mówił, obaj pokazywali zęby, ale nie warczeli przy tym, tylko rozciągali twarze w taki sposób, jak robią to psy, kiedy chcą okazać radość i gotowość do zabawy.

Akurat tego dnia Oluś wydawał mi się jakiś bardziej ożywiony niż zwykle. Pachniał bardzo intensywnie, ale nie jedzeniem, był ruchliwy i chyba roztargniony. Może dlatego nie zauważył zguby. Skarpetka leżała na podłodze w jego pokoju, tam gdzie pachnące moimi siuškami legowisko.

– Dziś wrócę późno – mówił dalej Oluś do Adama. – Mamy ten nieszczęsny kiermasz i podejrzewam, że posiedzę nad tym wszystkim po lekcjach, zanim podliczę pieniądze i tak dalej. Ale w weekend sam zajmę się Ziyó, obiecuję. Ty, psia nianiu, będziesz miał wychodne.

– To mi pasuje – odparł Adam. – Nie przejmuj się, rób swoje przy tym kiermaszu. Zresztą gdybym musiał wyjść, to zostawię szkodnika w łazience, tak jak wczoraj. Sam mówiłeś, że nie powinien się odzwyczajać.

Po wyjściu Olusia Adam zajął się rozmową z telefonem, a ja – skarpetką. Pachniała tak pięknie, że najpierw długo ją żułem, a potem, ponieważ zaczęła się rozłazić i wystawały z niej nitki, zacząłem ją jeść. Właściwie nie miałem zamiaru połykać, ale jak zwykle samo tak wyszło. Potem zrobiło mi się niedobrze, więc powlokłem się na gazety. Sądziłem, że tak jak dawniej wszystko mi się wyleje z gardła, ale zamiast tego zacząłem charczeć.

Adam skończył już rozmawiać, ale nie zwracał na mnie uwagi. Rozciągnął się na fotelu, wyprostował nogi i też charczał. Zastanawiałem się, czy to możliwe, że on także zjadł skarpetkę, ale to było jakieś inne charczenie, jakby wymieszane z pogwizdywaniem, więc chyba jednak od czegoś innego.

Zrobiło mi się bardzo źle, zacząłem się trząść i wreszcie wylała się ze mnie woda, ale potem oddychało się jeszcze trudniej, więc wdrapałem się na pachnące siuškami legowisko i postanowiłem tam czekać na powrót Olusia.

*

Budziłem się kilkanaście razy. Raz było ciemno, raz jasno, więc nie byłem pewien, czy to ciągle ten sam dzień. Zmieniali się też ludzie. Widziałem zatroskaną twarz Olusia, Adama, kobiety zwanej mamą, tego człowieka, na którego Oluś mówił „weterynarz”, a także Sary. Każde z nich mnie głaskało i mówiło mi do ucha różne rzeczy, na przykład „wyzdrowiejesz”, „musisz żyć” i „będzie dobrze”. Oluś znów spał ze mną – najwyraźniej przestał mu przeszkadzać zapach siušków, bo nie jeździliśmy już na noc do mamy. Któregoś razu, kiedy wtulił twarz w mój łeb, wyszeptał:

– Przecież ja cię kocham, głupi kundlu. Nie możesz mnie zostawić.

Próbowałem zamerdać ogonem, bo czułem, że to było coś prawie tak miłego jak „mięsko”, ale ogon nie chciał mnie słuchać. Czułem się bardzo słaby.

*

Nie byłem pewien, jak długo to trwało, bo wszystko zlewało mi się w jeden długi sen, w którym tylko migały twarze ludzi i ich słowa. Ale wreszcie przyszedł taki dzień, w którym poczułem się lepiej, Oluś wcisnął mi do pyska trochę tej tłustej mazi, po której nabierałem sił, a potem zawiózł mnie do mamy i zostawił na miękkim kocyku.

– Za parę dni święta – oznajmił. – Nie mogę wiecznie spać na zasikany łóżku. Jadę wreszcie po ten materac. Kanapa i fotele zamówione przez

internet, ale pewnie dostawa będzie już po Bożym Narodzeniu...

– To nie ma znaczenia, bo przecież i tak święta spędzicie z Adasiem u mnie. Więc po co ci kanapa? – odparła jego mama, siadając przy mnie i delikatnie głaszcząc mnie po uszach. – A Sara nie wyjeżdża do rodziców?

– Dlaczego pytasz?

– Bo to pewnie dla niej niezręczne, że Adam tak długo u niej nocuje.

– Nie wiem, czy niezręczne – odparł Oluś, odwracając wzrok. – Chyba się polubili. No nic, jadę na te zakupy. Uważaj na niego, bo odzyskuje siły, może zacząć psocić.

– O niczym innym nie marzę – zaśmiała się mama. – Choć sama nie wierzę, że to mówię.

*

Oluś wyszedł, a ja zostałem, ale wcale nie piszczalem. Czułem się bezpiecznie i dobrze. Oddychało mi się coraz łatwiej, już nie charczałem. Sam nie wiem, jak to się stało, że mama Olusia zaczęła mnie przytulać. Na początku przecież mnie unikała.

– Nie martw się – szepnęła mi do ucha. – Mamy ze Staszkiem sprytny plan. Oluś jeszcze nie wie, to będzie dla niego niespodzianka.

*

Po raz kolejny ocknąłem się, kiedy w mieszkaniu był mężczyzna, o którym już wiedziałem, że ma na imię Staszek. Widywałem go wcześniej, pojawiał się w czasie tych moich krótkich przebudzeń, głaskał po grzbiecie i coś szeptał. Czasem nawet brał mnie na ręce. Tym razem, kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem, że przytula mamę Olusia.

– Tym się nie kłopot – mówił. – Ja już wszystko obmyśliłem. Przecież Ziyó może ze mną wszędzie jeździć. Mam duże auto, może tam mieć swój kocyk...

– Po towar też? – zapytała mama z powątpiewaniem.

– A dlaczego nie?

– Sama nie wiem... Na te dłuższe trasy... To chyba nie jest dobry pomysł.

– Dobrze, więc zostanie. Będzie miał ogród do dyspozycji...

– A zimą? To nie jest zdrowy pies podwórkowy. Sam widzisz, ledwie się wykaraskał z kolejnego zapalenia płuc.

– Więc w ostateczności mógłby zostawać z tobą. Brałabyś go do sklepu.

– Chyba żartujesz! A klienci?!

– Sądzisz, że to mogłoby im przeszkadzać? – zdziwił się, wciąż trzymając ją w ramionach. – Przecież to nie jest sklep spożywczy, prawda? Pies może sobie siedzieć na zapleczu, będzie tam miał zabawki, te wszystkie sznurki i gumowe kaczki... Zresztą nie mówię, że codziennie.

– Och, Staszku, nie wiem, jak to będzie.

Mężczyzna puścił ją i usiadł na kanapie. Myślałem, że może weźmie mnie i położy sobie na kolanach, jak to już robił wcześniej, ale wyglądał, jakby zapomniał o moim istnieniu.

– Widzę, że czymś się martwisz – powiedział. – Mów.

Mama Olusia westchnęła i usiadła naprzeciwko, w fotelu. Ona także nie wzięła mnie do siebie, co uznałem za bardzo nieuprzejme.

– Sama nie wiem – odparła. – Niby wszystko się układa... Ale widzę, że Olgierd jest jakiś rozkojarzony... Ten jego związek z Sarą chyba wisi na włosku. Wcześniej tyle o niej opowiadał, a teraz ani słowa. Za to Adam spędza u niej noce... Ja mu oczywiście ufam, traktuję go jak drugiego syna, ale...

– Jeżeli Olgierd nie widzi powodu do niepokoju...

– Kiedy właśnie nie wiem, czy nie widzi. Właśnie mówię, że wygląda na jakiegoś nieobecnego.

– Krysiu!

– Tak?

– Czy nie mogłabyś po prostu cieszyć się tym, co mamy? Nie doszukiwać się problemów tam, gdzie prawdopodobnie wcale ich nie ma? Pamiętasz, co sobie obiecaliśmy? Że przeżyjemy te święta inaczej niż wszystkie poprzednie.

– Tak, tak, pamiętam. I naprawdę się staram. Nie umyłam okien, nie odsunęłam szafek i nie wyszorowałam fug. To chyba pewien postęp, prawda? Poza tym poprzestanę na ośmiu potrawach, które naprawdę lubimy, nawet jeśli tradycyjnie w naszym domu zawsze było ich dwanaście.

– Zuch dziewczyna!

– À propos potraw wigilijnych: miałeś się zastanowić, czy przyjdiesz na wieczerzę.

– Nie, Krysiu, nie gniewaj się. Myślę, że dla mojego syna to mogłoby być zbyt wiele. I tak przeżyje szok, że nie przełamie się opłatkiem z matką. Niby jest dorosły, ale pewne rzeczy odczuwa się tak samo boleśnie...

– Tak, Staszku, rozumiem. Nie musisz mi tego tłumaczyć. Ale na świąteczną kawę z ciastem przyjdiesz?

– Przyjdę. Na pewno.



– Więc może chociaż pierwszego dnia świąt? – wyszeptałem niecierpliwie w słuchawkę. – Przecież nie wytrzymam dłużej bez ciebie.

– Wariat.

– Mówię poważnie. Już tęsknię.

W ciągu ostatnich paru dni nie mieliśmy zbyt wielu okazji, aby się spotkać. Ja byłem zajęty głównie jeżdżeniem do weterynarza na kroplówki, aby wyciągnąć Ziyo z zachłystowego zapalenia płuc. Małgosia miała swoje obowiązki, głównie rodzicielskie. Wieczorami dzwoniliśmy do siebie i opowiadaliśmy sobie nawzajem, jak minął nam dzień: ubrałam choinkę, upiekłam piernik, zrobiłam dekoracje z pomarańczy i goździków i teraz całe mieszkanie pięknie pachnie, kupiłem półkę do łazienki, dałem do obszycia dywan, pomogłem mamie zrobić zakupy świąteczne...

– Zadzwoń w wigilię wieczorem, gdy Marcin pójdzie spać – obiecała.

– Ale to nie to samo – upierałem się. – Jesteśmy w sobie zakochani. Powinniśmy się spotkać, przełamać opłatkiem, śpiewać razem kolędy. Powinienem cię przedstawić mojej mamie.

– Twoja mama już mnie zna.

– Tak, jako chudziutką Małgosię z obuwniczego...

– Tak o mnie mówi?

– Owszem, kiedyś się tak wyraziła.

– Uważasz, że jestem za chuda?

– Małgorzato! Jesteś idealna!

Roześmiała się, a ten śmiech był śliczny niczym muzyka. Mógłbym go słuchać godzinami. Miałem ochotę nieustannie ją rozśmieszać.

– Wracając do pierwszego dnia świąt – podjąłem. – Mówiłem poważnie. U mojej mamy spotyka się kilka osób, przyjdzie jej nowy przyjaciel, mój kumpel Adam i przyjaciółka Sara, będę ja i Ziyó...

– Olgierd, wiesz przecież...

Tak, wiedziałem. Bała się. Nie o samą siebie, lecz o Marcina, o jego zawiedzione nadzieje, jeśli nam się nie uda.

– Ja nie mówię, żeby z Marcinem. Rozumiem, że to trzeba stopniowo. Ale sama mówiłaś, że całe święta spędzacie u Grześka, że Marcin bawi się z kuzynostwem. Więc może gdybyś się urwała na godzinkę...

Milczała. Czułem, że zastanawia się nad moją propozycją.

– Od czegoś trzeba zacząć – dodałem szybko. – Pomyśl: będzie nam łatwiej, jeśli moja mama i przyjaciele będą o nas wiedzieli. Zostanie nam wtedy tylko twój brat i...

– Dobrze – przerwała mi zdecydowanym tonem. – O której mam być?

– O jedenastej. Podjadę po ciebie...

– Nie, odwrotnie. Ja przyjadę do ciebie, dobrze? Coś wymyślę... Że niby koleżanka z pracy jest samotna albo coś.

– Ty kłamczucho.

– Cel uświęca środki – roześmiała się. – Czuję się trochę jak nastolatka, która podkrada ojcu papierosy. Jest w tym trochę poczucia winy, ale też

niezła frajda.

*

Ku mojemu zaskoczeniu w wigilijne przedpołudnie firma kurierska dostarczyła mi zamówiony przez internet komplet wypoczynkowy, więc kilka godzin mieliśmy z Adamem z głowy. Na szczęście szubę, czyli śledzie pod pierzynką zrobiliśmy już wcześniej (co roku mama zlecała nam wykonanie tej potrawy). Mogliśmy poświęcić niemal cały dzień na urządzenie na nowo mojego mieszkanka. Wystawiliśmy na śmietnik kanapę oraz pogryziony fotel. Ten nienaruszony postanowiliśmy wstawić do sypialni jako legowisko dla Ziyu. Zaakceptował nowe miejsce natychmiast. Materac w łóżku wymieniłem już kilka dni wcześniej. Czułem się, jakbym zaczynał nowe życie.

Ostatecznie omal nie spóźniliśmy się na kolację wigilijną. Czułem się dziwnie, inaczej niż zwykle w ten wieczór. Byłem podekscytowany i smutny jednocześnie. Przeczuwałem, że kończy się w moim życiu pewna epoka. Kto wie, czy to nie ostatnia taka wigilia. W przyszłym roku wszystko będzie inaczej: mama znalazła sobie mężczyznę i oczywiście bardzo się z tego cieszyłem, ale nie dało się ukryć, że jego obecność przy stole zmieniałby wszystko. Podobnie jak obecność Małgosi i Marcina. Co nie znaczyło, że nie chciałem tych zmian. Chciałem. Tylko odrobinę się ich obawiałem. Chyba zawsze tak jest, gdy zostawiamy coś, co oswojone i znajome od dzieciństwa, i zamierzamy zrobić krok w nieznane.

– Chodźcie, kochani – powiedziała mama, niosąc wazę pełną gorącego barszczu.

Adam zapalił świece, a ja włączyłem ulubioną kolędę mamy: *Bóg się rodzi*. Odkąd pamiętałem, od niej właśnie zaczynaliśmy wieczór wigilijny. Ziyu podniósł łebek i przyglądał się ciekawie temu, co robimy. Pewnie dziwił się nowym zapachom.

Staliśmy przy stole, uroczyści i wzruszeni. Czy wszyscy myśleliśmy o tym samym? O tym, jak tradycja przeplata się ze zmianami? Najwyraźniej tak, bo mama delikatnie ujęła opłatek w dwa palce i rzekła:

– Gdyby rok temu ktoś mi powiedział, że na kolejnej wigilii będę gościła psa, chyba padłabym trupem. Tymczasem, jak widzicie, nie tylko wciąż żyję, ale też mam się lepiej niż kiedykolwiek. I nawet lubię tego kundelka. Życzę wam i samej sobie, synkowie, odwagi. Żebyśmy przestali się bać zmian, żebyśmy śmiało podejmowali decyzje. Kiedy tak patrzę w przeszłość, to...

Spodziewałem się, że powie coś o matczynej miłości. O tym, że tylko my i Judyta nadawaliśmy sens jej życiu. Zawsze to mówiła podczas wigilii.

– ...to widzę, że dotąd moje życie było okropnie nudne. Nie powtarzajcie moich błędów, chłopcy!

Byliśmy tak zaskoczeni, że żaden z nas nie wykrztusił nic poza sztampowymi życzeniami zdrowia i pomyślności. Potem przełamaliśmy się opłatkiem i wreszcie usiedliśmy do tych pyszności, na które człowiek czeka cały rok: do uszek z grzybami i pachnącego majerankiem barszczu, do klusek z makiem, pierogów, szuby i śledzi w śmietanie, i kompotu z suszu, i makowca...

W tym roku mama nie zrobiła kutii ani kapusty z grochem, zrezygnowała też z pierniczków oraz okropnego ciasta zwanego gałęzią wigilijną, a ja w głębi duszy dziękowałem za to niebiosom, ponieważ nikt nie lubił tych potraw i wszyscy zawsze jedliśmy je z grzeczności.

Zwykle po kolacji następował moment wzruszeń, wspomnień i rzewnego śpiewania kolęd. Tym razem po raz pierwszy śpiew nie był smutny, lecz radosny, a zamiast snuć wspomnienia, mama podeszła do barku i szepnęła konspiracyjnie:

– Stanisław podarował mi buteleczkę aroniówki. Jest gęsta jak galaretka. Spróbujemy, chłopcy?

Spróbowaliśmy. Nalewka była znakomita, aromatyczna i słodka. Ziya spał na moich kolanach, mama z rumieńcami na policzkach opowiadała, że postanowiła wykupić sobie karnet na basen, bo nie pamięta już, czy nadal umie pływać.

– Tego się nie zapomina – oznajmił Adam tonem stuletniego mędrca. – To jak z jazdą na rowerze.

– Genialny przykład – odparłem. – Zwłaszcza że mam ucznia, który jeździł jako dzieciak, ale potem przez pięć lat nie miał roweru i w zeszłym roku, jak przyszło do egzaminu na kartę rowerową, okazało się, że nie umie utrzymać równowagi.

– No dobrze. Ale ja na pewno aż tak nie zapomniałam – podsumowała mama. – Karnet kupię tak czy inaczej, bo zrozumiałam, że należy sobie sprawiać przyjemności. A skoro już przy tym jesteśmy, to czas rozpakować prezenty.

Od mamy dostałem niebieski sweter i wspaniały plecak górski, co sprawiło, że natychmiast zacząłem sobie wyobrażać, jak zabieram na wycieczkę Małgosię i Marcina, jak pokazuję im Tatry Zachodnie albo może na początek Beskidy. Adam przywiózł mi z Irlandii cztery kufle do piwa, świetne, ze zdobieniami przywodzącymi na myśl runy albo jakieś celtyckie wzory.

On sam z kolei ucieszył się jak mały chłopiec z książki *Pan raczy żartować, panie Feynman!*. Wiedziałem, że genialny fizyk był jego idolem, więc spodziewałem się, że uszczęśliwi go ta biografia. Z kolei mama kupiła Adamowi taki sam sweter jak mnie, tylko rudy. Do jego południowej urody pasował idealnie.

Mama rozpakowywała prezenty powoli, jakby chciała nacieszyć się niepewnością. Od Adama dostała perfumy „Black Velvet”, a ode mnie – srebrny łańcuszek i zawieszkę z wielkim bursztynem. To był najmniej praktyczny prezent, jaki jej kiedykolwiek kupiłem. Zawsze prosiła o nasadki do miksera, nową maszynkę do mięsa albo zestaw noży, jednak w tym roku postanowiłem nie pytać, co jej się przyda. Zdaje się, że to był strzał w dziesiątkę. Przymierzyła biżuterię i spryskała nadgarstki perfumami, a rumieńce miała jak młoda dziewczyna. Cudownie było widzieć ją w takim nastroju.

Ale i tak najbardziej ze swojego prezentu ucieszył się Ziyó. Dostał całe pęto tłustej wiejskiej kiełbasy.



Kiedy siedzieliśmy w salonie najedzeni po uszy, z uśmiechem przyglądając się, jak dzieciaki rozpakowują prezenty, Grzesiek przesiadł się do mnie na sofę i zaczął szeptać:

– Słuchaj, jakby co, to psie krzesło jest gotowe.

– Wspaniale! – ucieszyłam się. – Ile będzie kosztowało?

– À propos... Posłuchaj, to jeszcze nic pewnego, dlatego nie mówiłem nic dzieciom, ale... Może rzeczywiście byśmy wzięli tego psiaka. Julcia go bardzo polubiła, no i Patryk wspomniał, że marzy o szczeniaku.

– Cudownie! – Ucałowałam go w oba policzki. – Bardzo się cieszę! My ze swej strony obiecujemy pomoc! Mogłabym zabierać małego na spacer, dajmy na to, w niedziele... Marcin byłby zachwycony! Zresztą Olgierd też by na pewno chciał...

– Olgierd? – Grzegorz spojrzał na mnie badawczo. – To już nie „pan Zawada”?

– Pan Zawada, oczywiście! – Machnęłam ręką lekceważąco, aby odwrócić jego uwagę od rumieńca, który pojawił się na moich policzkach. – W każdym razie jutro mu powiem. Mam nadzieję, że jeszcze nie zamieścił

ogłoszeń w internecie. Mówił, że najpierw chce, żeby Ziyó wyszedł na prostą, no wiesz, żeby przybrał na wadze.

– Przyzwoity facet. Widać, że nie chodzi mu o to, żeby pozbyć się kłopotu.

– Wręcz przeciwnie – zapewniłam żarliwie. – On chce dla tego szczeniaka jak najlepiej. Wiesz, pies w bloku to nie jest łatwa sprawa. A co dopiero chory pies.

– Domyślam się. Sporo o tym z Kasią rozmawialiśmy i doszliśmy do wniosku, że rzeczywiście mamy warunki, duży dom, ogród. Aż się prosi, by zaopiekować się jakąś bidą. Rozmowa z tobą mi to uświadomiła.

– Wspaniale, Grzesiu! – Ucałowałam go ponownie. – Bardzo ci dziękuję.

*

Początkowo wierciłam się jak dziecko, nie mogąc się doczekać, kiedy zadzwonię do Olgierda i oznajmię mu dobrą nowinę. Później jednak poddałam się nastrojowi tego jedyne go wieczoru w roku. Wspólnie odśpiewaliśmy kilka kolęd, potem zaś zagraliśmy w grę, którą Patryk dostał pod choinkę. Nazywała się *Palce w pralce* i tyle było przy niej śmiechu, że aż się spłakaliśmy. Ostatecznie znaleźliśmy się w domu dopiero po dwudziestej trzeciej. Naturalnie gdy tylko Marcin zasnął, natychmiast zadzwoniłam do Olgierda, jednak nasza rozmowa zeszła na zupełnie inne tematy niż pies, przyprowadzając mnie o przyspieszone bicie serca.

Następnego dnia zjedliśmy śniadanie u Grzegorza i Kasi. Zgodnie z tradycją pierwszy dzień świąt spędzaliśmy u nich, a drugiego dnia to oni przychodzili do nas na obiad.

– Muszę odwiedzić przyjaciółkę – oznajmiłam po posiłku. Miałam nadzieję, że nie widać po mnie, jak bardzo niezręcznie czuję się, zmyślając i lawirując. Nie byłam jednak gotowa na wyznanie prawdy. – Spędza święta samotnie, facet ją rzucił... Obiecałam, że wpadnę do niej po śniadaniu. Marcin, zostaniesz u wujka czy wracasz do domu?

– Niech zostanie – wtrąciła się moja bratowa. – Pobawią się z Julcią tym wspaniałym zestawem kreatywnym od Świętego Mikołaja. – Mrugnęła okiem i uśmiechnęła się do mnie.

– Marcin, chcesz?

Mój syn pokiwał głową z zapalem. Wiedziałam, że dla jego niesprawnej ręki taka zabawa jest najlepszą terapią. Jednak prezenty tego typu nie wchodziły w grę jako „babskie”. Bawić się czymś takim? Co to, to nie! Co innego jednak pomóc kuzynce, to mieściło się w jego definicji męskości.

– Koniecznie weź keks dla koleżanki! – dodał jeszcze Grzesiek. – Jak zwykle naszykowaliśmy za dużo jedzenia, a jak się zeschnie, to już nie będzie taki smaczny!

*

W noc wigilijną napadało mnóstwo śniegu, który teraz skrzył się w porannym słońcu. Chwycił lekki mróz, w sam raz taki, aby śnieg nie zamienił się w mokrą chlapę. Już dawno nie było tak pięknego Bożego Narodzenia, pomyślałam. I już dawno nie miałam w sercu takiej przedziwnej mozaiki: wzruszenia, wdzięczności, niepokoju, nadziei, radości i jeszcze tysiąca nienazwanych uczuć.

Zaparkowałam przed blokiem Olgierda i zawahałam się. Powinnam wejść na górę czy raczej poczekać tu, na parkingu? Nasza znajomość była wciąż jeszcze tak świeża, byliśmy raptem na jednej randce w kawiarni, kilka razy całowaliśmy się żarliwie na parkingu albo w samochodzie... Jeśli do tego dodać rozmowy telefoniczne zamiast tych twarzą w twarz, to wyjdzie, że w gruncie rzeczy prawie się nie znaliśmy. Bardzo chciałam, żeby to się zmieniło, ale do tego potrzebny był czas. Dlatego nie weszłam na górę, zatelefonowałam tylko i oznajmiłam, że czekam w samochodzie.

– Ale chodź tu do mnie – poprosił. – Chcę ci pokazać, jak się urządziłem. Bo wiesz, mam nowe meble. Drugie piętro. Domofon nie działa, po prostu pchnij drzwi.

Zakłopotana i onieśmielona do granic możliwości, wysiadłam z samochodu i poszłam do niego. Wchodziłam po schodach najwolniej, jak się dało. Sama nie wiedziałam, czego się boję: że wszystko zepsujemy, rzucimy się na siebie i będziemy uprawiać seks, a potem okaże się, że w gruncie rzeczy nie mamy sobie nic do powiedzenia?

Cokolwiek to było, zapomniałam o tych obawach, gdy znalazłam się w mieszkaniu Olgierda. Był tak samo onieśmielony jak ja. Pokazał mi, jak mieszka, pochwaliłam nowiutki popielaty komplet wypoczynkowy oraz maleńką choinkę ustawioną na parapecie (dla ochrony przed psimi zębami), a potem wzięliśmy Ziyę i pojechaliśmy do mamy Olgierda.

Znałam ją z widzenia jako zawsze skromnie ubraną, gładko uczesaną sprzedawczynię ze sklepu z galanterią skórzaną. Tymczasem drzwi otworzyła piękna kobieta ze wspaniałymi, gęstymi lokami rozpuszczonymi na ramiona. Wyglądała bardzo elegancko w jedwabnej bluzce koloru zgaszonego różu i popielatych spodniach. Natychmiast zaczęłam żałować, że włożyłam zwyczajny biały sweter i ciemne dżinsy.

Gospodyni chyba zdziwiła się na mój widok, ale starała się tego nie okazywać.

– Dzień dobry! Niby się znamy, ale nieoficjalnie. Krystyna Zawada – przedstawiła się z uśmiechem.

Wyjąkałam swoje imię i nazwisko. Czy naprawdę wcześniej sądziłam, że odczuwam zakłopotanie? Nie, pomyłka. Odczuwałam je dopiero teraz. Co ja tu właściwie robię? – pomyślałam.

Mama Olgierda zaprosiła nas do stołu, gdzie na pięknych porcelanowych paterach czekały ciasta i desery: Pavlova, makowiec i sernik z polewą czekoladową. Ziyę z rezygnacją podreptał na rozłożony pod ławą kocyk. Widocznie wiedział, że i tak nic nie dostanie.

– Mamo, kiedy zdążyłaś to wszystko przygotować? – zdziwił się Olgierd. – Przecież wczoraj wieczorem miałaś tylko makowiec!

– Och, beza suszyła się w nocy – wyjaśniła jego mama z rumieńcem zadowolenia. – A sernik upiekłam dziś raniutko.

– To ja jeszcze dołożę keks – zaproponowałam nieśmiało. – Moja bratowa jest mistrzynią keksu...

– Keks! – ucieszył się starszy pan, który wyszedł z drugiego pokoju. – Dzień dobry, Stanisław Kostek. – Ukłonił się i odczekał, aż wyciągnę rękę na powitanie.

– Małgorzata Bereza.

– Ja bardzo chętnie skosztuję keksu – wyznał. – To jest ciasto z mojego dzieciństwa. Babcia piekła.

Złowił spojrzenie pani Krystyny.

– Bezę i sernik także uwielbiam – dodał szybko. – Ale sama wiesz, Krysiu, że są takie sentymenty, które wygrywają ze wszystkim.

– Doskonale to rozumiem – odparła. Wzięła ode mnie ciasto i poszła do kuchni, aby je pokroić.

– Nie wiem, czy pan zauważył – odważyłam się zagadać – że z sentymentami i wspomnieniami bywa różnie. Czasem człowiek zapamięta coś z dzieciństwa jako najpyszniejsze na świecie, a potem, po latach, smak już nie ten. I ot, rozczarowanie.

– Oj, tak, ma pani świętą rację, pani Małgosiu! – zawołał starszy pan. – Tak było u mnie z kiszonymi rydzami.

Gospodyni wróciła do nas z plastrami keksu na talerzyku, więc usiedliśmy wszyscy przy stole.

– Woda na kawę już się gotuje – powiedziała. – Czekamy jeszcze tylko na Adasia. Ale opowiedz tymczasem, Staszku, o tych rydzach. Nigdy nie słyszałam o kiszeniu grzybów.

Pan Stanisław nabrał powietrza, aby opowiedzieć nam historię rozczarowania kiszonymi rydzami, ale nie zdążył, ponieważ rozległo się

pukanie do drzwi.

– To Adaś! – zawołała pani Krystyna.

Przez chwilę panowało zamieszanie, bo oprócz zapowiedzianego Adama w drzwiach pojawiła się także piękna kobieta o imieniu Sara. Nastąpiły prezentacje i powitania, Sara wręczyła mamie Olgierda butelkę likieru kokosowego własnej roboty („to znaczy nie mojej, tylko mamy”, wyjaśniła), po czym wszyscy usiedliśmy przy stole, gospodyni podała każdemu aromatyczną kawę – i zupełnie niespodziewanie zapadło niezręczne milczenie.

Chciałam wrócić do przerwane go wątku, zapytać o te rydze, ale wyraźnie wyczuwałam, że coś jest nie w porządku. Ktoś do kogoś miał pretensje? Ktoś kogoś nie lubił? Nie potrafiłam określić, gdzie leży źródło problemu.

Olgierd rzucił mi porozumiewawcze spojrzenie.

– Słuchajcie, chciałbym wam wszystkim coś powiedzieć – powiedział cicho. – Chcę oficjalnie przedstawić moją dziewczynę. Małgosia i ja jesteśmy razem.

Gdyby rzucił na stół granat, zdziwienie nie byłoby chyba większe. Jedynie pan Stanisław zachował się, jakby go ta wiadomość nie zaskoczyła. Adam zaś zrobił wielkie oczy.

– Ty draniu! – zawołał. – Nic a nic, ani pary z ust! I to ma być przyjaciel?!

Jednak absolutnie konkursowa była reakcja mamy oraz Sary.

– Jak to?! A co z Sarą?! – zawołała mama z pretensją.

– To ty nie jesteś gejem?! – wykrzyknęła jednocześnie Sara.

Zabrzmiało to jak wyrzut. W tym momencie pogubiłam się do tego stopnia, że zapragnęłam zniknąć. Wszyscy zaczęli mówić jeden przez drugiego, zadawali pytania, na które nikt nie odpowiadał, aż wreszcie mama Olgierda uderzyła pięścią w stół, aż zabrzęczały łyżeczki.

– Cicho, bo pies się przestraszy! – zażądała.

Wszyscy odwróciliśmy się, by spojrzeć na Ziyó. Rzeczywiście, siedział pod ławą i wyglądał na bardzo zdezorientowanego.

– Potraktujmy to jako element socjalizacji – mruknął Olgierd. – Pies musi się nauczyć, że ludzie czasem krzyczą, ale potem znowu się uspokajają.

– À propos uspokojenia – podjęła pani Krystyna. – To ja poproszę o wyjaśnienie. Kto jest gejem?

– Oluś – odparła Sara płaczliwie.

– Ja? Dlaczego ja? – zapytał Olgierd, kładąc sobie rękę na piersi. – Skąd ci to przyszło do głowy?

– No przecież wszyscy w pracy o tym wiedzą.

– Jacy wszyscy?! – Tym razem w jego głosie była niekłamana rozpacz. – Sara, coś ty nawymyślała?!

– Wcale nie ja! To Beata powiedziała, a ona jako psycholog... No, sądziłam, że się na tym zna.

– I nie przyszło ci do głowy, żeby mnie zapytać?!

– No dobrze, dajcie już spokój. – Adam wstał i rozłożył ręce jak ksiądz Robak w *Panu Tadeuszu*. Tylko czekałam, aż powie coś po łacinie. – Oluś jest dla mnie jak brat. Zapewniam cię, że gdyby podobali mu się faceci, już bym o tym wiedział. Jest hetero od stóp do głów.

Nie wiem, czy obecni zauważyli potężne westchnienie ulgi, które wyrwało się z mojej piersi. Zresztą to nie miało znaczenia, bo i tak wszyscy spojrzeli na mnie, najwyraźniej ciekawi mojej reakcji. Adam usiadł ponownie, przy okazji biorąc z patery spory kawałek sernika.

– Skoro już jesteśmy przy wyjaśnieniach – odezwałam się nieśmiało – to chciałabym zapytać: co znaczyło pytanie „A co z Sarą”?

Pani Krystyna spojrzała na syna z zakłopotaniem. Potem uniosła brwi i wykonała skomplikowany ruch gałkami ocznymi, wyraźnie wskazując na

mnie. Zupełnie jakby pytała Olgierda, czy może mówić w mojej obecności.

– Mamo, co ty wyprawiasz? – zapytał skołowany Olgierd. – O co ci chodzi? Mów, nie rób min!

– A Małgosia nie będzie miała pretensji? – zapytała jego matka bezradnie. – No wiecie, o tę ciążę? To znaczy wprowadzie ciąży nie było, ale przecież mogła być. Myślałam, że zostanieie razem, ty i Sara.



Działo się coś dziwnego. Pachniało tak nieziemsko, że czułem się oszołomiony, ale grzecznie czekałem na swoją kolej, bo Oluś już mnie nauczył, że nawet jeśli coś dostanę, to dopiero wtedy, gdy ludzie zjedzą, a po drugie – miseczka będzie stała bardzo wysoko. Dopóki nie stawiał miseczki na podłokietniku fotela, nie miałem szans. Uznałem więc, że się trochę zdrzemnę, ponieważ nikt się ze mną nie bawił ani nie tarmosił za uszy.

Jednak nie dali mi się zdrzemnąć, bo zaczęli hałasować. Jedno przez drugie wykrzykiwali coś, czego nie rozumiałem, wyłapywałem tylko pojedyncze słowa, które nic mi nie mówiły: „ciąża”, „Henryk”, „gej” oraz „nieporozumienie”.

Po jakimś czasie uciszyli się trochę. Adam objął Sarę i oznajmił:

– W ten sposób zepsuliście nam naszą niespodziankę. My też chcieliśmy zakomunikować, że jesteśmy razem. I że nie wracam do Irlandii, zostaję tu z Sarą. Bo bardzo chcemy, żeby nam się udało.

Wszyscy prychnęli i stwierdzili, że taka sensacja się nie liczy, bo to coś w rodzaju odgrzewanego kotleta. Nadstawiłem uszu, bo słowo „kotlet” bardzo dobrze mi się kojarzyło, ale chyba nie chodziło im o jedzenie.

Potem głos zabrał Stanisław.

– Jeśli wam powiemy, że postanowiliśmy z Krysią sprawdzić, czy uda nam się spędzić razem jesień życia, to oczywiście będzie kotlet podwójnie odgrzewany – rzekł. – Ale mam też drugą nowinę. Mam nadzieję, że się ucieszysz. – Zwrócił się do Olusia. – Postanowiłem przygarnąć Ziyó. Uznaliśmy z Krysią, że to idealne rozwiązanie.

Usłyszałem swoje imię, a że wcześniej już po raz drugi padło słowo „kotlet”, na wszelki wypadek podniosłem się i podreptałem do stołu. Była szansa na mięsko. Niestety nikt nie zwracał na mnie uwagi.

– Jak to? – zapytała Sara tonem, w którym pobrzmiwało rozczarowanie. – Przecież to była nasza druga niespodzianka. Byliśmy w weekend u moich rodziców... Zgodzili się przygarnąć Ziyó. Oni mają domek na wsi, będzie mu tam dobrze...

– Ale ja... – Głos Małgosi drżał, jakby miała się rozpłakać. – Ja namówiłam mojego brata Grześka. On nawet zrobił specjalne krzesło do karmienia... I dzieci się tak cieszą, Julcia i Patryk, i mój Marcin. Nie możecie nam zabrać Ziyó...

O cokolwiek im chodzi, mówią o mnie, uznałem, więc na wszelki wypadek pomeardałem trochę, lecz nadal nikt na mnie nie patrzył. Podeszedłem do krzesła, na którym siedział Oluś, i wbrew zakazowi – bo nie pozwalał mi tego robić, gdy siedział przy stole – wspiąłem się łapkami na jego łydki. Dopiero wtedy zwrócił na mnie uwagę.

Wszyscy patrzyli z wyczekiwaniem na mojego pana. Ja też, choć zupełnie nie wiedziałem, o co chodzi.

– Ale co wam wszystkim przyszło do głowy? – zapytał zdumiony. – Dlaczego szukaliście dla niego domu?

Ze wszystkich stron zaczęły padać odpowiedzi:

– ...poniszczył ci meble...

– ...i pralkę, i buty...

– ...mówiłeś, że tylko go odkarmisz...

- ...lęk separacyjny...
- ...nie musiałby zostawać sam...
- ...kontakt z dziećmi...

Oluś chwycił mnie za pupę i podsadził, abym wskoczył mu na kolana. Z radości polizałem go po nosie.

– Przecież ja go nikomu nie oddam – wyszeptał. – Nie widzicie? To jest członek mojej rodziny. On kocha mnie, a ja Kocham jego. Dziękuję wam bardzo za chęć pomocy, ale ja już od dawna wiem, że nie byłbym w stanie się z nim rozstać.

A ponieważ wszyscy mieli smutne miny, dodał jeszcze:

- Ale będę go wam pożyczać na spacer. Obiecuję.



Epilog

Ziyo wyrósł na statecznego, dojrzałego psa, który nade wszystko ceni mięsko, wygodne legowisko i spokojny wypoczynek. Nie zjada już skarpetek ani szczoteczek do zębów, jednak nadal regularnie miewa zachłystowe zapalenie płuc. Na szczęście – dzięki kochającym, troskliwym właścicielom – poza tymi strasznymi epizodami choroby jego życie nie różni się od życia zdrowych psów. Jest aktywny, bawi się piłeczką, chodzi na długie spacery i wytrwale węszy w zaroślach. Nie widzi świata poza swoimi panem i panią. Do dziś płacze, kiedy zostaje sam.

Adam i Sara po rocznym okresie narzeczeństwa wyjechali do Irlandii. Pobrali się i mają śliczną córeczkę Ninę. Sara prowadzi pilates dla młodych mam, a Adam nadal pracuje jako grafik komputerowy.

Małgosia i Olgierd pieczołowicie ukrywali swój związek przed Marcinem. Na szczęście po trzech latach Olgierd znalazł pracę w innej szkole, dzięki czemu przestał być wychowawcą chłopca. Dopiero wówczas oznajmili mu, że się kochają i planują ślub. Marcin był wtedy w siódmej klasie.

– Nareszcie – powiedział ze zgryźliwością właściwą nastolatkom. – Już myślałem, że nigdy nie odważycie się mi tego powiedzieć.

Stanisław rozwiódł się z żoną i oświadczył się Krystynie. Ta jednak stwierdziła, że nie ma zamiaru wychodzić za mąż.

– Życie bardzo mi się podoba dokładnie takie, jakie jest – wyjaśniła. – Chodzimy na randki, zabierasz mnie na koncerty, kupujesz mi kwiaty, a ja rozpuszczam włosy i maluję usta, żeby ci się podobać. Gdybym za ciebie wyszła, wszystko by nam spowszedniało.

Stanisław przyjął tę decyzję z pokorą i zrozumieniem. Uznał też, że skoro nie da się naprawić przeszłości, trzeba zacząć patrzeć w przyszłość. Po podziale majątku zamknął jeden sklep z dwóch, które mu zostały. Zrozumiał, że nie potrzebuje więcej pieniędzy. Te, które zarobił do tej pory, w żaden sposób nie wpłynęły na to, czy czuł się szczęśliwy.

Wprowadził kilka zmian w swoim życiu. Po pierwsze za namową Krystyny i przy jej wielkiej pomocy w miejsce trawnika założył piękne rabaty kwiatowe. Interesuje się zwłaszcza liliowcami, które sam zapyła pędzelkiem, tworząc nowe odmiany. Poza tym zaczął uprawiać sport, a szczególnie pokochał jogging. Codziennie rano biega z psem. Przygarnął znajdę ze schroniska, suczkę Agrafkę. Ziya początkowo trochę się boczył, ale ostatecznie łaskawie zaakceptował nowego członka rodziny.

Krystyna doskonale dogaduje się z przyszywanym wnukiem. Przypomniła sobie, że jako młoda dziewczyna była zapaloną szachistką. W każdą niedzielę rozgrywa z Marcinem partyjkę. Kto przegrywa, stawia deser w kawiarni „Torcik”.

Na prawym ramieniu wytatuowała sobie karminową różę, a na lewym napis „Carpe diem”. Stwierdziła również, że nadeszła pora na spełnianie dawnych marzeń. Ostatnio wykupiła pobyt dla dwojga w gospodarstwie agroturystycznym w Borach Tucholskich.

– Zaczniemy od przepłynięcia jeziora wzdłuż – powiedziała. – A potem przyjdzie pora na kolejne fantazje. Co powiesz, Stasiu, na seks pod gwiazdami?

Spis treści:

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Olgierd](#)

[Krystyna](#)

[Olgierd](#)

[Sara](#)

[Krystyna](#)

[Stanisław](#)

[Małgorzata](#)

[Olgierd](#)

[Ziyo](#)

[Olgierd](#)

[Sara](#)

[Olgierd](#)

[Ziyo](#)

[Krystyna](#)

[Sara](#)

[Ziyo](#)

[Stanisław](#)

[Krystyna](#)

[Sara](#)

[Olgierd](#)

Małgorzata

Sara

Ziyo

Stanisław

Krystyna

Olgierd

Małgorzata

Sara

Olgierd

Małgorzata

Krystyna

Olgierd

Ziyo

Stanisław

Krystyna

Olgierd

Małgorzata

Ziyo

Olgierd

Krystyna

Olgierd

Sara

Ziyo

Olgierd

Małgorzata

Stanisław

Olgierd

Sara

Małgorzata

Ziyo

Olgierd

Małgorzata

Ziyo

Epilog

Karta redakcyjna

Redaktor prowadząca: Ewelina Sokalska

Redakcja: Monika Kardasz

Korekta: Zyszcak.pl Paulina Zyszcak

Projekt okładki: Łukasz Werpachowski

Zdjęcie na okładce: © dezy (Shutterstock.com)

Copyright © 2019 by Agnieszka Olejnik

Copyright © 2019 for the Polish edition by Wydawnictwo Kobiece Łukasz
Kierus

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2019

ISBN 978-83-66436-78-7



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

www.facebook.com/kobiece



Wydawnictwo Kobiece

E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

www.wydawnictwokobiece.pl

Na zlecenie Woblink



woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek